

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**JÓZEF ŁOZIŃSKI**

**CHŁOPACKA**

**WYSOKOŚĆ**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

# I

Dochodzenie prawdy odłożono na czas nieograniczony.

Powiedział tak Franek Rzepa, przewany Wargatym. Siedzieliśmy w barze Relaks, łykając duże jasne i było nam dobrze. Z lewej miałem Tymka Dudziela, z prawej Franka, a naprzeciw długi włos potężnego Zajca, który mu niechlujnie wiewał nad kuflem. Piliśmy bez pośpiechu, ze względu na dzień niedzielny, zasłuchani w monotony poszum chłopskiej braci. Tymek Dudziel – prywatnie nauczyciel i teoretyk szczęścia ludzkiego, zwanego patrzaniem sobie w oczy – referował nam ostatnie przeżycia typu miraż. Na wstępie cichym głosem oznajmił, że widział się onegdaj u drzwi kościoła i za cholerę nie mógł przekroczyć proga. Co tylko wydłużył krok, to jakaś piekielna siła chwyciła go za kark i wyrzucała poza obręb świątyni. Pchał się jednak jak bielmooki żebrak do królewskiej kaplicy pełnej złota i krwi. Bez rezultatu. To odwrócił się na lewy bok i zobaczył ideał swego życia w elastik bluz. Zbliżał się po równi pochyłej Czarnego Lasu, machał anielskim skrzydłem i krwistą sutką zbierał wiatr. Była to panna Polka przewiana modlitwą ulicy. Ukochałem ją tak mocno, jakbym był miedzianym rumakiem lub jeźdźcem bez głowy, czyli jednym ruchem w przestrzeni.

I czasie, uzupełnił Zajc. W tych dwóch rzeczach byłeś naraz.

Tymek łyknął i pokręcił głową. Nie, powiedział. W czasie nie byłem, bo leżałem na lewym boku. A kiedy leżę na lewym boku, to jestem wszystkim i niczym. Więc kiedy ona szła do mnie po równi pochyłej Czarnego Lasu i krwistą sutką zbierała wiatr, to miałem wrażenie, że zaraz się skończę. Normalnie skończę się jako mężczyzna, marzący na lewym boku i już nigdy nie będę ponad życiem sen. Zacząłem z nią walczyć i po rozpaczliwych wahaniach szali posiadałem ją. Bo była silna jak człowiek z la Manczy albo i gorzej.

Tak powiedział. Posiadałem ją. Franek Rzepa wbił w niego niebieskie oko i długo badał mu twarz. W tym czasie bufetowy Syr oderwał się od pienistej siklawy i stanął na progu kuchni. Wypuścił haczykowaty paluch w głąb i donośnie zawołał.

Panno, panno. Ja widzę, że stawiasz opór natury umysłowej. Książka jeść tobie nie da i zakonotuj sobie w konopiastej głowie. Ja kierownik i rozporządzenia dyktuję. I dalej sobie zakonotuj, że chłop w pragnieniu jest równy królom i wszystko może przeminąć, ale pragnienie jego nie przeminie. To zbierz się w sobie i idź sprzątać salę. Idź.

Po tej końcówce bufetowy wrócił do wodopoju i strumień popłynął jak rzeka, jak dola.

A w niej stanęła Kłocia z niewinnym uśmiechem czytelnika, który wpadł w obłok optymistycznej tragedii i balansuje nad przepaścią ostatecznego dokonania. Stanęła jak los Madonna i otulając się dymem przystąpiła do pracy. Piękna, fryz la france roztaczała zapach perfum duet. Zakręcił on w nosach jarzębowo, miodowo, aż Franek Rzepa wstrząsł się i twardo powiedział.

Życie na zagrodzie nie jest w modzie, a ta tu opachnić chce ziemię. To szczyt perfidii. Wyznanie chwili opadło na stół i zakołysało kuflami. Zgodnie unieśliśmy boski napój, zwilżając gardło jego ozywczą pełnią. Tymek błogo się uśmiechnął i wyrzucił swoją ulubioną kartę.

Rzym, braciszku, powiedział. Starożytny Rzym może być punktem odniesienia dla spraw wiążących się z rolnictwem. Życie kreuje historię. O, superus!

Burzysz mnie takim gadaniem, mruknął Zajc. Dalej.

Tymek zaśmiał się i pojęciem odniesienia związał wszystko istotne dla wydajności z ha. Powiedział, że kulturę rolną powinien kształtować dobry duch nauki, a nawożenie i orka staną się przygodą par excellence artystyczną. Wszystko, co człek robi, powinno wypływać z ducha nauki i czynu sztuki. Gdyby przeżycia typu miraż nie zdołały mego czoła, to każdy śmierdziel mógłby mi ubliżyć i wyśmiać. A tak, kiedy wejrzę w przeszłe mroki rzeczypospolitej Rzym i

postać króla Numy zakołysze się na fali wiary, to jest tak, jakbym zwracał swój lewy bok matce ziemi. Wtedy widzę, że jestem mniej niż ptakiem, a więcej niż robakiem. Wtedy widzę TO.

Co i gdzie, przerwał Zajc. Ale bez picu, bo zęby porachuję.

TO, powtórzył on, zwane jednym ruchem w przestrzeni. Widzę w złocie miłości, którą zgubiłem na podniosłym wirażu. Bo miłość dla mnie to więcej niż gadanie, to dwa gadania spięte przyspieszeniem serc. Braciszku mili! Kim my to w barze Relaks, który nam tu szemrze strumieniem nieważkości, kim my to na szosie asfalt, na drodze los? O odpowiedź proszę. Raz.

My jesteśmy pokolenie, powiedział twardo Franek Rzepa. A kto tego nie widzi – pod but.

Ohoho. W Rzeczypospolitej Rzym synowie plebsu byli jednością. A czy my jesteśmy jednością lub choćby ludzkością? Oto pytanie dwa.

Co z tym ruchem w przestrzeni, rzekł na to Zajc. Mów, ale bez picu, bo wiesz, co ciebie czeka.

Tymek zaśmiał się, złożył ręce na blat i zastygł w masce zaduma.

Bracia chłopie szemrzają męczyci dzień niedzielny i było tak jak nigdy, tak jak zawsze. Niewyraźalnie. Wbiłem zmęczone oczy w maskę Tymka przyjaciela i czekałem. On trwał. On szukał. On powiedział.

O, superus. Czyż jestem stróżem ruchu tego? Czyż jestem tylko gadaniem znaczącym lub znaczącym? Bądź mi przyjaźnią, kiedy u proga świątyni powala mnie moc diabelska. Jakiś szelest, kroków rytm i na prostą w szatach len, lekko utykając, z promiennolitym słońcem na piersi wychodzi. Idzie. Jest nie wyższy od najmniejszego tego padolu, jest samorealną pręgą ognia i końcem złudy, kiedy tak zbliża się utykając po obwodzie rodzaju, z rozbłyskiem w oku, on – Syn Gromu.

Tak Tymek rozpoczął spacer po obwodzie rodzaju. Słuchaliśmy pokornie malowniczej nowenny. Ja zapaliłem i, wchłaniając dym z papierosa sport, zamknąłem się w sobie. Normalnie wróciłem do wewnętrznej racji tamtego dnia, kiedy w pokoiku na piętrze domu wielkiego pisarza znalazłem list od brata Franciszka, skreślony na papierze w kratkę i z widoczną na znakach pytania męką. Leżąc na łożu tapczan czytałem jego wyznania i przeobrażenia marzeń w realność. Donosił, że od śmierci Błażeja Rzepy (naszego ojca i orędownika) nie opuszcza go myśl czynienia sobie i państwu dobrze. Ma wiele pomysłów z produkcją rolną i trzodą chlewną, a szczególnie to wiąże z bykiem polepszenie doli, którą mu Bóg upatrzył na roli. Dalej informował o poślubieniu oblubionej niewiasty i gorzko mi wyrzucał nieprzybycie na tę uroczystą godzinę szczęścia rodzzonego brata. Ty jednostko wredna od małego – pisał – czynisz porotę we własnym gnieździe i nie wiesz, ile cierpień mnie to kosztuje. Ale daruję to tobie ze względu na krew, czyli ty to ja. Przyjeżdżaj do Rew i przystap do pracy na stanowisku kierownika bazy maszynowej naszego kółka. Jako technik prawdziwy zostaniesz przyjęty z nadzieją i honorami. To mnie wzruszyło. Zszedłem z pokoika do kuchni i powiedziałem Pani Gosposi, że oczekują mnie we wsi rodzinnej. Na dowód pokazałem pismo brata Franciszka. Pokiwała tylko głową, choć ja sobie dalej monologowałem o wybitnie zdrowym powietrzu wioski Rewy, nocach pod lipami i miłości u pól zielonych, w której tak się można zatracić jak w mgłę, jak w śnie. Lecz Pani Gosposia kiwała i kiwała smakując potrawy, aż na koniec rzekła, że ona stoi u płyty i nic nie wie, nic nie widzi, ale wielki pisarz mnie poradzi co i jak. On mnie radę da jak żadna osoba, jak żadna wróżka. To skierowałem kroki do jego gabinetu, ale był zamknięty. To skierowałem kroki do Pani Gosposi i powiedziałem, że on jest zamknięty. Pokiwała tylko głową, choć chodziłem tam i sam, coraz szybszy, coraz dalszy. Wreszcie już byłem, zawieszony w atmosferze dnia i wszystko wokoło, dokoła, miało kolor jasny. I w tym kolorze jasny wróciłem na górę, spakowałem worek, pożegnałem ściany. I w tym kolorze jasny leżałem, czekałem, wymodlałem całe otwarcie. Aż na współ przytomny usłyszałem wołanie Pani Gosposi i

wybiegłem mu na spotkanie. Co-Co-Co? A Pani Gosposia wzięła mnie za rękę, wyprowadziła na próg i pchnęła w jasny dzień. I powiedziała tak.

On siedzi teraz u biurka i przekazuje przeze mnie, że możesz wracać do wsi rodzinnej. Twoje zawieszenie jest charakterystyczne dla ludzi z awansu i na to jedynym lekarstwem może być społeczna działalność. Choć powroty do punktu wyjścia kończą się w zasadzie samobójstwem, ale on wierzy w ciebie. A gdyby ci było ciężko, to oglądaj seriale telewizyjne typu jeden przeciw wszystkim i po każdym odcinku spożywaj dziesięć deka suchej kiełbasy. Nigdy więcej. Powodzenia.

Więc wróciłem w jasny dzień.

Powitała mnie dziewczyna grubej kości okrzykiem jeju, jeju, a kto to w nasze progi wlaźł. Odpowiedziałem jej na to, że nazywam się Ałoś Rzepa i pragnę dobra wszystkim ludzi. To dobro wyobrażam sobie jako działanie i walka. Przez lata oddalenia nagromadziłem w sobie tyle wydajnych soków, że każdy ruch w stronę świetlanej przyszłości będzie liczony na konto wsi rodzinnej. Nie pochodzisz chyba z Rew, bo ciebie nie znam.

Pochodzę z Hubiela i mam na imię Jaśka. Brat twój Franko ożenił się ze mną trzy miesiące temu i obiecał przed Bogiem ochotę małżeńską na wieki wieków.

Czy brat mój Franek jest w obejściu?

Nie ma. On pojechał szykować pole pod kartofel lenino. Mamy sadzić jutro albo pojutrze. Niech Ałoś rozgości się, a ja przygotuję jedzenie.

Głodny nie jestem. Pragnący raczej.

Jeju, to niemożliwe. Absolutnie niemożliwe, żeby Ałoś był syty, kiedy takie drogie wyżywienie.

A jednak jestem syty.

Tak powiedziałem. Jestem syty i wyjdę na powietrze pooddychać troszku atmosferą gospodarstwa rolnego. Jaśka zaśmiała się czystym chachacha i poprowadziła mnie podwórzem do stodoły, obory i chlewa. Wprowadziła mnie najpierw do świń i pokazując sztuki wyliczała zalety hodowlane. Locha, którą dostała w posagu, przyniosła dwanaście prosiąt i perspektywa kupienia futra na zimę jest bliska.

Rodzice moje proponowali mnie posag pieniężny, ale ja nie zgodziłam się ze względu na konkretne właściwości zwierząt rzeźnych. Mam tutaj na myśli zwiększenie hodowli, bo taka locha prosi dużo i dobrze. Prócz tego zabicie sobie wieprzaka wydaje się oczywistym zyskiem. A przy ciężkiej pracy na roli siły potrzebne są do dalszego i dalszego.

Czy Jaśka ma na myśli rozwój rolnictwa indywidualnego?

Mam na myśli życie.

Aha. Opuśćmy chlew i wejdźmy do obory. Duże zmiany tu widzę. Przed rokiem stały dwie krowy i cielak, a teraz cztery krowy i byk. Czy ten byk będzie służył okolicznym damom?

Tak jest. Ten byk będzie zarodowcem i posłuży do rozwoju rasy.

To piękny zwierz. Ma takie senne spojrzenie i drażniące chrapy. Kółko w nosie świadczy o niewoli.

Dalej niech Ałoś sam oddycha atmosferą naszego gospodarstwa. Ja muszę parnik potłukać i nagotować ruskich pierogów. Franek by to jadł dniami i nocami.

Popatrzyłem na jej łydki okiem namiętnej pieszczoty i rozpocząłem dalszy obchód z pałeczką w pozycji działogórnej. Stapałem delikatnie i z radosną wiarą w słuszność mojego przybycia w miejsce urodzenia. Oto sobie chodziłem po zagrodzie na Ziemiach Odzyskanych i myślałem tak. Jestem człowiekiem pokoju. Obce dla mnie epoki mordy, obca chęć gwałtu i niszczenia. Chodzę po ziemi Błażeja Rzepy, który umarł na pierzynie w blasku porannego słońca polskiej jesieni. Umarł z pięścią groźnie zagiętą na promieniu tej kuli i darmo dochodzić jego racji. Przyjechałem na wezwanie serca i rozpocznę nowy etap wlotów nad poziomy. Już dawno nie było mi tak lekko i dobrze. Już dawno.

Tak myślałem. A za płotem widziałem pola obsiane zbożem i ścianę Czarnego Lasu. Za nim leżał wielki czas dymnej kominii i jasny kolor. Zostawiłem to na granicy iglastego młodniaka i teraz mogłem się rozkoszować pustym worem pamięci. Na wietrze falował koncert domowych ptasząt. Barwne upierzenie i swoboda wyboru. To jest to. Czyż apostoł, który kamieniuje siebie za powtórne wejście do rzeki, jest w stanie zanegować samozagładę? Czy ostateczny ślizg w popiół Błażeja Rzepy potrzebował blasku polskiej jesieni? Czy to jest to?

Tak pytałem siebie idąc do chaty. W kuchni Jaśka stała u płyty i mieszała w garnku. Zwróciłem jej uwagę na to, że spędziłem tu dzieciństwo i wczesne lata chłopactwa. Nie wiem, co ona myśli, ale mnie się wydaje, że jest to wiążące na dalsze i dalsze. Odpowiedziała mi smętnie zagapiona w garnek, że wesele mieli skromne i trochu chude ze względu na bidę młodego pana, który zdołał uzbierać trzy patyki i to było wszystko. Załamał się on, oj załamał jak ta wierzba burzą ścięta i w trzy godzin po ślubie gadając wkoło tak. Nie będę w polu szczęścia szukał. Nie będę na swe życie dmuchał. Tymek Dudziel jako pierwsza drużba uspokajał alkoholem i rozwinięciem słowa ideału w górnolotność. Tak powiedziała. Górnolotność. Uważam, powiedziała, że trzeba Franka zrozumieć, bo nie jest specjalnie wykształcony i nie wie, co w trawie piszczy. Oczywiście chciałem ją posadzić na kolanie i zmusić do bardziej intymnych zwierzeń. Jednak czas gospodyni domowej w porze południa charakteryzuje się silnym przerobem roboty, którą w założeniu trzeba przerobić i ustawić do własnego śladu jako coś idealnie skończonego. Ale roboty nigdy nie można przerobić i w związku z tym Jaśka podała mi osiem sztuk pierogów do konsumpcji. Kiedy uniosłem widelec, zobaczyłem idącego podwórzem brata Franciszka o twarzy znaczonej uderzeniami krowiego ogona. Był to mężczyzna z naturalnym wąsem i wysokiej postawy. W oczach jaśniała mu dzika zachłanność rzeczy i myśli. Wchodząc do mieszkania zatrzymał się w progu i wbił niebieskie oko w moją twarz. Poderwałem się z miejsca i z wyciągniętą prawicą szedłem mu naprzeciw. Bracie, myślałem, bracie ty mój. A mówiłem cześć wieś. Oto jestem. Cześć wieś. Oto jestem. Franek chwycił mnie za przegub, żarliwie pocałował w usta i tak powiedział.

Witaj. Ty to ja. Co mnie obłok dalekiego świata porwie, to, tak się wyrażam. Ty to ja. Jasno wyrażam?

Jasno wyrażasz. Cieszę się, że widzę ciebie w zdrowiu całego i pięknie wyglądającego. Cieszę się również, że twoja połowica jest mi przychylna i pracowita. Szczęśliwyś chyba?

Tego ja nie wiem i nie muszę wiedzieć. Chodzi nam o jak najszybsze bogactwo w domu i po to harujemy od świtu do nocy.

Po to harujemy. Siadł i jadł. Niebieskie oko bystro omiatało izbę i słyszałem same przyjemne słowa o pracy na roli. Franek doskonale orientował się w codziennej trwodze przechodnia ulicznego, który przez mgnienie oddalenia od siebie może stracić dech. Ruch uliczny pojazdów kołowych w miastach można przyrównać do zgniatającego walca lub masy towarowej. Owoż ta masa jest bardzo niebezpieczna dla jednostek i nie wiadomo kiedy zadaje śmiertelny cios. Co innego życie wiejskie uregulowane klimatem i biologią. Tutaj człowiek nie jest z nazwy, ale z wyboru tym a nie innym przeżyciem świata. Przeżywający w naturalnych warunkach nienaturalnie dużo. Byłem zaskoczony celnością ujęć i pochlebiłem mu oświadczając, że jest nad wyraz zorientowany w problemach współczesności. Zrozumiał i wciskając kapelusz na głowę poprosił o wybaczenie, gdyż musi się udać w jedno miejsce. Jaśka sprzątnęła ze stołu i powiedziała, że ona powraca do karmienia zwierzyny domowej chcąc–niechcąc, a ty wybaczej, Aloś. Wybaczej.

Wybaczam dla Tymka Dudziela dobrotliwe zaperzenie. Nastąpiło po bezczelnej uwadze Zajca, że świat się kręci bez względu na zahamowania psychiczne człowieka. Akurat Klocia przechodziła z naręczem kufli i Tymek dla uspokojenia się szybko zagadał.

Co robi wielki Mendoza?

Klocia zmarszczyła brew i silnym głosem powiedziała.

Wielki Mendoza i mała siniorita stoją na pięterku tuląc się do siebie. Wszystko wskazuje na to, że będzie ją brał.

Aha, rzekł Tymek. To znaczy, że patrząc sobie w oczy myślą wybiegają naprzód.

Tego nie wiem. Pierdoła Syr nie pozwala dokończyć mnie rozdziału. Ale jak tylko pijaki zaspokoją pragnienie, to wrócę do lektury. Dobrze. Idź i czyn. Więc o czym to ja perliłem, panowie?

Ostatnią myślą twoją, powiedział Franek, było. Nic nie jest bez przyczyny i trafu. Aha. Otóż jest to ciekawe, że przyczyna kieruje nas w stronę trafu wtedy i tylko wtedy, jeśli nie mamy pośrednich planów. Plan, jak wiadomo, jest to zamierzenie programowe, polegające na realizacji narzuconych sobie zadań. Rytmika realizacji bywa zachwiana, kiedy przyczyna w tajemniczy sposób przebija sedno zagadnienia. Powoduje to kompletny zanik poczucia równowagi i w akcję wkracza przypadek. Rozumiecie, o co idzie?

Nie, powiedziałem. Tego nie rozumiemy.

Ej narodzie, rzekł smutno Tymek. Narodzie ty mój.

Na sali było duszno i dymnie. Bracia chłopci napominali siebie wzajem o przemianach w dziedzinie obyczaju. Słyszało się głosy potępiające dziecię wieku za jawną rozpustę i kalandrię własnych gniazd. Szczególnie długi włos i nienawiść do pracy na roli chmurzyło oblicza. Zajc – prywatnie mechanik bazy maszynowej i mój przyszły podwładny – przyciągał jadłowite spojrzenia szanowanych gospodarzy. Łykając duże jasne mrużył oczy i kpiąc spoglądał na tych, których los zbawił i policzył. Pięknie opadnięty włos wiewał niechlujnie nad kuflem. Zajc milczał.

Ludzie pomodlili się i piją browar, powiedział Franek. Ja tam nie lubię zagłębiać się w moje katolickie przekonania, ale nie jest chyba w porządku po modlitwie chlać.

Papież zniósł ograniczenia dla pragnących, rzekł Tymek. Gdybyś prenumerował pismo Argumenty, to byłbyś na bieżąco z problemami kościoła.

Ja prenumeruję Gromadę – Rolnik Polski. Służy mi ono radą i szczerym oddaniem sprawie postępu w gospodarstwie. Artykuły tam pomieszczone piszą fachowcy z wyższych szkół rolniczych. To wzbudza zaufanie. Akurat zaufanie, mruknął Zajc. Wezmę butelkę, bo chcę dzisiaj być wzburzony i przeżyć. Kapewu?

Skinięto przyzwalająco. Wstał i ruszył do bufeta. Szedł balansem i chmura na obliczu braci zagaściła się w stopniu gradowym. Syr podawał i w głos liczył. Czasem objawiał kaprałską moc i darł się na Klocie, żeby pospieszyła z uprzątnięciem kufli. Był dzień niedzielny i ludzie żyli i pili.

Po pierwszej kolejce Zajc ponowił twierdzenie, że świat się kręci bez względu na zahamowanie psychiczne człowieka. Dał tu przykład jaskrawy, bo zaczerpnięty z historii wojen, które uwielbiał na lekcjach przedmiotu w szkole podstawowej i zawodowej. Oto ostatnim bastionem oręża polskiego w jesieni trzydziści dziewięć było Westerplatte. Żołnierz broniący tej placówki miał silne przekonanie racji własnego imienia, choć świat kręcił się w obłądnym tańcu Wita i bił pokłony ostrowąsemu magikowi. W perspektywie historycznej racja żołnierza zyskała wymiar symbolu. Teraz chodzi o to, żeby zjawisko hamulców psychicznych obezwładniających strach przed śmiercią i prymitywnym usmutnieniem klęską ustawić pod odpowiednim kątem. Na lekcjach przedmiotu w szkole zawodowej była mowa, że historia uczy i wychowuje. To po co Tymek gada w taki sposób?

Życie kreuje historię, przerwał on.

Otóż to. Burzysz mnie takim gadaniem. Burzysz.

Tymek zrosił jasnym usta i rzucił swoją ulubioną kartę.

Rzym, braciszku. Starożytny Rzym był wielkością na glinianych nogach, a zostawił świetną legendę rodzaju. Franek rozlał i wypiliśmy pod nasze tu i teraz. Tymek sparł się o stół i przeprowadził miazdzący atak na belferskie pojęcie przedmiotu. Będąc pedagogiem od lat



dwóch doświadczył na sobie skostnienia umysłu, a widząc błogi spokój płynący na odcinku specjalizacji próbował twardo ogarnąć całość. Tymek był humanistą z natury i wykształcenia. Jeszcze w okresie chłopactwa, które zgodnie przywoływalismy w tamto południe witając siebie okrzykiem: Nie żałuj dzioba, przyjacielu. Nie żałuj – Tymek wykazywał prawdziwą dobroć dla ptaków i zwierząt. W tamto południe Franek przyholował go prosto ze szkoły powiadamiając już na szosie asfalt, że Ałoś brat ma poważne plany objęcia stanowiska kierownika bazy maszynowej. Będzie z nami się cieszył i płakał. Trzymałem Tymka w ramionach i całując brodę trzcina wolałem, ej przyjacielu, nie żałuj dzioba. Nie żałuj. Z oka leciały nam łzy, wielkie grochowiny chłopactwa i chłopięctwa, łzy lat spokojnego słońca, które tak popromiennie przeszło obok nas i znikło w dali. Tak idealnie znikło. Franek postawił butelkę i nakazał przerwanie dobrozabających roztkliwień, bo go serdecznie ubawia zapomnienie wykształconych jednostek. Wypiliśmy pod przysze i przeszłe, terazniejszym zakąszając. Przyjaciel domu powiedział, że w Rewach panuje makabryczna nuda i ożywienie następuje wtedy, gdy rusza front buraczany lub żniwny. On analizując to zjawisko na godzinie wychowania obywatelskiego olśniony został nagle sednem zagadnienia. Ale w prostych zdaniach nie może wyrazić uczuć prostych ludzi i proponuje prywatne zdanie odłożyć w album rodzinny. Tak powiedział przyjaciel domu. Proponuje się prywatne zdanie nie tykać ogólnym. W związku z powyższą złożonością postanowiłem ujawnić się i powiedziałem.

Trzeba działać. Każde dobro zdobywamy siła wyrzeczeń i woli. Tako rzecz mi dusza, czyli umysł.

Ale po co, rzekł Franek. Wczoraj ja stoję w gnoju krów i patrzę na byka, który za kwartał posłuży do rozwoju rasy. Patrzę i patrzę i z podziwu wyjść nic mogę. Jaki ten zwierz zmyślny i do pieszczot skory. Spogląda na ciebie okiem fiolet i masz wrażenie, że zaraz położy ci łeb przed stopę i pocnie wzdychać. Tak było wczoraj, kiedy stałem w gnoju krów i myślałem o egzystencji. Jasno wyrażam?

Tak jest, powiedziałem. Ale o co chodzi? A Franek rozlawszy alkohol złowróźnie spojrział mi w twarz i powiedział. Jak to? Co to?

No ta egzystencja, zagadnałem spiesznie. Jasno wyrażone, ale nie na czasie.

To był czas wczorajszy i słońce ku południu szło, rzekł twardo. A ja stałem w gnoju krów i o to rozchodzi się. Chyba jasno wyrażam? Wtedy Tymek ozwał się cichym głosem i cedząc proste zdanie o sprawdzeniu tej myśli zaraz, która pozwoli mu uchwycić moment psychicznej pełni, zmusił Franka do walenia pięścią i okrzyku.

Żeby tak wieczności nie doczekał, jak pic tu wstawiam i reklamę tylko widzę. Żeby! Okrzyku ostatniego także przy stole w kuchni wiejskiej, bo natychmiast on, Ałoś Rzepa przybywający do Rew z miasta leżącego nad rzeką żeglowną, beznamietnym tonem rozpoczął dyskurs o sprawczej roli działania i możliwości bycia w niebycie, odsuwając tym samym rozsądne dochodzenie prawdy na czas nieograniczony. Wstał i kierując palec w okular Tymka oznajmił, że nie widzi miejsca w socjalizmie dla osób potrzęsających wiechcią samotniczej wegetacji i prosi usilnie o zrozumienie tych lat ślepego trafu, w których ostatnio przebywał, prosi i błaga, żeby nie sądzono go po linii zagubienia, a raczej zgodzono się na zaplanowany początek i żywiołowość. Tak mówiąc przewiercał palcem powietrze i z wewnętrznym drzeniem ważności tej chwili wybiegi na obwód przyszłego myślenia, mową i uczynkiem. Konkretnie chodzi mi o to, mówiłem, że kana przelała się i trzeba ją opróżnić. Trzeba skończyć z umęczeniem wiejskiego belfra, który żarliwie połyka ogień z krzaka zatrąty. Trzeba wyjść poza autonomię opłotka i generalnie przewartościować kryteria ocen szczególnego i ogólnego. Trzeba ustalić młodości punkt styczny do okręgu z epoką brązu. To jest zadanie do wykonania tu i teraz.

Ale Tymek nic nie powiedział i zrozumiałem, że dochodzenie prawdy odłożono na czas nieograniczony. Skończyliśmy butelkę i Franek zaprosił do obory. Przy studni stała Jaśka i

zawzięcie pompowała. Wzięliśmy ją w kółeczko i do obory. Franek z uśmiechem, który zamgliłby całe złoto świata, odwiązał łańc i wyprowadził zwierza na powietrze. Fioletowe oko odbiło nasze postacie i skierowało się do ziemi. Uroczyście powiedziałem.

Franku Rzepo, przezwany Wargatym, puść go, niech pobryka.

A puszczyć. Żeby tak wieczności nie doczekał. Puszczyć go.

Uczył. Zwierz fiknął i ruszył w tan. Zafurczał kapelusze na głowie Franka. Zafurczała apaszka różnobarwna Tymka. Zafurczała suknia staloszara Jaśki. To wszystko pod znakiem furkotu stanęło. Pod znak tego byka się wzięło. A mnie nic nie zafurczało. Niepojęte to było. Stałem i przerażone oko wbilem w gnój. Byk hulał po zagrodzie, a we mnie coś się odwracało i przewracało, coś błyszczało i iskało. Ale co? I czemu to mną tak trzęsło na śladzie ojca mego, że poczułem się wysoko zawieszony nad ziemią odkupioną i zbawioną, poczułem, jak przebijają ręce rdzawe gwoździe i wielki ból przerywa pulsację. Trójca wrzeszczała ahoy i było dobrze. Osunąłem się na kolana i żebraczym gestem słałem napowietrzny pocałunek. I tak śląc popadłem w omdlenie, z którego ocknąłem się późną nocą. Pierwsze ujrzałem gwiazdy mrugałkę, a później zatroskaną twarz Jaśki z mokrą szmatą w prawicy i w koszuli jedwab. Spytałem więc, dlaczego leżę na pierzynie i przyjmuję nawilżające okłady, kiedy naprawdę nie jest mi nic takiego, zwanego chorobą, i po co się męczysz. A Jaśka rozpoznała zgaszone oblicze i zaśmiała się czystym chachacha, i śmiała się och, jak się śmiała Jaśka siedząc przy mnie w koszuli jedwab i gadając o stanie przerażenia, którym doświadczyłem spokojnych ludzi, że mało nie pomarli. Weź sobie pod uwagę, że omdlenie twoje trwało godzin dziewięć i jest to zastanawiające. Nie chodzi już o sam fakt, ale przyczynę takiego przypadku. Dziewięć godzin omdlenia. Niespotykane.

To nie było omdlenie.

No to jeśli to nie było omdlenie, to co to było?

Tego ja nie wiem. Możliwe, że to było zawieszenie.

W takim razie coś było. A teraz przyłożę ci szmatę na czoło po raz ostatni i wyjdę.

Nie wychodź jeszcze. Będę patrzył na ciebie i wracał do równowagi. Nic wiem, czy się orientujesz w kwestii ducha, ale równowaga polega właśnie na kwestii ducha. Jak zdobywałem wykształcenie, to często miałem do czynienia z podwojoną ilością marzeń. Kobieta była w nich na pierwszym planie. Piękna kobieta.

Ja jestem żoną twego brata, który w przyległym pokoju oczekuje z niecierpliwością mego przybycia. Na pewno szykuje się do nocy, naprężony cały miłością. Czy mnie rozumiesz?

Nie wychodź jeszcze. Leżę oto na pierzynie, na której dokonał się ostateczny ślizg w popiół Błazeja Rzepy, i myślę. Wielki to był człowiek. Przeszedł szlak nie draśnięty i zdeptał paszczę lwa. Zarył pługiem w spaloną ziemię i posiał ziarno urodzaju. I tak sobie myślę. Gdzie on miał swój punkt dojścia lub zejścia. Czy miał?

Spij już. Rozmowa z tobą dziwnie mnie porusza. Na wsi ludzie nie gadają wiele, bo robotę trzeba robić aż do przerobu i przejść do następnej. Dlatego mnie rozmowa porusza. Czemu akurat o ojcu myślisz, który posiał ziarno. Przecie my siejemy rokrocznie i rokrocznie zbieramy. A ty jak byś tego nie widział i gadasz o punkcie i wielkości. Śpij już. Ja kraj znam, bo jeździłam na różne wycieczki i widziałam naród. Robi i dużo nie gada. To czemu ty, chłopak wioskowy, sięgasz tam, gdzie wzrok nie sięga. Czemu akurat ty?

Bo ja mam nieprzymuszoną wolę jedności i całości. Ja mam...

Franek bije w ścianę z ochoty małżeńskiej. Dobranoc tobie.

I odeszła szeleszcząc koszulą jedwab. Zrobiła to dla dobra całości, w którą chciałem ją wpisać gorącym słowem. Zapadłem w stan górnych uwzniośleń i na skalnych zrębach malowałem liczbę jeden. Potwierdzałem tym rozplatywanie warkoczu dalszego i dalszego. Potwierdzałem możliwość bycia potrzebnym i autentycznym. Potwierdzałem imię czasu pokoju.

Tak potwierdziłem świętą krytykę Tymka elementu brąz. Nastąpiło to przy drugiej butelce i czwartym piwie. Maszynaria pobytu pracowała bez zgrzytu i brać kiwała nad szczęściem w

nieszczęściu. Tymek zapytał, czy wiemy, co to jest reprodukcja. Powtórzę. Reprodukcja. Pytanie zabrzmiało tajemniczo i Zajc szerokim gestem – ręką w górę i dobre sobie – zaznaczył skupienie. Wtedy to właśnie Tymek powtórzył ten ruch wolno i pięknie. Odtworzył gest ręką w górę i dobre sobie nazywając to reprodukcją. Zdebiłem, a Franek wbił w niego niebieskie oko i długo badał mu twarz. Tymek nie zrażony zdumieniem ogółu podjął przesłanie jednostki. Oto ludność pokupiła telewizory i wypatruje bohatera. A bohatera nie ma. Owszem jest, ale tamtych dni i stąd jego ograniczenia natury rzeczywistej. Bo co nazwiemy rzeczywistością, którą przedstawiam wam tu i teraz? Mówiąc jednym zdaniem rzeczywistością nazwiemy tworzenie ludzkiego na miarę boskiego. Ale jest to tylko pozór prawdy. Prawdziwość musi być uniwersalną, lecz sama w sobie już jest abstrakcją i pustym nośnikiem uczucia. A właśnie idzie nam o uczucia ludności, która pokupiła telewizory i wypatruje bohatera. Siedzi taki starszy pan i ogląda varietes. Dziewczynki z varietes mają długie nogi i wilgotne oczy. Srebrzy się ciało w tańcu kankan. Starszy pan zaszczyca swą duszę nawrotem wspomnień i widzi zwęglone szczątki kobiety. Ból rwie mu czaszkę, ale on odtwarza kwietny dywan leśnej polany. Odtwarza w czasoprzestrzeni realne ja, które kojarzy z dobrozabiącym tchnieniem czynu i powrotem do natury. Starszy pan wie, że jest mu dobrze w chwale dymu i ognia. Przełącza kanał i ma apoteozę tamtych dni w formie równej treści. Ból mija i błogi spokój osiada na dłoni bojowca. Czas stanął, a reszta jest milczeniem. Tutaj ostro przerwałem Tymkowi słowem nie pieprz wywód powyższy, bo przepieprzysz realizm nadwyższy. I powiedziałem.

Co nazywasz krytyką elementu brąz?

To ty nazywasz. Ja głoszę świętą krytykę elementu brąz. Trzeba zająć wreszcie stanowisko do spraw wiążących przeszłość z przyszłością. Bo co znaczy ręką w górę i dobre sobie? Znaczy to wyższość nad wyższościami. A wyższość nad wyższościami może się skończyć ogólną niższością. Onegdaj mój ojciec po wysłuchaniu wiadomości dziennika radiowego stwierdził, że świat raczy narody miłością prochu, ale jak kiedyś zaraczy, to lud stanie się czarny i zejdzie do piekieł pograć w piłkę nożną.

Przecież piekła nie ma, mruknął Zajc, Znów mnie burzysz. Dalej.

Tymek wstrząsnął się i smutno powiedział. Ej narodzie. Narodzie ty mój.

Ponuro patrzył w kufel. Franek rozlał i wypiliśmy pod dzień niedzielny. Bufetowy Syr miał chwilę odpoczynku i stojąc na progu kuchni donośnie gadał.

Panno, panno. Ja widzę, że moje słowa nie trafiają do twojej natury. Ale powiem jeszcze raz. Książka jeść tobie nie da i darmo ty łykasz kartki. Tutaj ja kierownik i rozporządzenia dyktuję. Doprowadź siebie do porządku i idź sprzątać salę. Idź.

Na zapleczu rozległ się rumor i Klocia przekroczyła granicę fikcji. Chmurnym okiem spojrzała w dym. Poprawiła fryz i przystąpiła do pracy. Bracia chłopci wrzeszczeli i bili pięściami w stoły. Niektórym chodziło o innych, innym chodziło o siebie. Ale wszystkim leżał na sercu dzień weselny i uśmiech losu. Bar Relaks kołysał się w tym uśmiechu i cały płynął na obłoku optymistycznej tragedii. Wyteżyłem wzrok i przy drzwiach ujrzałem prezesa Furmanka. Chwiejnym krokiem posuwał się do bufetu. Za nim podkręcając węża, sztywno i godnie stapał Pisarek – prywatnie księgowy i starokawalerstwa ozdoba – przewany Sumem. Doszli. Tymek wstrząsnął się i spytał, co robi wielki Mendoza. Klocia znieruchomiała i tuląc kufle do piersi powiedziała.

Ciągle stoją na piętorku i rozkoszują się sobą. Mała siniorita gładzi palec Mendozy i mówi, że się boi. Ale czuję, że będzie ją brał. Świadomie czuję.

Aha. To znaczy patrząc sobie w oczy myślą wybiegają naprzód. W porządku.

Tego nie wiem. Widzisz, że pierdoła Syr przerywa lekturę i wciska mnie ciemnotę. Ale zaraz zasiądę.

W porządku. Rób tak dalej, a znajdziesz ukojenie.

Uhm.

Tak powiedział. Ukojenie znajdziesz i zaraz dodał, że nikt nie może pasować elementu do elementu, bo jest to niezgodne z przepisami gry. Gra ma koniec i początek, ma różne warianty zbliżeń, oddaleń, wejść w sedno i poza sedno. Gra to jest gra i każdą obiektywizację zadławi konwencja. Tego już było za dużo. Franek rozlał i kiedy wypiliśmy, twardo powiedział.

Życie na zagrodzie nie jest w modzie, a jeszcze dodatkowo trzeba oddawać plan. Na ostatnim zebraniu była o tym mowa i przedstawiciel wydziału rolnego zażądał wyjaśnień. To ja wstałem i mówię. Towarzyszu magistrze inżynierze, nikt tu nie chce krzywdy państwowej, ale dajcie żyć. Tak mówić. Dajcie żyć.

I co on tobie odpowiedział?

On mnie nic nie odpowiedział. On niedbale kołysał nogą i pisał w notesie.

Aha. To znaczy patrzyliście sobie w oczy myślą wybiegając naprzód. W porządku.

Franek przytaknął i rzeczowo rozpatrzył kwestie dalszego. Rozpoczął od tego, że trawę on kosi i składa w kopicy. Ale przedtem suszy. Trawa suszona posiada właściwości odżywcze typu kalorycznego. Najlepszym nawozem jest w tym względzie gnojówka. Otrzymuje się ją od krów i koni. Przy oborze znajduje się jama. Dla uzyskania większej ilości gnojówki dobrze jest rzucić zwierzynie paszę typu kiszonka. Gdy jama dostatecznie się napełni bierzemy beczkę i wlewamy. Beczka ma kształt podłużny i chyboce się nawozie. Widać już łąkę. Zajeżdżamy, odkręcamy zawór i pięknie sikamy. Jeżdżąc wkoło czytamy gazetę Gromada – Rolnik Polski. Wychodzi trzy razy w tygodniu i jest bogato zdobiona poradami fachowców.

Ja nie wiem, o czym mówisz, powiedziałem. Nie wiem.

Nie musisz wcale wiedzieć. Każda porada opatrzona jest pytaniem indywidualnego rolnika. Gospodarstwa państwowe i spółdzielcze porad nie potrzebują. Porada składa się ze wstępu, rozwinięcia i zakończenia. Zależnie od pory roku. Na przykład zimą brak jest rozwinięcia, co się rozumie samo przez się. O trawie pewien profesor napisał, że na swej krągłej łodydze trwa i znaczy przyrodniczą pełnię. Napisał to w zeszlórocznym numerze Gromady – Rolnik Polski. Posiadam ten numer, a trawy nie posiadam, bo przemieniona na siano pożywiła domową zwierzynę.

Ja nie wiem, o czym mówisz. Nie wiem.

Nie musisz wcale wiedzieć. Mowa to trawa, a trawa to mowa.

Powiedział tak Franek Rzepa, przezywany Wargatym.

Trzymaliśmy w ręku kufle i było dobrze. Franek z cicha wyakcentował słowa ba i marszcząc brew nadmienił o pragnieniu życia. Miał jedno wielkie pragnienie. Widział swoją zagrodę kompletnie zmechanizowaną. Niech ludzie zrozumieją, że nie chodzi o wygody, ale proces produkcyjny. Szybko, tanio, dużo. Kto żyje z hektara, ten o zysk się stara. Tak powiedział. O zysk się stara i przeszedł do kulturalnego wydarzenia w wiosce Rewy, którym był film Pan Wołodyjowski wyświetlany dwa dni temu w świetlicy gromadzkiej. Te dwa dni temu to było nic, żadna rozpiętość czasowa, bo ja go widziałem o wiele wcześniej w pięknej sali kina Śląsk, premierowego kina, w którym kwiat ludności Rajgrodu znad rzeki żeglownej przeżywa wzloty i upadki. Tego żadną miarą nie można było powiedzieć o mieszkańcach Rewy i okolicy, przybyłych tłumnie na projekcję obrazu walk kozacko-polsko-tureckich. Dwa dni temu wstałem o siódmej i po wysłuchaniu wiadomości dziennika radiowego rzekłem bratowej, że po obudzeniu się leżałem nago w świetle dnia. Franka w kuchni nie było i mogłem spokojnie obserwować jej zdziwione oblicze. Oczywiście leżąc nago w świetle dnia nie odczuwałem specjalnej przyjemności. Ranki są jeszcze chłodne, słońce przypieka słabo i w ogóle w miesiącu kwiecień odrzucanie pierzyny z ciała może spowodować zakatarzenie. Jednak ja odrzuciłem pierzynę, bo chciałem uznać siebie pod pierzyną. Zdziwienie Jaśki rosło wprost proporcjonalnie do monologu, który wyrzucałem głośno i dobitnie. Chodziło mi o to, że moja własna nagość działała mi zawsze na zmysł reaktywując w ten sposób stracone złudzenia. Co to takiego stracone złudzenia, zaraz powiem. Na razie objaśnię tobie moje wrażenie po dotknięciu ręką golizny. Wrażenie to było niedobre. Ręka na goliźnie

spoczywała nieruchomo, jej ciężar był nie odczuty i namacalnie prawie nie istniejący. Ciekawe jest też to, że byłem cały w bezwładzie, a i w lotnym zawieszeniu, gdyż obserwacja spod przymkniętych powiek utwierdzała mnie w przekonaniu, że normalnie kamienieje. Nie należy tego rozumieć opacznie, jako że kamienie i kamiennosc to dwie różne rzeczy. Nie mogąc poruszyć ręką ani nogą, poszybowałem myślami w daleką chmurnosc dzieciństwa. Trzeba ci wiedziec, że dzieciństwo miałem ciężkie i bardzo smutne. Pasałem krowy, gęsi i pomagałem rodzicom w pracy na roli. Ojciec mój przyjechał na Ziemię Odzyskaną z walizeczko i w szynelu. Jedyne bogactwo to była gorąco krew i wiara w realne możliwości rąk. Natomiast moja matka była kobietą cherlawą i w nic nie wierzyła. Przepraszam. W Boga wierzyła, który liczy nasze owocobranie i domaga się uświęcających łask. Prócz tego mama była dobra i szła na maszynie marki singer. Zarabiała w ten sposób na potrzeby gospodarstwa rolnego. Jak przyszedł na świat Franek, to musiałem pilnować jego płaczu. Ojciec pokochał go ze względu na silny kark. Pieścił go i całował. Wynosił na podwórze i brykał jak mustang. Gdy nie mogłem upilnować jego płaczu, to brał mnie na kolano i z namaszczeniem kroił mi dupę. Mama nie mogła mnie obronić, bo była słaba i gasła w oczach. Choroba nazywała się gruźlica i była uleczalna, ale Błażej Rzepa miał potrzeby w gospodarstwie rolnym i potajemnie życzył jej śmierci. On nie bał się śmierci. On był nieustraszony i baraszkował z nią na szlaku głowa-w-głowę. Zakrył kostuchę medalami i wiarą w nieskończoną żywicę zdrowia. A mama gasła w oczach. Już nie wstawiała. Leżała w ponemieckim łóżku i odmawiała pacierz. Tylko pacierz, bo w nic poza tym nie wierzyła. Stawałem w nogach łóżka i mówiłem tak.

Mamo moja. Co ze mną teraz będzie?

Cicho dziecko. Nie płacz dziecko.

Tak mówiła. Cicho dziecko. Nie płacz dziecko. To ścierałem łzę i referowałem jej nowiny z łąk zielonych. Niewiele tego było. Pasma mgieł, żółknąca trawa i opadający liść. Złota jesień rozplątywała przedzę babilata i nikła w blasku. Czasem dochodził ptak jastrzęb o zmiądzonych szponach, który wysoko kołował nad ziemią. Wszystko. Wzruszała się i gładziła moją rękę, ale dziwne. Nie odczuwałem pieśczoćy i cofałem się na skraj. Ona rozumiała i wcale jej nie było przykro. Wcale. Wystarczyło, że byłem i wydymając usta słałem serdeczne usłowie.

Mamo moja. Co ze mną teraz będzie?

Wystarczyło. Z wielkim wysiłkiem ponawiała modlitwę i na ścianę w kolorze fioleć rzucała szept dalszego i dalszego. Umarła w dzień października roku pięćdziesiąć sześć. Szły czołgi i Błażej Rzepa w szynelu na ramionach stał przed bramą. U ręki trzymał Franka, który liczył maszyny i klaskał z uciechy. Na tych cackach siedzieli skośnookie chłopaki i szerokim gestem pozdrawiali ludzi. Widziałem to z okna pokoju, w którym gasła mama. Byłem odwrócony tyłem i mówiłem tak.

Mamo moja. Maszyny jadą przed siebie, a ludzie kiwają głowami. Gdybyś mogła wstać i zobaczyć te lufy. Błyszczą w słońcu i pięknie się kołyszają. Mamo moja. Gdybyś to zobaczyła, to zaraz byś wyzdrowiała. Gdybyś to tylko zobaczyła. I szybko podbiegłem do łóżka z przeraźliwym krzykiem, żeby nie gasła, kiedy tak błyszczą lufy w blasku słońca, a w powietrzu czuć zieleninę. Dlaczego właśnie mama moja. Dlaczego tylko mama moja. Trzymałem jej suche ręce i z wolna kamieniałem tocząc się w jakąś ogromną studnię, spadając po wyłomach, garbach i pęknięciach palonej ziemi w echu odległego pokrzyku.

Mamo moja. Co ze mną teraz będzie?!

Odległego do dziś i jak słyszysz smutnie bezradnego ze względu na ciężkie przejścia w dzieciństwie.

Jaśka nic już nie robiła i siedziała u stoła zagapiona w moją twarz. Na policzek spadła łza i poleciała w kącik ust. Spytałem więc spokojnie, dlaczego rozczula się nad mym ciężkim i bardzo smutnym dzieciństwem. Przecie nie chodzi o śmierć mojej matki, która była cherlawą

i w nic nie wierzyła. Nie chodzi też o wyraźne lekceważenie przez Błażeja Rzepę mych uczuć synowskich. Nam dwojgu rozchodzi się teraz o moją goliznę w świetle dnia i bezwład ciała, które było w stanie zawieszenia i kamienienia. O to teraz nam idzie i proszę nie rozczulać się.

Ja się nie rozczulam. Ja sobie tylko zadaję pytanie, czemu Franek w czas narzeczeństwa nigdy nie wspomniał o tobie.

A po co miał wspominać, kiedy tamto nie jest stycznią do epoki brąz. Po co.

No dobrze. To czego w takim razie gadacie na siebie ty to ja?

To nic nie znaczy. Gadamy dla urozmaicenia monottonnych wędrówek myśli. Ty to ja, czyli nasza jedność.

Rozmowa z tobą mnie porusza. Nawet niepokoi. A to dlatego, że słyszę rzeczy niesłychane. Bo sam powiedz. Znam przecie kraj, bo jeździłam na kursy i wycieczki, znam ludzi. Ale tak mało kto gada i stąd to jest niesłychane. Dobrze będzie, jak załatwisz tę robotę. Dobrze będzie.

Dziękuję za zyczliwość, Jaśka. Jeszcze tobie powiem o zmyśle, który reaktywuje stracone złudzenia.

Teraz nie, bo muszę iść przebierać kartofel lenino. Ale wieczorkiem chętnie posłucham. Chętnie posłucha. Zjadłem kawałek chleba i ruszyłem na spotkanie z prezesem Furmankiem, który miał to moje działanie potwierdzić angażem i pensją. Po drodze mijałem pokolenie urodzonych po wojnie z teczkami na ramieniu. Posuwało po wiedzę i czas urody. Przed sklepem spotkałem Franka z rowerem w prawicy. Na kierownicy dyndała siatka z chlebem. Przerwał konwersację z przychudym chłopiną i podszedł do mnie. Szeptem oznajmił, że wczora rozmawiał z prezesem Furmankiem w kwestii zatrudnienia i uzyskał solenne zapewnienie, że będzie załatwione ze względu na krajobraz po bitwie. Furmanek dodał przy okazji, że jado tera na deficycie i dobry technik zbawco będzie. Na to on mu odpowiedział.

Żeby tak wieczności nie doczekał, jak pic tu wstawiam i posadę tylko widze. Znacnie przecie rodzinę Rzep. Aloś nasz otrzymał solidne wykształcenie i w Boga też wierzy.

Ale ja w ogóle nie wierzę.

Mówię dalej. Wierzy i czasami pyta sam siebie o miejsce na tej ziemi. Przyjmijcie go, a zobaczycie. A Furmanek naciska czapkę na oczy i gada. W porządku jest. Syny spłodzone w trąbie ciemności nas muszą wyrażać. W porządku jest. To ty nie miej takiej miny i wesoło uśmiechnij się.

Już to uczyniłem. Idę dalej.

Idę dalej. Na widoku budynek o jasnym tynku. Wąska ścieżka do niego prowadzi. Mnie kroki niosą do samych drzwi. Pukam i wchodzę. Pozdrawiam dwie osoby słowem dobrego dnia. Żeński – Męski. Ona jest blond i twarz ma subtelną. Uniosła brew i w dziecinnym przestraczu czeka na dalsze. On jest brunet bardzo smagły i wąsa podkręca. Piękne jabłko adama chodzi mu tam i sam. Zgrzytliwym głosem prosi mnie o nieprzeszkadzanie w pracy, bo urzędowanie jeszcze nie zaczęte. Sprawy do prezesa są załatwiane przez prezesa osobiście. Znajduje się on teraz na bazie. Tam należy się udać. Tam należy się udać. Słyszę to jeszcze na podwórzu pełnym maszyn i traktorów. Tu należy się udać. Tu na białym kamieniu Furmanek stoi i mówi do chłopaków w kombinezonach. Wśród nich widzę Zajca, który wita mnie szerokim gestem. Ręka w górę i dobre sobie. Podchodzę i kolejno ściskam prawice.

Ja do was, panie Furmanek.

Zara pogadamy, Aloś. Zara pogadamy.

Usuwać się na bok i słucham mowy o orce wiosennej. On z kamienia głosem silnego przekonania zarządza dzisiaj oranie i wyjazd do wagonów. Twarz na brąz znaczną wystawił do wiatru. Słyszę, że oranie nie polega na zanurzaniu pługa w głąb i odwalaniu skiby. Oranie to wielka sprawa w dobie mechanizacji. Człowiek na maszynie zapomina o ziemi i tnie ją nie według przepisów. A przepisy ustanawia się dla dobra życia. Co to takiego i z czym się to je, nie będę tłumaczył. W każdym razie dobro życia wymaga znajomości przepisów. My jesteśmy

przedsiębiorstwem usługowym i musimy spełnić warunek ufności. Przystąpmy zatem do pracy upewnieni pewnością litery prawa. Zamyślił się nad tą oczywistością prezes Furmanek, bowiem najtajniejsze pokłady jego psyche drażył pierwiastek wątpieniu i możliwości niewykonawstwa określonych zadań. Furmanek pod tym względem uważał siebie za jedynie władną osobę, choć często przeżywał moralny kac, czyli ulegał zatracie poczucia rzeczywistości. Dla przykładu niech posłuży wyjazd do wagonów. GS dla szybkiego opróżnienia wagonów robił podnajm transportu z kółka. Robił to już z przyzwyczajenia, bo gdy nawet nie było wagonów, to z bazy wyruszały dwa ciągniki i na dziedzińcu GS-u rurą wydechową obijały gruchy. Można powiedzieć, że w ten sposób zaprzeczano, jakoby nie była możliwa składna kooperacja. Była możliwa i w dniu święta ludowego obydwa prezesowie otrzymywali mnóstwo pochwał. Oczywiście zatrata poczucia rzeczywistości wpływała na sukcesy materialne kółka. Jednakże wulgarny zysk nie był celem i coroczny deficyt przyjmowano ze zdrowym optymizmem, iż nie pieniądz kształtuje gospodarze życie, ale świadomość potrzeb i wiara w jutro. Właśnie Furmanek wstrząsł się jak wilczur przed skokiem i schodząc z kamienia postawił kropkę nad przyszłym.

Poprosił mnie o krótkie uzasadnienie powrotu do pól zielonych. Nie wiedziałem, co mu rzec, i palnąłem na odczepne, że chodzi mi o przydatność na całej linii, a w Rajgrodzie to było niemożliwe ze względu na masę towarową, zwaną popularnie tłumem, który rozkłada działanie na mało znaczący ruch mechaniczny. Zrozumiał i biorąc pod rękę powiedział, że czuje się zaszczycony możliwością okazania pomocy synowi Błażeja Rzepy, z którym szlak nie szlak, wojował parę lat i przeżył niejedno. Wielki był to człowiek, choć umarł na pierzynie. Wielki i kochający swój kraj miłością odzyskanej nowenny. Proszę ciebie do biura.

Biuro mieści się w budynku o jasnym tynku. My po prawicy, a gmina po lewicy. Żyjem zgodnie ze względu na lokalowe uzależnienie.

Jest już biuro. Po raz drugi mówię dzień dobry i odpowiedzi nie otrzymuje. W myśli zadaję pytanie typu co jest? Za to głos Furmanka brzmi pięknie. Staje obok człowieka z wąsem i mówi.

Przerwie tobie, Pisarek. Poznajesz?

Nie. Kto zacz?

Furmanek kiwa głową i zwraca się do panny blond.

A ty, Wiśka. Poznajesz?

Pewno. Alka Rzepy by kto nie znał.

A Pisarek nie zna. I czemu nie zna, ha?

Na to człowiek z wąsem uderza długopisem w stół i dobitnie mówi.

Bo Pisarek w Rewach bawi niezadługo. A jak zechce, to może wcale nie bawić. Wcale.

Kogo wy straszycie w czas pokoju, towarzyszu. Kogo straszycie?

I Furmanek nie czekając odpowiedzi siada, bierze moje dokumenty i w czas przeglądu gada.

Przedstawiam tobie Antoniego Pisarka, który księguje, i Wiśkę Syr, która rachuje i ludzi wylicza. A wam gadam, że macie przed sobą kierownika bazy maszynowej. Cześć mu należną oddawać. Rzeknij no słowo, Aloś.

Zaraz, prezesie. Zaraz.

Patrząc na pannę blond pomyślałem sobie, że czas najwyższy zawiązać akcję, udzielić sobie azylu pod strzechą i z pokorą niewydajnego kochanka wpisać się w wymiar losu. Byłby to piękny gest dla dziecinnej śmierci w nagim sadzie, której byłem mimowolnym sprawcą i świadkiem. Nastąpiło to na etapie mojej chłopięcej fikcji, kiedy wyobrażałem sobie Czarny Las jako głąszkę, a ludzi jako ćmy pędzące na oślep w nieznaną podróż. Bawiło mnie to i przerażało. Rzecz jasna owe stany zmieniały się tak szybko, że trudno teraz znaleźć styczną i muszę łątać dziury strzępem osławionej nici. Patrząc na pannę blond widzę się na jabłoni w porze mroku. Słyszę brzękliwy koncert chrabąszcza. W nim wolno człapiące, kroki Syra na

ścieżkach, którymi upstrzono sad dla jego urody własnej. Jest to jego magiczne zwierciadło, jego gościniec wypolerowany strumieniami letniej burzy. Chodząc, błaga dziecielinę o przyjście. Ja na jabłoni spokojnie obserwuję to rozpaczliwe kołowanie i czekam. A on wzywa dziecielinę raz szeptem raz głosem wielkim. Drzę cały, bo gdyby mnie odkrył, to musiałbym go zabić, a jest nieprzyjemnie z jabłoni razić ogniem ciągłym, nieprzyjemnie i nie po męsku. Oczywiście jestem przekonany, że mnie nie odkryje i spokojnie dłubię w nosie ciesząc się z faktu, że jestem i tyle widzę. Wielki głos Syra wybija mnie z tej oczywistości i rozchylam gałąź. Siedzi pod jabłonią rozebrany do pasa. Dziecielina zjawia się nagle, taki chrząszcz brzmi w trzcinie zjawia się w magicznym zwierciadle.

Jestem, tatu.

No to drap. Aby mocno i z wyczuciem.

Widzę mączne plecy i równy posuw rąk. Syr postępuje i pogaduje.

Drapanie drapaniu nie równe. A chodzi o to, żeby było równe. Po to my walczyli w ryku dział i bili wroga. Należy nam się to. Drap, kochana, drap.

Robi to z lekka sapiąc. To jeszcze bardziej rozchylam gałąź. Chcę być odbity i kochać świat, chcę skoczyć na ścieżynę i porwać dziewczkę o jasnym loku i chmurnym oku. Ale nie widzę siebie, nie ma mnie w tej serdecznej zabawie i czysta wściekłość ogarnia mi duszę, czyli umysł. Wyciągam palec i strzelam do dziecieliny. Zabiłem, myślę, normalnie zabiłem i mogę odejść. To się rozumie.

To się rozumie, że chcę pracować w rolnictwie dla idei. Jeśli pan prezes zechce, to pogadam na ten temat.

A pogadaj sobie, Aloś. Praca, której towarzyszy mądra mowa, służy rozwojowi.

Tak jest. Tu trafiliście w dziesiątkę. Mądrej mowie nic po słowie. Mądra mowa jest wszystkim i niczym. Wszystkim, kiedy wybiegamy nad poziomy, a niczym, kiedy spadamy w pion. To tak na zdrowy, chłopski rozum. A teraz po uściśleniu nazw pogadamy sobie na temat idei.

Tylko bez ciemnoty Aloś. My ludzie na funkcji i na picerstwie się znamy.

Nie będzie żadnej ciemnoty. Będzie pokazana na przykładach zaczerpniętych z życia i historii moc ideowa ludzkiej kondycji. Na wstępie powiem o stałym miejscu idei w przekroju społecznym. Znajduje się to miejsce między częstotliwością drgań osobniczych pragnień a wolną wolą aparatu przymusu. Na to świadczy moja własna sytuacja, której zwierciadłem jest sumienie każdego sprawiedliwego człowieka. Jestem dobry i sprawiedliwy, ludzie. Jestem sam i pełną garścią sięgnę do przykładów z życia historii.

Przerwie tobie, Aloś. Czemu u ciebie życiorys taki krótki?

Wybaczcie, panie Furmanek. Po pochodzeniu i szkołach nie ma o czym pisać. Normalnie nie ma.

Sirotko moja. Lepiej tych idei nie rozkładaj na czynniki, pierwsze, a wypowiedz jednym zdaniem. Oto nam dzwoni telefon. Halo? Towarzysz Naczelnny przy aparacie? Witam was, witam. Jest w porządku na froncie wiosny. Jest w porządku. Mam kandydata na kierownika. Chłopak tutejszy i na robotę chętny. Technik z praktyko. Chcecie dokumenty zobaczyć. Jutro podrzucim. Do usłyszenia Towarzyszu Naczelnny. Niech będzie wszystko załatwione ze względu na krajobraz po bitwie. Niech będzie.

Tak powiedział. Niech będzie załatwione ze względu na krajobraz po bitwie. Nic się nie bój. To będzie załatwione Mrugnął okiem i gestem pożegnał moją osobę.

Wyszedłem z budynku o jasnym tynku. Na plecach czułem wzrok Wiśki. Skuliłem się i zdecydowanie wdepnąłem na szosę asfalt. Szedłem w wybitnie zdrowym powietrzu wioski Rewy i chłonałem pomyślny początek dnia. Było niezłe w tej ciszy rozmyślać o życiu z punktu widzenia nauki. Życie z takiego punktu widzenia dawało pewność istnienia tu i teraz. Nie było ono przygodą, ale ciągłym dochodzeniem prawd obiektywnych. Chociaż samo poznanie prawdy odłożono na czas nieograniczony, jednak w takim przypadku jak spacer



szosą asfalt sam już krok przypominał, że jestem powołany do bezwzględnej demaskacji rzeczywistości. Demaskacja rzeczywistej struktury rzeczywistości jest nie do wykonania przez jednostkę, jest niemożliwa, śmieszna, idiotyczna i w ogóle do de. Ponieważ był to układ zamknięty wypełniony próżnią i każde przebicie ścianki bocznej mogło pociągnąć za sobą nieobliczalne skutki. Co innego w układzie otwartym i wypełnionym ciężarem właściwym związku metalu z siarką lub tellurem czy selenem. Bawi to oko i cieszy duszę, czyli umysł. Dalej. Życie widziane z przodu ma tę właściwość, że jest bez właściwości. Po prostu widzi się dużo możliwości i żadnych wartości. Natomiast życie widziane z tyłu posiada wartość nieproporcjonalnie większą od możliwości. Banalnie można powiedzieć, że w jednym i drugim przypadku jest się odpowiedzialnym za punkt widzenia. To była bomba. Przystanąłem z wrażenia, a z oka spadła mi chusta św. Weroniki. Zobaczyłem, że stoję przed barem Relaks i wszedłem. Za ladą Syr kiwał się nad gazetą. Pozdrowiłem i zamówiłem duże jasne. Syr przygładził siwy włos i powiedział.

Wróciłeś synu marnotrawny. Wróciłeś?

Nie jestem synem marnotrawnym. Jestem homo oeconomicus, który rachuje i miłuje.

Że jak? Mnie gównu do tego, ale wróciłeś i stoisz mi na wzroku. A jeśli już stoisz, to ja ci powiem tak. Aloś, Aloś, bój się ty Boga i własnego sumienia.

Dlaczego mówicie o Bogu i sumieniu w porze rannej?

Bo mnie pali wstyd za te dzieci kwiatów. Wstyd mnie cholerny pali, kiedy pomyślę perspektywicznie. Kiedyś w Baliszkach spotkałem mego kumpla z batalionu sześć. Było ciepło i słońce ku południu szło. Z początku gadamy o poczynaniach Organizacji w krajach Bliskiego Wschodu. Niby nic, gadamy. Nagle kumpel z batalionu sześć, pluton trzy chwytą mnie za łapę i wielkim głosem powiada. Wojciechu, ja ginę w czas pokoju. Ginę. Oto mój syn siadł na bruku i przeciwstawia się społeczeństwu swemu. Dogaduje mi zjadliwie, że materię i rzecz ceni wyżej, że zatraciło metaliczny połysk ideała, że jest obłudą i zakłamaniem. Tak gada siedząc na bruku i rysując serce. A mnie ściska rozpacz i przerażenie. Bo gdyby choć wyzysk człowieka przez człowieka u nas panował, gdyby niesprawiedliwe nad sprawiedliwym górę brało, gdyby nędza, głód i but żandarma dusił. Nie, Wojciechu. Ja ginę w czas pokoju. Ginę. To ja mu odpowiadam. Zastraniec ty, a nie ojciec. Weź kołka i daj po śpinie, żeby zobaczył planetę ludzi. Tak daj.

I dał?

Tego nie wiem. Zostawiłem go z niepewnym uśmiechem. To już nie był kumpel z batalionu sześć, pluton trzy. To już był stary człowiek i trzęsło nim przerażenie.

Syr przemył parę kufli. Wlazł na stołek i nad drzwiami do kuchni przybijał jadłospis. Było w nim jedno danie drukiem położone.

## KOTLET SCHABOWY NA ZIMNO I GORĄCO PODAJEMY

Syf z wysokości monotonnie gadał.

To jeszcze nic. W miasteczku Baliszki mieszka taki facet, któremu jest wszystko obojętne. Trzy żony już przez to zmienił. Ostatnia była z naszej branży i mówiła, że przez ten tumiwisizm nabawiła się zgnilizny moralnej. Wyobraź sobie. To było straszne. Mieć świadomość, że facetowi zawsze wszystko wisi. A ten skurczybyk, mówiła, chrapał i gwizdał hej byłem ci ja orzeł piękny. Tak gwizdał. On na kolei robił i ciągle stał na posterunku, choć mu było obojętne. Ja myślę, że taki facet zasługuje na uwagę czynników wyższych.

Oczywista, że zasługuje na uwagę czynników wyższych. Oczywiście.

Nie przedrzeźniaj mnie, Aloś. Nie przedrzeźniaj, bo powiem tobie tak. Gównu z mego i twojego.

Stał jak świeca i patrzył mi prosto w oczy. Szosą przejechał traktor i ściany baru Relaks zadrgały. Psychicznie uczułem serdeczny ścisk i postanowiłem ujawnić się. Powiedziałem.

Pola zielone mają dla mnie znaczenie znaczące i budujące. Nie powracam jako marnotrawny syn tej ziemi, ale jako ten, któremu miła każda strona. Niech pan to rozważy.

Nie będę rozważał, bo mnie gówno do tego. Ale ci powiem tak. Aloś, Aloś, bój się ty Boga i własnego sumienia.

Tak powiedział i opuścił stół. Było mi przykro, że nad moim serdecznym ujawnieniem przeszedł do porządku. Nie żądałem dobrotliwego słowa. Przyjemność znalazłbym i w zgryźliwym śmiechu. Ale takie stanowisko znieważało mnie. To ja mogłem w czas swego chłopactwa oglądać jego magiczne zwierciadło, choć nie byłem w nim odbity ani na milimetr, ani na centymetr? To ja mogłem dopuścić się do mordu i sypnąć nań owoc jabłoni i pociągnąć za sobą ten obraz? To ja teraz wstanę i ostatecznie ujawnię moją wolę. Już wstaję z kuflem w prawicy i walę w stół. Szkło prysło na boki. Zadzwonilo w ciszy kłapanięcie zębów Syra. Wychodziłem z przybytku nieważkości w aureoli sprośnych przekleństw i dzwoniących kłapanięć. Wychodziłem z przeświadczeniem, że był to mego odbicia początek i akcja wykaże urodę dalszego.

Akcja wykaże. Skierowałem swoje kroki w stronę szkoły. Miałem dużo czasu i mogłem w nim nurzać się do woli. Mogłem pamięć zahaczyć o rafę wspomnień i w kolorze jasny wyobrazić sobie Kasię ciemnoblonde. To kobieta mego życia i gołębica pokoju. Lubiła grać w zielone i czekała na chatemorgane. Ja jestem gołębica pokoju i chcę z tobą zagrać w zielone.

Kasiu–Kasiu. Dobra Kasiu.

Nie przezywaj mnie. Jestem zwyczajna i niepiersista. Gram z tobą w zielone, od pierwszego dnia znajomości. Ty jeden mnie rozumiesz, choć mówisz do każdego Iszkarioto. Dlaczego właśnie Iszkarioto? Kładę ci palec na usta łaknące i proszę. Milcz.

Kasiu–Kasiu. Dobra Kasiu.

Nie przezywaj mnie. Kiedy bawimy się w grę amor, jest mnie dobrze. Kiedy leżysz na moim brzuchu i chcesz zaprogramować pragnienie, zwane użyciem, jest mnie bardzo dobrze. A kiedy ujeżdżasz chmurę walczących bioder, to jestem całkowicie wniebowzięta! myślę o tobie psie–wilku. Poza tym uważam, że spełniasz warunek męskości i powinieneś modlić się w kościele Bożego Ciała. Ja nie mówię wiara. Ja mówię Iszkarioto, jesteś ranny. Tak mówię.

Kasiu–Kasiu. Dobra Kasiu.

Nie przezywaj mnie. Oto przywiozłam ci z pól zeschniętą kiść jęczmienia i chcę, żebyś wyraził jej piękno. Wiozłam ją w pociągu wypełnionym śpiewem poborowych. Zagadywano mnie z chamska i przyciskano do ścian wagonu. Posłuchaj. Weź tę rękę i nie pchaj się między nogi. I posłuchaj. Trzymałam kiść jęczmienia u piersi, abyś mógł odnaleźć dawną zieloność. Później w tramwaju linii dziewięć uśmiechałam się bezmyślnie, bo wiedziałam, że czekasz w pokoiku na piętrze domu wielkiego pisarza na kawałek chleba. Dałam go tobie z większą kiełbasą i patrzyłam, jak żresz. A żrac gadałeś, że szukasz pracy i nie masz pieniędzy na wyżywienie. Ta praca gdzieś czeka na ciebie, ale nie jesteś zorientowany w topografii miasta i dlatego cierpisz. Bo praca, gadałeś, to ważność i cel sam w sobie. Ta praca, gadałeś, jest miłością zawodu i powinna spełnić postulat opłacalności. A wtedy będziesz miał pieniądze na wyżywienie i zabierzesz mnie na wycieczkę w Góry Sowie. Wyjedziemy o świcie pociągiem z wąsatym konduktorem. Słońce spija rosę. Ja patrzę na ciebie i myślę. Ukochany to ten. Ukochany to ten.

Kasiu–Kasiu. Dobra Kasiu.

Nie przezywaj mnie. Za godzin dwanaście stanę w biurze i trzeźwo myślący powiedzą o mnie ka. Ale to nic. Będzie kiedyś dobry dzień i przestaniemy grać w zielone. Proszę, nie zlewaj się do środka, bo szukasz pracy nie masz na wyżywienie. Proszę, nie pchaj się na afisz, bo nie potrafisz. Proszę krótko a dobrze i nie przezywać mnie. Nie zgrzytaj zębami. Pokornie proszę. Nie zgrzytaj zębami.

Ciągle idę w stronę szkoły. Nie jestem zakochany i siłą woli zmierzam do spokoju. Chcę spokoju. Cisza w obejściach świadczy o tym, że ludzie są w polu. Sadzą ziemniak. Ziemniak

posadzony w odpowiedniej porze rośnie prawidłowo i jest smaczny. Przypieczony na ogniu rozpływa się w ustach. Podstawowe pożywienie ludzi i świń. Gotować około godziny. Uduşzony i polany tłuszczem tworzy zgrabną kupkę. Powoduje stopniową otyłość i zmniejsza ostrość widzenia. Po czterdziestu latach systematycznej konsumpcji osoba ukształtowana jest na wzór i podobieństwo beczki Diogenesa. Dziesięć minut filozofii dziennie i konkluzja, że wszystko ma swój rozum i nie należy drażnić biegu rzeczy. Także uczucie duszności przy nuceniu jak szybko mijają chwile i tym podobnych usłowi. Postanowiłem na przyszłość uważać i stać się jaroszem bez względu na wzgląd. Przed szkołą było pusto. Stałem przy płocie i patrzyłem w okna sali. Widziałem znudzonego Tymka spacerującego między ławkami. Gwizdnąłem. Dojrzał mnie i gestem nakazał czekanie. Usiadłem na schodach i myślałem, co wykaże akcja.

Akcja wykazała brak stycznej do okręgu brąz. Na przerwie, którą pokolenie powitało wrzaskiem i śmiechem, Tymek poprosił mnie do klasy i powiedział, że jest mu bardzo miło powitać w progach starej budy tego, który został człowiekiem. Wielka to radość powrócić ciałem do chwil, które umknęły. Na uniwersytecie mieliśmy takiego faceta od fonemomorfemu, czyli gramatyk szczegółowych, który przy analizie słowa mawiał Spiritus, ubi vult spirat, co się zaklucza jako Duch technie, kędy chce. Mowa, powiadał ten facet, określa naród, a język jego właściwości rozwojowe i myślowe, zwane poznaniem. Dalej zgłębiał teoretyków praskiej szkoły i donośnie wołał, żeby student nie dubał w nosie na zakrętach historii, bo nigdy nie wiadomo, jaka będzie prosta serdeczna. Facet ten był docentem i wszystko wiedział, ale nie przewidział, że zginie śmiercią bohatera dnia. Stuknął go ciężarowy wóz marki star. Możesz sobie wyobrazić tego faceta?

Mogę sobie wyobrazić.

Lepiej nie. Usiądźmy w pierwszej ławce i popatrzmy w dal. Widzimy tablicę, drzwi, w kącie zwinięte mapy. Widzimy też stół, czyli katedrę porysowaną scyzorykiem ucznia. Dla lepszej kontemplacji dobrze byłoby objąć się wpół. Chciałbym teraz się skupić i powiedzieć coś bardzo ważnego.

Siedzi dwóch takich objętych wpół i skupia się wewnątrz. Mamy ich blisko i możemy dokładnie określić znaki szczególne. Alek ma niskie czoło i gęsty włos. Pykniek o zielonym oku, które nie ujawnia specjalnego zainteresowania przedmiotami sali szkolnej. W chwilach silnego zdenerwowania na lewe oko pada zaćma, czyli katarakta, i on nie panuje nad sobą. Ma lat dwadzieścia pięć i jest technikiem z prawdziwego zdarzenia. Drugi jest wysoki, delikatny, ładnie postrzyżony. Biała twarz świadczy, że spędza noce na obłądnym poszukiwaniu kamienia. Albo jedni. Albo punktu, z którego mógłby niszczyć miłosierdzie bliźnich. Lubi niszczyć i budować. Jego wąskopodnie czoło jest czyste i niewinne. Trzy niepełne lata studiów na uniwersytecie, które mają znaczenie budujące. Uniwersytet – powiedział kiedyś – ma dla mnie znaczenie znaczące i budujące. Ale w jego murach coś mnie ssie. Coś przeraźliwie śliskiego. Teraz wstaje i szybko mówi.

Alek. Mam lat dwadzieścia cztery i nic nie przeżywam. No pomyśl. Zabijam muchę bez dreszczu emocji, pracuję bez szlachetnych intencji. Często mam chęć wbić ćwieka w drzewo żywota. Pomyśl tylko. Skrywasz się w urodzie czasu i jesteś odrodzony. Ja nie blaguję. W literaturze spotykamy wypadki i nowonarodzenia. Co ty na to?

Ja nie wiem, o czym mówisz. Nie wiem.

Ty nędzo masowej wyobraźni. Posłuchaj no. Raz zapytał mnie pewien wojak w stanie spoczynku, co myślę, gdy mówię dom. Grzecznie poprosiłem o powtórzenie, a kiedy on to uczynił, wyrąbałem historię żywca cedzoną przez gazę. Zapewne nie zdajesz sobie sprawy, że może istnieć historia żywca i to cedzona przez gazę. Jednak istnieje i przywołałem ją tu dla oświecenia twego krnąbrnego umysłu. Zacznę od tego, że wiosna czterdzieści sześć była piękna i ciepła. W powietrzu nie czuło się już spalenizny i zieloność wytrysła bujną nowenną. Wojak w stanie spoczynku przerwał mi w tym miejscu i powiedział, że to fałsz, ponieważ

była wielką ciszą, dwakroć większą od tej, której doświadczył dzień wybuchu wojny. Grzecznie poprosiłem go o spokój i umiar, który wyznaczał starożytnym formę człowieczeństwa. Mój wojak zaperzył się i kazał ciągnąć dalej. Nie ma dalej, powiedziałem, ale cokolwiek bliżej. Gdy mówię, że zieloność wytrysła bujną nowenną, to nie jest to takie sobie lelum–polelum chłopaka, który natenczas ujrzał światło dnia. Jest to stan faktyczny i kronikarsko uwieczniony. Czy wioskę Rewy pan zna?

Nie znam, odpowiada on, wioski Rewy. Nie znam, bo z przeszłości zjawiam się i bagaż nieszczęść na garbie mam.

Nie szkodzi. Wioska Rewy leży między dziś a cokolwiek dalej. To duża wioska i pełno w niej dobrych ludzi. Część z nich wymarła, ale to nie naruszyło hasła zwartości i gotowości. W szeregach pilnuje porządku wieża kościoła. Wiosną czterdzieści sześć cień jej padał ukośnie do drzewa kasztan. Człowiek, który wyszedł z Czarnego Lasu, był naznaczony blizną i zmęczeniem. Szedł pod wiatr, a wracał z przesławnych bitek i krok stawiał mocny. Już to wystarcza do opisu jego pragnień, gdyby takowe posiadał. Wyznaję, że nie wiem, czy ten człowiek pragnienia posiadał, bo według beletrystyki i mitów kondycja żołnierza powracającego do źródeł ulega zmniejszeniu w stopniu zadziwiającym. O tych sprawach mówił kiedyś na spotkaniu z młodzieżą wyższy oficer sztabowy. Dowodził on, że po zwycięskiej bitwie współczesny Odys traci kontrolę nad własnym jestestwem. Rezultat jest taki, że leżąc w bruździe nieprzyjaciela myśli o przyjemnościach walk konnych, traktowaniu cywil–bandy i gwałceniu kobiet. Aby temu zapobiec, prowadzi się działania na dużych obszarach systemem czołowym, który pozwala na błyskawiczne przerzuty jednostek i niszczycielskie uderzenia w obiekty rażenia wroga. Zresztą konwencjonalna wojna jest zabawą w mięso armatnie. Następną rozstrzygnie zdwojona ilość bomb H.

Tak mówił wyższy oficer sztabowy na spotkaniu z młodzieżą z kolejnej okazji zwycięstwa nad faszyzmem. Po prelekcji miała być zabawa i ja zaraz pomyślałem o tym gościu z wiosny czterdzieści sześć, który zbliżał się do wioski Rewy. Twarz miał zrytą marszczem, a w oku tren spaleniowy. Kiedy doszedł już do kościoła, którego cień padał ukośnie do drzewa kasztan, siadł na kamieniu i ścierał ręką zroszenie.

Przestań gawędzić. Tymek, powiedziałem. O co ci wreszcie chodzi?

Poczekaj. Jesteś niecierpliwy jak wojak w stanie spoczynku. Poczekaj, mówię.

Dalej mówię. Gość siedział na kamieniu i ręką ścierał zroszenie. Dobrzy ludzie otoczyli go kołem i spytali, jak żyje? Odpowiedzi nie było. Spytali, dokąd zmierza? Odpowiedzi nie było. Spytali, czy ty z naszych, znaczy od wschoda. Odpowiedzi nie było. To odeszli do zajęć wiążących przyszłość z przeszłością i wrócili po wypełnieniu powinności swoich. Był wieczór i gość ciągle siedział na kamieniu. I spytali, czy żyje? A odpowiedzi nie było. I spytali, czy weźmie ziemię i stanie za pługiem? A odpowiedzi nie było. I spytali po raz drugi, czy żyje? I oznajmili. Żyje i będzie z nami. A na pamiątkę tej chwili pomalowali kamień na białą, który następnego dnia został wykopany i pokruszony na mak. To wszystko.

I ty nazywasz tę gawędę historią żywca cedzoną przez gazę? Dlaczego ty to tak nazywasz?

Tymek zaśmiał się i wałnął mnie w plecy. A kiedy stałem już na szosie asfalt, krzyknął z okna sali, że tak nazywa i przy piwie chluśnie pomyjami świata, mam być o siedemnastej trzydzieści w barze Relaks, to chluśnie, hoho, takimi pomyjami i takiego świata, że mi oko zbieleje jak tamten kamień. Tak zbieleje o siedemnastej trzydzieści w barze Relaks. Wracałem trochę zaniepokojony jego wyznaniem, bo realnie to było przy takiej znajomości beletrystyki i mitów, realne przecie i cholernie nieporęczne dla osoby bezpośrednio zaangażowanej w demaskację milej rzeczywistości. Postanowiłem na razie pomóc bratu w pracy na roli i zaufać przyrodzie, która leczy i zabija. Chałupa stała otworem na stole znalazłem kartkę, na której koślavo położono.

ALOSIU  
MY PRZY KOPCU ROBIM  
ZA CHATO

Udałem się tam, a przechodząc koło obory zjrzałem do byka. Trzymał w pysku ździebełko i żuł, równo przeżuwał pożywną sienność i machał statecznie ogonem. Skierował na mnie oko fiolet. Łzawiąc odbiło mnie w pozycji stojącej pięknie i dokładnie. Chciałem podejść i chwycić go za róg, ale po-bałem się ataku. Zdecydowałem, że kiedy indziej podejść, kiedy indziej chwycę za róg i wzniosę się nad ziemią odkupioną i zbawioną. Pożegnałem go słynnym gestem – ręka w górę i dobre sobie – i poszedłem do kopca z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Małżonkowie przebierali ziemniak w milczeniu. Powiedziałem.

Będę wam pomagał w pracy na roli. Dobra?

Cenię twoje chęci, powiedział Franek, ale ty nie masz zdrowia do robót długofalowych. Co rzekł prezes Furmanek?

Ma być załatwione ze względu na krajobraz po bitwie. Powiedział, że na dniach.

To siadaj i chwyć się kartofla. Mam w kopcu dwie odmiany. Lenino idzie do kosza, urano do wiadra. Zgniłki na kupę. Jasno wyrażam?

Tak jest. Zrzucę tylko garnitur i przystąpię do pracy. Dobra?

Jasiu, rzekł on. Jasiu złota. Daj memu bratu roboczy drelich, bo chce nam pomóc w ciężkiej pracy na roli. Daj.

Nie trzeba, powiedziałem. Już nie trzeba.

Siadłem i robiłem. Wiatr smagał lica. Robiłem. Patrzyli na moje ręce oniemiałym wzrokiem. Precyzyjnie segregowałem lenino i urano. Wreszcie Jaśka nie wytrzymała i zawołała.

Jeju. Przecie cały garnitur w łach obrócisz.

Proszę nie sugerować się materiałem elana.

Dobra? Proszę nie sugerować się.

Ty het mnie przypominasz jednego faceta z powiatu, powiedział Franek. Na ostatnim zebraniu ja jego poznałem. Miesiąc temu jak zebranie zwołali i przy pierwszym głosie wyszła kwestia zarodowca dla Rew. Bo w Rew ach nie ma zarodowca, a zapładnianie doreczne powoduje nerwowość bydłat. To ja na wolnych wnioskach zabrałem głos i oświadczyłem, że na okoliczność znajdowania się w mojej zagrodzie byka maści czerwo za kwartał będę dopuszczał. Na to zrywa się przedstawiciel wydziału rolnego z pytaniem. Czy na pewno jest on maści czerwo?

A ja.

Żeby tak wieczności nie doczekał, towarzyszu magistrze inżynierze, jak pic tu wstawiam i reklame tylko widze. Jest takiej maści jak ta krwawica ludu pracującego. Po tym zerwała się burza oklasków za powiedzenie, które musiało być powiedziane ku pamięci historii. Tak to określił kierownik szkoły i zaraz dodał, że należy otoczyć szczególną opieką młodego rolnika i umożliwić mu pełny rozwój produkcyjny. Niech postawi jeszcze dwie lochy, bo jego ojciec był za hodowlą zawsze i wszędzie. Niech postawi. Przepraszam najmocniej, powiedziałem. Ale ja nie mam warunków i zdrowia. Byk tak. Locha nie. Wychodzę na powietrze.

Akurat na powietrze, powiedziałem. Akurat.

Franek wbił we mnie niebieskie oko i długo badał twarz.

Twardo powiedział.

Na powietrze to znaczy na powietrze. Nie tobie dochodzić moich kroków. Jasno wyrażam?

Tak jest.

No to dobro moje w ręce twoje.

Dobro moje. Siedzimy i robimy. Wiatr smaga lica, a zieloność cieszy wzrok. Spoglądam na tych dwoje, którzy są powołani do szczęśliwości i radości. Moje oczy widzą ten cel, o którym poeta powiada smakowanie gwiazdy. Poeta powiada też, że jesteś centrum i ujeżdżasz kobyłę myśli. Ostatecznie akcja wykaże, który ma rację. Podnoszę rękę z kartoflem lenino i rzucam do kosza. Rzucam raz–za–razem, coraz szybciej i pewniej, coraz zwiewniej i celniej, coraz duszy, czyli umysłu.

Dobro moje w ręce twoje.

Tak powiedział Franek Rzepa i przypieczętował to wielką butelką czystej robotniczej.

Była godzina dwudziesta i bar Relaks kołysał się na obłoku optymistycznej tragedii. Bracia chłopci trzymali siebie w ramionach i przepowiadali koniec świata. Dzień niedzielny nieubłagalnie zmierzał na drugi brzeg rzeki Styks, jak to pięknie określił Tymek i głową majtnął nad stołem. Był już kompletnie zapity i gładząc kolano Zajca gadał o kochaniu ziemi ojczystej.

Polacy, gadał, jeszcze jeden wysiłek, a będziemy bliżej niż dalej. Jeszcze jeden wysiłek, Polacy!

To się rozumie, rzekłem, że będziemy bliżej niż dalej. Przecie to jedyne sensowne działanie. Rozlej, Franek.

I Franek rozlał. Przez chwilę obserwowałem zamglonym okiem upojoną brać i padającą z nóg Klocie. Następnie wstałem i wzniosłem toast za pomyślność świata, żeby się na nim wiodło dobrze i szczęśliwie. Żeby każdy widział jasno siebie i nie dumał o raj. Żeby człowiek człowiekowi nie był wilkiem. Taki toast wzniosłem. A widząc Klocie idącą na zaplecze, ostro krzyknąłem.

Co robi wielki Mendoza?!

Lecz odpowiedzi nie otrzymałem. To siadłem i powiedziałem z rozpaczą głośną, najgłośniejszą, w szum i dym. Taką wyrwaną z trzewi i rzuconą pod but.

Co się tu dzieje, ludzie. Co się tu dzieje!

Z rozpaczą to powiedziałem i wysłuchałem bluzgającej mowy mechanika Zajca o ztracie męskich charakterów. Przy każdym – kurwa, burzy mnie – potężna łapa spadała na stół i siała popłoch.

Ja z wami zrobię porządek, szmaciarze. Nie będzie tak, żeby słaby silnego powiązał w kij. Nie będzie. Ja toczę wokół spojrzeniem i widzę dno. Tu gadam. Dno widzę. Przedwczoraj mnie pożądanie spętało wewnątrz i ruszyłem do kobity na Hubiel. Na motorze gazela do kobity sen. Patrzyłem w dal, a ziemia wybiegała mi na spotkanie. I tak jechałem do Maryski Wu, szmaciarze. Dopadłem ją przy dojeniu krów i donośnie zawołałem.

Maryś, przybyłem w wiadomej sprawie. Hej Maryś!

A panna Wu oświadcza, że wołochaczka dzisiaj nie dysponuje rozkoszą i będzie tylko pieszczota dopiersna. To siadłem pod oborą i uroniłem łzę za dobrym czasem, w którym skakałem po górach. Łzę uroniłem szmaciarze, śmierdziele mało wydajni. Łzę!

Mechanik Zajc zachłysnął się piwem i pluł długo a dokładnie. Franek stuknął butem o cement baru Relaks i groźnie powiedział. Nie podoba mi się zdanie o ztracie męskich charakterów. Nie podoba się też szmaciarze i śmierdziele mało wydajni. To obraza osobista.

W rzeczypospolitej Rzym, powiedział Tymek. Obraza plebsu kosztowała gardło. Dowodem na to niech będzie Koriolanus. Człowiek ten chciał zniszczyć ludowych trybunów i marnie skończył na wygnaniu. Nazywał się Koriolanus, kapujecie?

Było nam wszystko jedno i zgodnie pokiwaliliśmy głowami. Tymek powtórzył Koriolanus, Koriolanus i zdumionym okiem patrzył w dym. Atmosfera zageściła się akcyjnie i melodyjnie. Bracia chłopci śpiewali o górze i dolinie. Niektórzy sunąc między stołami chwyтали się za ramiona i głośno wołali.

Ty gębe mnie daj. Hej gębe mnie daj!

Był wieczór niedzielny i ludzie żyli i pili.

Wreszcie realnego widziałem księgowego Pisarka butnie podkreślającego węża. Z boku wynurzała się twarz Furmanka znaczone na brąz i płynęła nad błędnym zacięciem w męczeńskim spokoju. U czoła wisiała mu karta z daniem położonym czarną literą.

### KOTLET SCHABOWY NA ZIMNO I GORĄCO PODAJEMY

A nad tym rozległe i rzeczowo bufetowy Syr grzmiał z kapraleską do stojącej pod ścianą dziewczyny.

Panno, panno. Książka jeść tobie nie da i darmo ty łykasz kartki. Słuchaj człowieka, który perspektywicznie patrzy i doświadczony jest minionym. Żył kiedyś w miasteczku Baliszki notariusz sądu powiatowego, który zwariował przez te czytanie. Siedział sobie przy stole i nagle jak nie wrzaśnie Boże, Boże, czym ja? Kto ja? że szyby zadzwoniły w domku danym mu przez państwo ludowe za wysługi wojenne. Tak padł z tym wrzaskiem na książkę grzbiet i zaczął nożem ciachać, ciachać, aż ludzie zbiegli się pod okno i z przerażeniem patrzyli na to szaleństwo. A on szalał, a on ciachał, a u okna ludzie gadali tak. A dobrze dziadowi, bo każdy głupi się rodzi i głupi umiera. Dobrze dziadowi. Póki przyjechała milicja, to pokrajał wszystkie i siadłszy na tym zniszczeniu gorzko płakał. A ludzie ciągle gadali, że dobrze dziadowi. Niech wyżej siebie nie skacze. Dobrze mu tak. To i ty, moja panno, zważ na te słowa i zbierz kufle na sali. Zbierz.

Popatrzcie no. Klocia uśmiecha się melancholijnie, powiedziałem. Czy ona naprawdę tyle czyta?

Ona wcale nie czyta, rzekł Tymek. Ona chłonie i pragnie opowieści niezwykłych na co dzień. Hej stary, krzyknął, ja tobie mówię, że znaczone to nie jest mówione. Słyszysz mnie, stary?

Ale w śpiewie o górach i dolinach zginęło wezwanie Tymka. Otworzyłem usta i z mocą godną stu gardeł wpadłem w refren pokoleń.

Ty zakwitniesz różą  
ty zakwitniesz różą  
a ja kaliną.

I tak rycząc refren pokoleń w całości i okazałości wyrazu, znoju, sil nie-mierzonych, których wieść gminna poznała historię Bartków i Maćków, zwanych ludem, co żywi i broni i czwórkami idzie do nieba z flintą na ramieniu, aż się oko cieszy i dusza raduje, bo tyle w tym marszu czaru i łagodności, tyle szczęścia, że refren pokoleń potężnie wstrząsnął ścianami baru Relaks i oknami buchnął w dal nocy. W kręgu światła widać było przerażone niewiasty, żegnające krzyżem naszą pieśń. Dzieci też widziałem trochę zaleknione i głupio roześmiane. Coś mnie naszło, bo zacząłem się nagle trząść i płakać. Był to jakiś spazm gniewu wyrażony napowietrznie nosowym buczeniem, że brat mój wbił niebieskie oko w ten chlip i bezradnie ruszył żuchwą. Wnet zaszkliły mu się oczy i załkał głośno, straszliwie, tak jak hetman nasz wielki, gdy mu trza było odstąpić pole i ruszyć w las, a rycerstwo człapiąc wściekle zgrzytało zębami i mówiło między sobą, że dobre sumienie i niewinność jest to memoria actionum nostrorum bene a nobis gestarum. Tak mówiło kiwając się w kułbakach. Dobre sumienie i niewinność moja objawiły się nosowym buczeniem, któremu towarzyszyło skandaliczne łkanie Franka. Stulcie mordy, wrzasnął Zajc i ostro wszedł w początek refrenu pokoleń. Z wolna wracaliśmy do siebie, choć bracia chłopci gardłem ręczyli za wszystko i wszystkich.

Chodźmy na powietrze, powiedziałem. Chodźmy.

Wstałem i balansem ruszyłem do drzwi. Na zewnątrz powitała mnie wiacha przekleństw i dziecięcy pisk. Przegiąłem się i runąłem w błoto. Leżąc na plecach widziałem zataczającą się trójkę. Objęci toczyli się ku mnie jak gład przeznaczenia. Stanęli nade mną i tak mówili.

Boże, Boże. Ałoś pijany. Jezu, Jezu, świat zalany.

Ktoś tu jest gładem przeznaczenia, powiedziałem, i chce mnie wykończyć. Ktoś tu taki jest.

Lecz Zajc odpowiedział bluzgiem, chwycił mnie za kołnierz i postawił na nogi.

A potem szliśmy przez wieś wietrząc się i pytając, wzajemnie wielkim głosem o gład przeznaczenia, który skryła ciemność albo ziemia. Szliśmy w pieskim skowycie i Tymek szargał świętości, pluł na łono kościoła i robił sprośne wycieczki w żywoty apostołów. Wszystko jest dozwolone. Wszystko. Mam na to dowód Iwana Karamazow, którego nie powtórzę z prostej przyczyny, że mnie przygniata. Ale co wy, gnoje, możecie wiedzieć? Co możecie? I długo gadał w tym stylu, aż wreszcie Zajc palnął go w ucho i uciszył na dobre. Na krzyżówce ten wielki z najmniejszych stanął i powiedział.

Jadę do kobity sen zahamować wzburzenie. Czołem. Wszedł do chałupy i w pięć minut później lampa motoru gazela objęła trzech na szosie asfalt. Kiedy minął nas z błędnym okiem i rozwianym włosom, Tymek wykrzyczał swój żal do ludzi i Boga, którego nie było. Krzyczał, że on jeszcze pokaże, jak się chodzi po obwodzie legendy, jak wygląda prawdziwie pierwsza świetność tego, co nie sieje, nie orze. Jeszcze pokaże, bo starożytny Rzym mu patronuje i uświęca każde poczynanie. W sensie duchowym uświęca. I objawszy mnie za szyję kazał się prowadzić w dom. Franek wziął go z drugiej strony i zatokami szliśmy do chałupy Dudzielów.

Patrzyłem w noc z wielką trzeźwością, taką zupełną i całkowitą, o jakiej marzyłem zawsze i wszędzie, że posłuży mi do rozwiązania węzła życia albo ćwierćżycia, że stanie się osławionym początkiem. Ta trzeźwość, myślałem, ta wieku osłoda pragnąca, pragnąca miłość na przykład do pól zielonych, miłość Błażeja Rzepy, który się kulom nie kłaniał i bił mnie moczona lejcką na zdar choć zdechł na pierzynie chachacha na pierzynie szlag go trafił bo był za pewny tego samego na niego gładu przeznaczenia, czyli mojry w ranek polskiej jesieni, oni wszyscy czekają tej jesieni, żeby chwycić promień kuli to reszta niech czekają i biją pokornie łbem, ja się nazywam Ałoś Rzepa i chcę dobra wszystkim ludzi a to dobro wyobrażam sobie jako działanie i walkę na to mogę podać przykład z życia i historii taki przykład na przykład był sobie chłop i była baba a u nich była kurka raba która, niosła złote jajka a te złote jajka chłop składał w koszu a w tym koszu leżał szczur bez ogona a nad tym szczurem bez ogona kołysał się topór albo taki przykład na przykład chodził pątnik po lesie i spotkał diabła to był już jeden z tych ostatnich, który cudem przetrwał i siedział u ruczaja wygłodzony, zastraszone i składając ręce powiedział pątniku dobij pątniku dobij chachacha dobił mnie Tymek znaczone i mówionym Tymek jest bałwan i śmierdziel mało wydajny i powinien dobrze nauczać nauczać nauczać on powinien jeszcze mieć żonę i dwa hektary dobrze by miał taki homo humanus wszystko dobrze zrobić dla miłości, która tak kwili u polnych dróg choć wszystkie drogi prowadzą do boju jak powiadał wojak Szwejk siedząc w kantynie na tyłach i żłopiać browar wszystkie drogi prowadzą do świata powiada Ałoś Rzepa na szosie asfalt i jest mu niewymownie dobrze iść do niego pamiętam taki wypadek z Panią Gosposią kiedy jej odbiło zrazem w śmietanie i wielki pisarz zachorował i zaminował swoją rozpacz w nieutulenie rozpirzenie w samą dziwkę muz a ja byłem a ja byłem na tej górze pokój i myślałem miłość wiara błądy sierp myślę.

Ja do ciebie mówię, że kumpel nasz chce zostać sam, powiedział Franek. Ja do ciebie to mówię po raz drugi.

...



Ja do ciebie to mówię po raz trzeci, że kumpel nasz ma pragnienie samotności. Oto słysząc jego przekleństwa opuszczam was z całą świadomością winy. Niech żyje i rozkwita myśl laika!

...

Opuszczam was, bracie Alosiu. Opuszczam.

Ja chcę mana, bełkotał Tymek. Dajcie mana i spieprzajcie. Ale dajcie mana.

...myślę o Kasi ciemnoblond na szosie asfalt który idziemy zatokami i ja o Kasi jako zjawisku niecodziennym powtórz sobie bydlaku Dobra Kasiu Dobra Kasiu Dobra Kasiu powtarzam ze względu na chleb z wiejską kielbasą którym się pożywiałem po trzech dniach postu kiedy byłem błądliwy i szukałem pracy w specjalności metalurgia warsztatowa szukałem pracy bo zobaczyłem się odbity w połysku stali bardzo smaczny jest chleb z wiejską kielbasą ale pod warunkiem że się nie truje o wszystkim i niczym tak było ale już nie jest myślę cię dziewczyno przy boku swym azaliż nie jest piękną doskonałą brew twa szalona azaliż kocham cię dziewczyno bez względu na wzgląd sytuacji życiowej bo po słowie azaliż poeta mówi jak potem też gdy już przeżył stuwargową różę nie do całowania Karatową różę. Nie do wyrażenia mówi poeta Boże Boże ile błota jaka słota a tu miesiąc pamięci narodowej miesiąc następny zwycięstwa nad faszyzmem i spotkań z czytelnikami i ja też z ludźmi chce pogadać o metalurgii warsztatowej wymienić pogląd na proces technologiczny rozumiesz mnie że trzeba robić robić robić i bez przerw reaktywować stracone złudzenia bez przerw.

Kasiu,

szosą asfalt dwóch idzie zatokami i jeden z nich myśli cię kropka noc jest i psy szczekają kropka on wzdycha do tych nocy w pokoiku na piętrze kropka czasem mu odbija refrenem pokoleń kropka bądź pozdrowiona panno ciemnoblond kropka bądź pozdrowiona kropka.

Kasiu,

Na razie cię opuszczam ze względu na mego przyjaciela, który chce mi coś rzec. Co mi chcesz rzec, przyjacielu?

Mana Mana Mana.

Kasiu,

On tak powiedział. On jest bardzo pijany i nie widzi na oczy. Wymaga opieki. Na razie cię opuszczę, a o tych nocach porozmawiamy kiedy indziej. Bądź pozdrowiona.

Tak pomyślałem. Bądź pozdrowiona. I zapytałem siebie o to pragnienie zwane miłością, które gdzieś znika, rozplywa się na wodzie lub chłodzie, mam wrażenie, że nigdy nie doświadczę snu na jawie, tej pełnej możliwości upojenia ciałem kobiety lub chłopca. Na przykład, Grecy czasów Platona ciało chłopięce uważali za wzór doskonałości, tak tylko pomyśleć – wzór doskonałości widziałem w Rajgrodzie w galerii współczesnego malarstwa, był to kadłub osławionej Julii złożony na worze nieczystości, reszta z tego domu prześwietlonego łagodnym okiem błękitu, którego realność wypełniły upiory i szczęk narkotyzowanych kajdaniarzy – że miłość w postępie geometrycznym rośnie zawrotnie i trzeba jedynie chęci. Trzeba czasu.

Byliśmy już przed zagrodą Dudzielów i Tymek pocałował mnie w usta. Powiedział, że ze słowiańska całuje mnie w usta, bo chce być pewien naszego chłopactwa, całuję cię, bydlaku, abyś mnie podziwiał i w potrzebie ratował. Ja jestem Pan i nadzieja dalszego, która hoduje króliki i dojrzewa w cieniu historii żywca cedzonej przez gazę. Chachacha. Gnido moja serdeczna. Domie złoty. Zgrzebni Piastowie. Monarchio Jagiellonów. Rozpusto elekcyjna. Rzeczypospolito kobyłki. Niewolo narodowa. Zrywy wyzwolenia. Wolności nasza i wasza. Sanacja zwiędła. Gwiazdo dalszego. Domie złoty.

Ach, powiedziałem. To cedzone przez gazę zatracą urodę. Milcz lepiej.

Odejdź, żłobie.

Jaka klasa. Co za bełkot. Czy znasz piosenki Czesława Niemena?  
Odejdź, żłobie.

Piosenki Czesława Niemena charakteryzują. Po pierwsze. Moc. Po drugie. Skala. Po trzecie. Zaduma nad przemijaniem.

Ale Tymek nie słuchał. Otworzył furtkę i wtoczył się na podwórze.

Zrobiłem w tył zwrot i pomaszerowałem do chaty. Bracia chłopcy wyli refren pokoleń i było dobrze. Zostawiłem ich rozkołysanych i lekko płynących na obłoku optymistycznej tragedii. Zostawiłem nie–doczytaną kartkę przygód wielkiego Mendozy. Zostawiłem cząstkę własnego zdrowia w dniu niedzielnym, kiedy się żyje i pije. Pies Kurta skoczył mi z radosnym mrukiem na nogę. Kopnąłem go w podgardle nie słysząc skomlenia. Wszedłem do pokoju i padłem na pierzynę, na której Błazej Rzepa chwycił promień polskiej jesieni. Wszystko to było nieokreślone, zawieszane, mało ważne. Wszystko to było nie tym. Poczulem, że będę rzygał. Chciałem wstać, lecz zamotany w błogi puch uniosłem jedynie głowę i wywaliłem z siebie całość tego dnia z tym znanym poczuciem kompletnego znużenia, które gwizdało mi przez nos melodię walczyka znad modrego Dunaju. Płasałem tam z moją dziewczeczką o jasnym loku i chmurnym oku, którą zabiłem w nagim sadzie strzałem ponurej wyobraźni kiedyś tam, może jej nawet nie zabiłem, a raniłem, kiedyś tam mogłem przecie nie wiedzieć, po co tratata, tratata. Jeszcze czułem to błędne zac zadanie wszystkim i niczym, nad którym z nagłą wytrysła kobieta grubej kości a czulego serca, kobieta z wiadrem w prawicy, rzucająca kartofel lenino daleko i celnie, której miałem powiedzieć o zmyśle, co reaktywuje starcone złudzenia, wieczorkiem miałem powiedzieć, a powiedział nie powiedział dnia następnego na tym kawałku pod Czarnym Lasem, tam wprowadził nie wprowadził ją w nastroje, znoje, nowenny, w czysto niewinne kochanie pól i ludzi.

Tam powiedziałem.

Oto przygotowujemy się do pracy, zwanej sadzeniem ziemniaka, i ja będę usilnie pomagał ze względu na czas pokoju. Patrząc na ciebie z profilu ogarniam się zrozumiałą radością z dobrze pełnionych obowiązków. Pierwszy obowiązek widzę w solidnym wykonawstwie powierzonego zadania. Tutaj jest bardzo istotny czynnik psychicznej równowagi, zwanej pogodą ducha. Nie można i nie należy pracować w zdenerwowaniu lub nienawiści do zadania, albowiem praca wtedy nie wzbogaca. Mówisz, że praca człowieka wzbogaca i mam celniej rzucać kartofel lenino w dołki. Bardzo dobrze mówisz. Rzucam celniej i idziemy noga–w–nogę. Dla mnie każde zadanie jest przygodą. W Przedsiębiorstwie Budownictwa Wiejskiego (pracowałem w nim przez lata górne i chmurne) otrzymywałem wiele zadań, które musiałem wcielić do biegu produkcji, i robiłem to z wielką przyjemnością. Moi przełożeni zachęcali mnie do studiów wyższych i mówili, że mogę wysoko zajechać na budownictwie. Teraz przystaniemy i posłuchamy wesołych pokrzyków brata Franciszka, który dołuje i rolę miłuje. Czy wiesz, że ziemia ta pali mi stopy swoją bujnością i rodnością? Ach, jak fajnie stać na polu i chłonać żywicę Czarnego Lasu, który szumi nie opodal. Bo ten Czarny Las to nie jest sobie taki zwyczajny las. I nie jest to puszcza. To las lasów i puszcza puszczy. Ty się śmiejesz, ale posłuchaj szumu, posłuchaj muzyki wieków, a sentymentalna się stanieś. W takim lesie tur zwierz kładł łeb na pień. W takim lesie poszycie gada o walce podjazdowej. A ile w takim lesie pamiątek z ostatniej wojny, ile krwi. Ach, serce. Róbmy dalej. Ja pamiętam, jak w tym lesie wykańczał się pewien wojak. Normalnie wykańczał swoje życie i nikt nie mógł mu pomóc. I pytali się ludzie proboszcza, czemu Bóg pozwala na tragedię w czas pokoju. Czemu to człowiek zasłużony i okryty chwałą wykańcza swoje życie. Bo zanika skrucha i modlitwa, odpowiedział proboszcz. Zanika religia. Zobaczycie z końcem wieka, co się będzie działo. Zobaczycie. Ach, serce. Róbmy dalej. Wargaty świszcz krimal–tango. Pięknie świszcz. On ma chód holenderskiego chłopca. Tamten ma krok długi, pewny, balansujący nad wdartą morzu ziemią. Nasz natomiast uzależniony od własnej i nieprzymuszonej woli chadza różnie, kiwa się niepotrzebnie nad zagonem, podwiewa go wiatr i w czas słoty drepce zapatrzony w

dal. A przecież chód oznacza, czy zwycięstwo nad przyrodą posunięto za daleko, czy w granicach wzajemnej uniżoności. Chód, serce, w momentach przełomowych jest ważnością nad ważnościami. Taką ważność widzę w pracy, zwanej sadzenie ziemniaka. Idziesz polem i spękana wargą całujesz światło dnia. Pomyśl tylko. Światło dnia. Mówisz, żebym robił i dużo nie gadał, bo robotę trzeba robić aż do przerobu i przejść do następnej. Dobrze mówisz. Wyprzedziłaś mnie nieco i pozwolę sobie ogarnąć ciebie spojrzeniem. Co ja mówię, spojrzeniem. Namiętym okiem pieśczości ciebie ogarnę. Jesteś w moim typie, choć w tym drelichu przypominasz stargany parasol. Widziana z tyłu podniecasz mnie i czuję, jak paleczka zajmuje pozycję działogórną. Kobieta mego życia twierdziła, że ta pozycja pozwala swobodnie ujeżdżać chmurę walczących bioder. Ach, serce. Chmura walczących bioder w miłości doskakiwanej to piękno rozkwitającej malwy. Lepiej tego nie można określić, kiedy to słowo straciło dobitną jasność i spadło w grób mowy potocznej. Lepiej nie można. Gdybym chciał z tobą walczyć na tym polu w celu zaspokojenia pożądliwości, byłoby w tym i darcie pazurami ziemi, i bełkot uniesienia, i nielojalność pocałunku, który miał uskrzydlać z nagłą przemienia się w toczącego robaka i obrzydliwie łechce wyobraźnię, będącą wykroczeniem poza ustalony bieg zdarzeń i umowy społecznej, gdybyś Jaśka rozumiała samotność tego, który klęczy na grochu i dobrożabiącym gestem oczyszcza prostą serdeczną z odpadów niewinności, i jeszcze raz to gdybyś Jaśka rozumiała... no, dosyć. Muszę ciebie dopędzić i sadzić ręką-w-rękę, cały dzień sadzić. A teraz powiem tobie o zmyśle, który reaktywuje stracone złudzenia, który reaktywuje stracone złudzenia dnia enia...

## II

Nie mylił się. Padał deszcz. Uniósł głowę i wbił oczy w mętny pejzaż. Zobaczył dach stodoły i coś białego, coś w typie anielskim, które majtnęło skrzydłem i padło w błoto. Zaśmiał się i pogładził miłośnię pierzynę z resztkami pożywienia. Westchnął. Ułożył głowę. Jeszcze raz głęboko westchnął i tak sobie powiedział.

Pada deszcz. Hoho. Deszcz pada wiosenny i zmienny. Po spojrzeniu na zegarek okaże się, że jest godzina dziewiąta. Okazało się. Jest godzina dziewiąta minut trzy. Pozostaje tylko wyjść z domu i nigdy nie wrócić. Bzdura. Moja godzina jest pisana lewą ręką. A lewa ręka chroni od niewiary. Zostało to udowodnione przez naukę i moje wyjaśnienia są tu zbędne. I dlatego, że zbędne, to ja postaram się tę zbędność sobie wyjaśnić. Mianowicie tak. Od lewa biorąc i nieskończoność może być częścią składową prawego oka. To sprawa jedynie ponurej wyobraźni. Taką wyobraźnię nabywa się przy długoletnim dochodzeniu prawd obiektywnych. I to na raty, bo względność wszystkiego może być sumą każdego. Oto przykład jaskrawy, bo zaczerpnięty z tak zwanego życia. Równo rok temu skonał na tej pierzynie Błażej Rzepa, którego tu traktuję najjednoznaczniej jako sól ziemi i ozdobę plemienia. Ale nawet traktując najjednoznaczniej nie mogę mieć pewności samego traktowania. Czy był wielki? Był. Czy umarł na pierzynie, z pięścią zagiętą na promieniu tej kuli błogo grzejącej? Umarł. Czyli był wielki, choć umarł na pierzynie, i może dostąpić chwały. Nie może. O, żadnej chwały jemu się nie odda ze względu na brak sumy. Jak będzie miał sumę, która zakluczy przeszłość w dziś lub w cokolwiek dalej, to mu się odda sprawiedliwie zasłużone. Inaczej nie odda. Tak. Wiosenny to deszcz i zmienny. Prawą rękę kładę na czoło i mówię. Pada deszcz. Hoho. Czerń przetacza się na wschód i klinem sięga w ziemię step. Ja teraz wstanę i zrobię mały porządek. Żalosa błogość przepiccia łaknie orzeźwienia. Kto tak powiedział? Za ile powiedział?

Alek Rzepa stał u łoża i z obrzydzeniem spoglądał na zarzygane legowisko. Zmiętolona pierzyna uwidoczniała niespokojną noc. Nie pamiętał tła. Zarys wszechobejmującego spania. Tak. Zarys. Nie mógł osiągnąć dna. To się rozumie. Prawo spadania nie jest prawem ciężenia. Bardzo dobrze rozumie. Zrzucił ubranie i skierował swoje kroki do kuchni. Jaśka krzątała się przy płycie. Franek ponuro gapił się w okno. Złoci kochankowie.

Cześć wam, powiedział. Dlaczego pada?

Bo pada, mruknął Franek. Kwiecień–plecień. Dobrze, że posadzili kartofel. Jestem zadowolony.

Ja też, powiedział. Dzisiaj będzie decyzja w kwestii zatrudnienia. Dzisiaj.

Przyjmio. Przecie Furmanek powiedział, że zostanie załatwione ze względu na krajobraz po bitwie. Tobie i mnie powiedział. A Towarzysz Naczelny swój chłop.

Co rozumiesz pod określeniem swój chłop? Pod określeniem tym rozumiem rozsądek i zrozumienie ludzkiej natury.

Aha, powiedział. Czuję rwanie w piersi. Dziwne.

To kac, rzekła Jaśka. Byliście zalani w pestkę. Franek w dodatku zgubił portfel. A ja siedziałam w chałupie i czekałam z obiadem.

Taka idiotka, która czeka z obiadem, to nie jest idiotka. To super–wierność.

Przepraszam ciebie, powiedział on. Wezmę miednicę i zrobię czyszczenie garderoby. Przepraszam.

Wziął miednicę i wrócił do pokoju. Robił czyszczenie garderoby. Padał deszcz. Zastygłe resztki pożywienia zbierał szmatą i wyciskał. Pierzynę odrzucił na poręcz i równo, z życiem, jak przy robocie żniw. Wyciskał. Jaśka przyniosła kwartę mleka. Wypił i podziękował. Następnie przeprosił ją za bałagan i niechlujstwo. Powiedział, że to się więcej nie powtórzy. Och, nie w sensie alkoholycznym. W sensie świńskim. Nie jest prawdziwym pijakiem i stąd wewnętrzne zwroty. Pogardza sobą. Tak jest. Pogardza i nie jest to słowo bez pokrycia. Przekona się w odpowiedniej porze. Och, przekona się. Jaśka zaśmiała się i powiedziała.

Lubię twoje gadanie. Przypomina kwilenie dziecka. Lubię też twoje oczy z iskrą wesołości. Wczoraj siedziałam w kuchni i marzyłam. Na początku widziałam się na balu ptasząt. Barwnie upierzona tangowałam i tangowałam. Później widziałam się w gronie gości dożynkowych. Szłam murawą i witałam trybuny solą i chlebem. Przedemną biegł chłopiec z bębenkiem u pasa. I werblował, werblował. Do obłędu. To byłeś ty. Zatrzymywałeś na sobie podniecenie tłumu. Myślałam cię jako obrońcę skrzywdzonych i poniżonych. Lecz znikłeś w cieniu flag i zostałam wchłonięta przez pieśń miliona. A jeszcze później widziałam się starą i zmęczoną. Siedziałam na przyzbie i wpatrywałam się w obraz Panny Maryi. Ona na obrazach jest zawsze piękna i melancholijna. I tak żałośliwie spoglądała w dal. To myślałam. Jeju. Spłodziłaś Boga i jesteś szczęśliwa. A ja spłodziłam sześcioro drabów i muszę umierać w samotności. Maryjo, Maryjo, to niesprawiedliwe. Mnie się dzieje krzywda. Maryjo. Były też inne marzenia związane z hodowlą tuczników i drobiu, ale już nie tak ważne.

Serce, powiedział. Rozbrajasz mnie, choć pada i pada. Chyba sobie podumam.

Jaśka zaśmiała się czystym chachacha i wyszła. Ubrał się i zapalił. Padał deszcz. Alek Rzepa stał przy oknie głęboko zamyślony.

Wstałem o dziewiątej z rwaniem w piersi. Dziwne. Rozumiem ból głowy. Lecz pierś?! Tutaj muszę się zastanowić. Ciągły brak okazji i miejsca na analizę zdrowia. A więc moje zdrowie psychiczne i fizyczne. W zasadzie bez zarzutu. W zasadzie, bo mimowiednym okiem patrząc na moją bladeść można pomyśleć, że cierpię na niedokrwistość. Jeżeli w ogóle niedokrwistość ma być wyznacznikiem cierpienia, to cierpię. W dalszym ciągu patrząc mimowiednym okiem. Mam jedno ramię bardziej spadziste. Żle. Bonaparte był mały, ale proporcjonalny. Już jako porucznik artylerii zdawał sobie sprawę, że zachowanie proporcji jest historyczną pokrywką dziejów. Okres cesarskiej świetności był na to niezbitym dowodem. Gdybym miał władzę, założymy. O, wtedy realizowałbym konsekwentnie filozofię strachu i nadziei. Dlaczego konsekwentnie? Nie wiem. O kurwa. Ale pada. Ale pada. Dalej patrząc mimowiednym okiem. Nie wyglądam na syna chłopca. Dziwne. Wydawało mi się, że na moim czole tkwił znak moczony lejki zawsze i wszędzie. Czy lejka to atrybut ponadczasowy? Czy raczej spacer nad lasami i polami? A wojak Chryzostom mawiał, że dobre sumienie i niewinność nasza... właśnie. Co właśnie? Właśnie mówię. Lejka, dobre sumienie i niewinność. Do diabła ze zdrowiem fizycznym. Oko kamery na psychiczne. Obraz czarno-biały, siedemnaście klatek na sekundę. Alos Rzepa nad rzeką. Leży w trawie poważny i nieśmiertelny. Tak jest. Nieśmiertelny ze względu na trawę, która charakteryzuje przyrodniczą pełnię. Wąż niegroźny oplata go w pół. Drzemią sobie. Alos chciałby wstać i odejść w jasność. Chciałby przez łąki i pola wędrować do tej skończonej jasności, popularnie zwanej szczęściem. Czy tak myślisz w chwili, kiedy klimat w Europie oziębł się w stopniu zadziwiająco? Bardzo dobrze myślisz. Jesteś facet na poziomie i spełniasz warunek ufności. Ufasz sobie. Jakże by inaczej? Ufasz i cieszysz się z tego. Twoja matka też by się cieszyła. O, jak ona by się cieszyła, jak by się radowała zdrowiem psychicznym swego chłopczyka od pól zielonych. Choć była taka cherlawa i w nic nie wierzyła, to jednak twoim zdrowiem by się cieszyła. A co myślisz. Przyszłaby za tobą do samego Rajgrodu i tak powiedziała. Alosiu dziecko. Jesteś dobry i kochasz wszystkich bez wyjątku. To mnie przeraża. Męczy, bo skąd u ciebie to oddanie sprawie miłowania, skąd to zapomnienie świata, w którym żyjemy. Ja myślę i myślę i nic nie mogę wymyślić. Alosiu dziecko. Jestem cherlawa i już dawno straciłam ufność. Już dawno. Był czas, że tęskniłam za nią mocno, że oczekiwałam jej w małym domku u szosy i mówiłam sobie. Przyjdiesz do mnie. Przecie na pewno zjawisz się u proga i pokłonisz się nisko, w pas, do samej ziemi. Dlaczego byś miała nie przyjść, ufności ty moja, dlaczego byś miała ominąć domek u szosy, w którym służebnica twoja przesiewa cierpienie i lata. Chichotko zwodna, nie kpj daremnie. Jestem jeszcze do życia, choć Błażej mąż tego nie widzi. On niczego nie widzi poza potrzebą w gospodarstwie. A przecież nie był taki. Widział kiedyś mnie całą, caluteńką, pachnącą i kochającą, i deptał jak ślepiec mój ślad. Łapał mnie w

powietrzu i rzucał na ziemię z radosnym okrzykiem. Kochaneczka! Połóż mnie rękę na kark. Chachacha. Połóż mnie rękę. Radosnym. A co sobie myślisz. Pachniałam świeżym udojem, manną nieba, kwiatem paproć. Tym pachniałam. Przyjdź i posmakuj, moja ty ufności, przyjdź w dom u szosy. Czekam na ciebie. Przyjdź. Tak mówiłam, Alosiu dziecko.

Jesteś facet na poziomie i wyprowadzisz ją z błędu. Stukniesz nogą o bruk i dobitnie powiesz.

Mamo moja. To było dawno i nieprawda. Znajdujemy się teraz w centrum miasta. Z lewa masz dom ze stali i szkła. Wielki dom. Nie taki jak twój u szosy. W tym domu mieszka kilka tysięcy ludzi w szczęściu i zadowoleniu. Przypatrz się jego strzelistej linii. Piękna jest. Kapitalna jest. A wiesz dlaczego? Bo to nie jest zwykły dom. To historyczny dom. Wyśniony snem miliona. On się tobie też śnił, ale ty nie wierzyłaś. Ja wiem. Chciałaś wierzyć, ale kiedyś tam straciłaś ufność i już nigdy jej nie odzyskałaś. Ja wiem, staruszek. Ale popatrz tylko, że jest. Stoi w centrum miasta i my go podziwiamy. Nazywają go mister Rajgrodu, bo sięga nieba. I tam właśnie mam zamiar zamieszkać. Będę codziennie spoglądał na ziemię i sobie myślał. Pięknie jest. Kapitalnie jest. Sen miliona spełnił się w całej okazałości i wysokości. Mogę sięgać tam, gdzie wzrok nie sięga. Wszystko mogę. Na takich wysokościach już można złapać Boga za nogi i wymusić przyrzeczone uskrzydlenie. Można mu powiedzieć prosto z dachu.

Ty. Nie udawaj Greka, bo cię strącę. A coś myślał. Strącę ostatecznie. Dość rozdzierania szat nad rodzajem, dość niewoli. Teraz my porządzimy. Na wstępie weźmie się do dziedziny obyczaju. Wyburzy się przesady i strach przed tobą, żeby prosta serdeczna była prostą serdeczną z prawdziwego zdarzenia. Bo jeszcze tam, w głębi serca, każdy się ciebie boi i potajemnie składa hołd. Myśli sobie jeden z drugim. Co mnie zależy na wszelki wypadek dać mu świeczkę. Przecie nie zależy. A jak to wieczne bytowanie nie jest picem, ale wyrazem człowieczeństwa. To co wtedy, ha? Niby dialektyczne dowody nie do obalenia, ale doliny Jozafata nie tłumaczą. Ot co. Nie tłumaczą, choć potrzeba krytyki rośnie. On sobie buja w umysłach od dwóch tysięcy lat i kpi sobie z krytyki. To ja mam się przeciwstawiać, ja, taka masa towarowa, która przez mgnienie oddalenia od siebie może stracić dech? Ech, wiara. Nie bądźmy małostkowi. Oddajmy cześć tradycji i róbmy swoje. Człowiek żyje krótko a dobrze. Oto moje sprzęty, moja krwawica, dzieciaczki, zwane pokoleniem. Cóż mam im dać, żeby się nie znarowiły, żeby imię każdego było celem dobrego. Ech, wiara. Sprawy ducha zostawmy powołanym. Samochód kupiłem i chcę go ubarwić kolorem błękit. Cacko kochane. To lubię Cacko. Ech, wiara.

Ty. Nie udawaj Greka, kiedy mówię do ciebie. Ja zmyśliłem jednego z drugim i zmyśle jeszcze wiele, bo stoję na wysokościach i widzę daleko. Bardzo daleko. Słyszysz ty?

Alosiu dziecko. Widzę, że bledniesz i oczy twoje tracą skry wesołości. Prowadź dalej.

Tyle tu szkła i stali, i jakiegoś gniewu. Powiedz mi, skąd u tych ludzi gniew. Ty też masz go w sobie. Dziwny to gniew. Niewczorajszy. On mnie osobiście się bardzo podoba. Spróbuję się z nim podroczyć. Hoho. Alosiu. To ci dopiero wściekły gniew. Telepie mną jak w obozie Coburg, kiedy objadłam się amerykańską czekoladą, żeby być w zdrowiu. Co powiesz na to. Naprawdę dziwny to gniew. O, ta kobieta, która bije psa. Uderza celnie i elegancko. Pani to jakaś pewnie niewczorajsza. Suknia bordo lśni na niej kolorowo. Jak my przyjechali do Rew, to ja miałam na sobie samodział, a wszędzie było głodno i chłodno. Nawet podłogi zerwano i domek nie odbijał skrzypu naszych kroków. Nie chciałam w nim mieszkać, za nic nie chciałam, i Błazej mąż musiał przyprowadzić mnie do porządku. On na szlaku nauczył się chwytu klin. Zginał mi kark i uderzał w nerki. Później wiązał mi ręce na plecach i rzucał pod ścianę. Robił skręta i mówił tak. Właśnie tak.

Żebro moje. Kwasisz i kwasisz. Od wojny tak już mnie zakwaszasz, ty piesko umiłowana. Ale ja ciebie dobije. Och, jak ja ciebie dobije. Wezmę pod but i będę deptał. Za co, pytasz? Chacha. Do Reichu ciebie zabrali hożą i wesołą. Nie widzę już tego. Odmieniłaś się za nagle,

za prędko. Już nie jesteś kochaneczką pachnącą udojem. Bo widzisz, żebro ty moje, gdybyś pachniała karaczuńskim sianem, które sobie zmyśliłem na szlaku, jak biore je pod głowę i zapadam w sen, długi sen, taki sen, który nie jest tęczą ani zorzą, taki zwyczajny śpik porobotny, że lepszego się nie doświadczy. Płaczesz? A płacz, płacz. Wypłacz się raz na zawsze, bo przystąpimy do wielkiego dzieła i lzy będą wykluczone. Krowa i koń nasampierw. A tobie maszynę do szycia, żeby opędzić najpilniejsze potrzeby. I syny chcę mieć. Trzy syny, żebym z nimi robił i hulał. To dopiero będzie czas, jak staną rzędem za mną. To dopiero będzie zabawa. Pójdą po mnie, bo ty jesteś licha i zakwaszona. Jak dęby będą, jak strzały. Wyjdziemy w pole maszyną bind i zaczniemy robić. Bo musisz wiedzieć, że w ten czas maszyny będą ryć. W to musisz wierzyć, żebro ty moje. W nic nie wierz, ale w maszyny... no dobra. Trzy konie i trzy syny są na polu. Jeden siedzi przy zadach i nimi kieruje. We mnie się wdał, bo strzela z bata i pohukuje. Hohoho. Pięknie to robi. Prześcignął nawet ojca, prześcignął wszystkich. Nie ma na świecie furmana, który z nim by się równał. Hukaj sobie, syneczku. Hukaj. To ulżywa przy robocie i daje przyjemność. Wielka to uciecha hukać u maszyny bind. Trzy gniadosze trzymasz za pysk, w ziemię kopytami biją, uchem strzygają. Jak wierzchy. Bo i wierzchy to prawdziwe, z rodowodem. Baśka po Ligurze stadniny arabsów. Mam dokumenty. Specjalnie tobie kupiłem kobyłkę śmigłą, żebyś poczuł się lekko. Bo jak się ma śmigłe konie to wszystko twoje, mówię ci, wszystko na co popatrzysz. O, takie wesele. Zapraszają cię, a jakże. Młoda chce jechać okazale, dorodnie. A w taksówce tego nie widać. Cóż to zresztą za wesele. Końmi to hoho. Baty strzelają, uprząż błyska, słońcem jest się obleczonym. Drużbanci na kolanie druhny trzymają i śpiewają skoczne piosenki. Jedzie wesele. Jedzie wesele. A na samym przedzie ty z młodą w bryce. Samobieżaj taki, że klękajcie narody. Jak on strzela z bata, jak trzyma za pysk. To ci dopiero furman. To ci magik. Po naszych chłopakach od wschoda ma krew, rękę, oko sokole tak zwane. Ale syn. Ale syn. Toż o takim marzymy, że on się naszą dumą ogarnia, naszym całunem zbawionych i policzonych. I niech się siłą naszą ogarnie, którą od dawien dawna w sobie nosimy i nie możemy sprzedać. Teraz jednak sprzedamy, bo czas akuraty do handlu. Może sprzedamy za dobre słowo, a może za święte krwawienie? A może jedynie za grosze serdeczne. Potarguj się, synu Błażeja Rzepy. Coś nieskory przystać na nasze warunki. Zrozum ty nas. Choć jeden z nich musisz spełnić, bo inaczej nie będzie targowania i siłę swoją zniszczymy ostatecznie. A coś myślał. Zniszczymy jej czas i bicz się spopieli. Nie słyszy on i nie widzi. Jakby przysnął na bryce i pędzi na spotkanie czegoś. Skubaczyk przeklęty. Pędzi.

A drugi syn, żebro ty moje, na bind maszynie będzie siedział i uważał na ruch pławy. To mechanik i ozdoba tego czasu. On będzie oliwił, smarował, badał codziennie puls maszyny, żeby ryła za nas dobrze i pięknie. Bo ma ryć całą mocą swych części, ma tak ryć, aż ziemia zajęczy i poprosi o łaskę. Lecz łaski nie otrzyma. O, za nic w świecie. Ma rodzic góry chleba bez przerw, nieustannie, do dna jałowości. On będzie baczył, ten drugi. Tylko zazgrzyta lub zapiszczy, on zaraz do furmana krzyknie stój. Hej! Zatrzym no się, bo coś nie gra. Wczołgam się pod nią i sprawdzę. Opieki ona potrzebuje jak żaden człowiek. Przypatrz się tym szczyprawkom sznurującym zboże. Lśnią jak nóż. To znak niezawodności. Gdyby taka szczyprawka ciachnęła brzuch, to już byś słońca nie oglądał. Albo te tryby oblepione smarem. Co to za muzyka. Powiadam ci, żeś takiej muzyki jeszcze nie słyszał. Można przy niej tańczyć do upadłego i ciągle mało. Chcesz odpocząć, a tryb już następną puszcza płytę. Ja nawet po nocach słyszę to granie i fikam nogą. Ale trzeba dbać o maszynę, miłować to żelastwo jak żadnego człowieka, bo inaczej nie będzie służyć. On miłuje, ten drugi, swoje cacy-pracy. I ja go też miłuję, choć żelastwo nas dzieli. Gdy siedzi na bind maszynie zapatrzony w pławę, to jest tak, jakbym ja tam siedział. Ja sam. Moje lata młode i stare na siodelku bym złożył. Całe wojowanie o to dzisiejsze i dalsze bym położył na siodle i dobrze się usadowił. I wtedy żebro ty moje, tak bym do ciebie powiedział.

Wybacz. Nie jesteś ty piesko umiłowana i nie będę cię dobijał. Serce twoje jest takie jak zawsze. Kochające i śpiewające. Odmieniłaś się trochę za prędko, fakt. Widocznie tak trzeba. W domku u szosy, z którego zabrano nawet podłogę i kafle pieca, żeby wypełniło się przyrzeczone ziemiopowracanie, ty staniesz przy mnie, a ja tobie zmówię tak.

Kochaneczka! Połóż mnie rękę na kark. Chachacha. Połóż mnie rękę.

Tak zmówię, bo jesteś mi poślubiona i dasz mnie synów. A coś sobie myślała. Trzy syny jak dęby, jak strzały. Jednego z nich zamieniłem na siebie, żeby przemówić we własnym imieniu. Ale teraz puszcę go na bind maszynę, bo on mechanik i ozdoba czasu. On. Niech uważa i jak tylko zazgrzyta lub zapiszczy, to ma wołać stój. Stój no, coś nie gra...

A trzeci syn, żebro ty moje, ma iść polem i stawiać snop. Żmijowata to sztuka i muszę go robotą obłożyć. Jak patrzę na niego, to gniew mnie porywa. Wredny gniew. Niespotykany i nieopisany. Taki gniew, że klękajcie narody. Jakże u ojca taka nienawiść, pytasz? A co to. Co to nie mam prawa obdarzyć swego nasienia jadowitym słowem? Mam prawo, a nawet obowiązek ustawić go na ostrzu noża. A coś myślała. Ustawię i będę drażnił. Niech wie. Niech zna mój jad. Widzę, jak drepta po tym polu tam i sam. Bo on nie chodzi. Drepta. Ze strachu wtula łeb w ramiona, ręce mu drżą, oczy zachodzą bielmem. Chacha. Boi się życiodajcy. To dobrze. To znaczy, że będzie posłuszny mojej reszcie. Ty. Zbliź się i stań naprzeciw. Na baczność. Pięty złączone, przestrzał u palca. O tak. Dobrze z ciebie dziecko, choć nienawistne oku. Ogromnie żałuję, że musisz w tej ścierni stać wyprężony. Ano musisz. Jesteś moją resztą. A może chcesz mnie uderzyć, ha? To by była dopiero heca, to by był śmiech. Wyklęty i zaklęty. Bo ja bym cię wtedy wyklął z baśni, a zaklął wprawdzie, żebyś ciągle wiedział. Gdzie byś się nie obrócił, na co byś tylko nie spojrzął, a już świadomość ci mówi. Znasz. Wiesz. Nie należy brać tego serio. To nie jest sprawa warta gry. Wszystko już było. I tak dalej, i tak dalej. Tak byś sobie mówił po moim tuli w ząb. Ale na razie zostawię cię w tym zawieszeniu. Co tam. Zostawię. Poznaj chamskie serce. Pozycja na baczność daje mi rękojmię trwania. Zgadzasz się, co? Bo jakbym kazał tobie klęczeć na grochu, tobyś się zbuntował, co? No powiedz. Zbuntowałbyś się, co? Przeciw sobie i mojej reszcie taki bunt powstanie i opadnie łańc zdziwienia. Obydwaj jesteśmy w niewoli wiecznego zdziwienia. Na szlaku ciut-ciut, a już bym się z tego wyzwolił, już bym odrzucił precz winy i przewiny i w czas pokoju wszedł z odkrytym czołem. Ale cóż. Szlak się skończył i zostałem z tobą. Słuchaj ty. Ja mówię poważnie o tym buncie. On nas by uskrzydlił. I to jeszcze jak. Tak by uskrzydlił, że klękajcie narody. Zewsząd słyhać by było głośy.

Ale bunt. Hoho. Ale bunt. Taka w nim siła, że łańcy pękają. I to kto? Błażej Rzepa ze swoim trzecim. Pomyślałeś no kiedyś, bracie, że takie coś powstanie. Pomyślałeś choć kiedy. Bo ja szeląga bym nie dał za ich szczerość. To nie jest bezinteresowne, coś się za tym kryje, no bo jakże to. Bunt. Jaki bunt? W imię czego bunt? Przeciw niewoli wiecznego zdziwienia? Nie gadajta po próznicy. My ludzie wojny i wiemy, że krew żąda krwi. Owszem. Błażej sam tak. Niech podskakuje. Ale ten trzeci. Młodzik. Jemu cyc matczyny by jeszcze. Na manowce zejdzie. Gadam wam, ludzie. Zejdzie i kość nam tylko pokaże. Gadam wam.

Takie głośy zewsząd byśmy słyszeli. Mnie to nawet się spodoba ich niepokój. Głupcy. Tchórze. Niech ryją i za dużo nie myślą. Oni znajdują w głośach ukojenie. A bo to nie wiem. Znajdują. Każdy głoś jest cyzelowany do połysku, żeby mógł zabrzmieć tonem bór. I co sobie zamyślą, to zaraz brzmi w tonie bór. Więc jak będzie, co? Uskrzydlimy się, czy się nie uskrzydlimy? Milczysz, draniu. Stoisz sobie w pozycji baczność i gwizdzesz na moją resztę. Ech, wracaj do roboty. Mogę cię tylko obdarzyć jadowitym słowem. Wracaj. Co z tobą, moje żebro. Chcesz mnie dalej zakwaszać i zakwaszać...

Co z tobą, staruszek? Wyglądasz niedobrze. Usiądźmy na tej ławce. Oddychaj głęboko. Raz-dwa. Raz-dwa.

Dziękuję tobie. Już dobrze. Wzruszyłam się trochę, Alosiu dziecko. Takie było marzenie męża Błażeja w domku u szosy wiosną... Wiem, wiem. On umarł na pierzynie, choć był



wielki i nie lękał się śmierci. Niczego się nie lękał. Zakrył ją medalami i żywicą dobrego zdrowia. To był facet z polotem i niespotykaną już wiarą w siebie. Czytał Biblię i pouczał, że nic nie jest jedynowładnością. To takie widzenie na opak głazu przeznaczenia. Ten gład nie ja wymyśliłem, ale któryś z tych trzech, zwanych pokoleniem. Dobrze mi było z tobą, staruszek. Ja już dawno chciałem wysłuchać twego szeptu, który rzuciłaś na ścianę fiolet w dzień polskiej jesieni, pamiętasz chyba, szły czołgi i mąż Błażej stał u bramy z synem Franciszkiem i liczył maszyny, a ja stałem przy oknie i mówiłem, że lufy w blasku słońca lśnią przepięknie, igielnie, diamentem błyszczą i wystarczy, żebyś na moment ujrzała ten diament, a się uzdrowisz, ożyjesz, nowo narodzisz. Ale ty nie wstałaś i muszę cię teraz ponawiać, choć tak mi ciężko, tak nędznie nurzać się w patetycznym hymnie ku Bogostwórcy, tak nijako oddalać twoje wierzenie. Gdyby to wierzenie można było jakoś pokryć twoim imieniem, o, gdyby to można było zrobić, to byś na powrót stała się sennym odbiciem i ja głosem wielkim bym wrzasnął nad całunem policzonych i zbawionych. Kochaneczka! Połóż mnie rękę na kark. Chachacha. Połóż mnie rękę.

Tak bym wrzasnął. Lecz nie mogę. Szept dalszego i dalszego rozpląnął się na ścianie fiolet i polem biegnę do tej skończonej jasności, popularnie zwanej szczęściem. Czy dobiegnę, omotany przedzą polskiej jesieni, zbryzgany krwią ptaka jastrzębia, ujęty w całość i okazałość. Czy dobiegnę?! Ja, wpół nieśmiertelny...

Niech będzie, że jestem.

Alek Rzepa stał przy oknie głęboko zamyślony. Biała maska rozmyła się w szybie i na całej długości parapeta był już tylko kolor jasny. Postanowił działać. Tak jest. Będzie działać na łonie wsi rodzinnej, mówiąc obrazowo w pejzażu deszcz. Czas udać się do biura. Czas.

Co ty. Mówisz do siebie stojąc przy oknie głęboko zamyślony? To był Franek. Chwilę badał mu twarz. Powiedział.

Obserwuję cię od pięciu minut i się zastanawiam, czy ty to ja. Przecie jesteście braty, ale coś mnie się zdaje, że już nie braty. No bo zauważ taki fakt. Wczora był dzień niedzielny i my żyli i pili. W porządku. Ale dlaczego w czasie obserwacji naszło mnie takie pytanie. Czy wczorajsze może być dzisiejszym? Sam powiedz. Może być wczorajsze dzisiejszym?

Nie, odparł on. Wykluczone. Chociaż nie wiem.

A widzisz. Z jednej strony wczorajsze ruskie pierogi i dzisiejsze ruskie pierogi to to samo. A z drugiej strony nie jest to samo. To tak jak z wyciskaniem kwintala. Niby prawda, że nie prawda.

Ja nie wiem, o czym mówisz. Nie wiem.

Tu chodzi o to, tłumaczył cierpliwie Franek, że wczorajsze należy do minionego absolutnie. Na ostatnim zebraniu mówił o tym przedstawiciel wydziału rolnego zaraz po oświadczeniu Antoniego Grzegorza, które brzmiało. Tej wiosny orać nie będzie. Na pytanie dlaczego, Antoni Grzegorz odpowiedział.

Ja, towarzyszu magistrze inżynierze, całe życie robiłem w ziemi i nie skarżyłem się. Święcie gadam. Nie skarżyłem się. A teraz widać mi nie starcza. Bo jak mnie w Reichu odbili nery – to było za ojczyznę. Jak za Stalina uprawniałem się w kwestii planu, że za wielki, i wsadzili mnie do kibla, to było też za ojczyznę. Jak pędziłem dzieci do nauki i wypruwałem z siebie kiszy, żeby mieli co zryć, to też dla ojczyzny. To niech ojczyzna mnie teraz wynagrodzi i rentę da. Święcie gadam. Niech wynagrodzi. Na to przedstawiciel wydziału rolnego wstał i kilkoma zdaniem zmiądzzył okres błędów i wypaczeń. Następnie rozwinął swój słynny wywód, że wczorajsze jest przynależne absolutnie do minionego. Bo panowie chłopcy, mówił, nie chodzi nam wreszcie o to, czy ktoś wierzy w Boga, czy nie wierzy. Konkretnie chodzi o to, żeby było co jeść. A sprawa ofiar wojny i powojny? Ech, panowie chłopcy. Nie liczymy swego w skali narodowego, nie ratujemy róż, gdy płoną lasy. Kraj się uprzemysłowił, zdobywa rynki świata, a wy co, panowie chłopcy, wy jak? Dumać o tym, czy orać, czy nie orać, żadna sztuka. Ech wy! To ja mam was uczyć miłości do kochanej

ojczyzny? To ja mam przypominać ludzi, którzy oddali życie za tych, co żywią i bronią? Ech, bracia. Co minęło – nie wróci. Co będzie – akcja wykaże. Powiedziane jest. Z wielkim czynem lub z palmą iść i nie ufać ni trwodze, ni słowu. Tak powiedziane w Pismach wszystkich poety Norwid.

Na tym ostatnim zebraniu o wielu rzeczach stała mowa, powiedział Alek Rzepa. A może ty zmyślasz?

Żeby tak wieczności nie doczekał, wałnął się w pierś Franek, jak pic tu wstawiam i winnych wkoło siebie szukam. Tak było.

No dobrze, dobrze. Wychodzę do kółka w wiadomej sprawie.

Idę z tobą. Nie mam specjalnej roboty, a Jaśka mruczy pod nosem. Lepiej się usunąć.

Na progu Franek rozwinął brezentowy płaszcz. Skryli się pod nim. Deszcz bił o nawierzch jednostajnie i miło. Szosa asfalt lśniła i Alek z przyjemnością stawiał krok. Uważał za istotne podzielić się tą myślą z bratem. Franek pokiwał głową, ale nie przerywał. Uprzejmie słuchał wyważonych słów o przyszłości wioski glob. Alek z ręką uniesioną w górę ujawniał swe życzenie długich i szczęśliwych lat życia. Oczywiście życia tryskającego wszystkoinnością i jedynością. Takiego życia, w którym znalazłby miejsce pogląd, że wczorajsze jest dzisiejszym, a dzisiejsze wczorajszym. Uściśli to. Dzisiejsze piękno w odbiciu wczorajszych luster. Ostatecznie chodzi o naszą świetność. W innym wypadku by nie strzępił języka. Ale chodzi o naszą świetność, bracie, o ten zmysł, który reaktywuje stracone złudzenia, o wszystko, zwane doświadczeniem pokolenia. Rozumiesz mnie w tym względzie, co? Rozumiesz chyba moje gadanie pod płaszczem brezent i w deszczu jednostajnie bijącym o nawierzch. Pojmuję to zagadnienie jako wir naocznej dziejby. Nie patos i mglistość oka, nie żaden muł epoki, ale wir. Czytałem w beletrystyce o tych mglistościach, niebieskościach, niebnych spacerach chłopów polskich z jabłkami w prawicy i poczułem się obrażony. Tak jest. Poczułem się, bracie, z chamska upupiony. Bo to jest udupianie zbyt pospolite, nie wielorodne w odpowiedniku krzywe zwierciadło. Rozumiesz mnie w tym względzie, co? Oto idziemy do biura kółka z konkretnym celem. I wiadomym. Załatwia się robotę taką a taką, za tyła a tyła, robotę twórczo wydajną i sprawiającą zadowolenie. Pieczętuje się to okrzykiem. Niech żyje i rozkwita realność laika!

Każdy syn chłopski zna wagę rzeczy i nie będzie darmo fantazjował. Owieczki czarne nie liczą się bo to pył i poświata księżycowa. Następnie przystępuje się do narzuconych sobie zadań z wiarą lepszego jutra. Cześć. Serwus. Nie ma mnie dla nikogo.

Jak to, powiedział Franek. Jak to nie ma? Co tobie?

Alek zaśmiał się i stanął. Położył mu rękę na ramieniu i uroczyście powiedział.

Franku Rzepo, przezwany Wargatym. Jesteś bystrzak i ozdoba rodziny. Robisz od świtu do nocy i nie wiesz, czy jesteś szczęśliwy. Tak. Nie wiesz.

Ale ja nie chcę wiedzieć, rzekł on. Chodzi nam o jak najszybsze bogactwo w domu i obejściu. Po to harujemy.

Po to harujemy. Deszcz bił o nawierzch jednostajnie i miło. Poszli dalej. Na widoku budynek o jasnym tynku. Wąska ścieżka do niego prowadzi. Alek odrzucił płaszcz brezent i wstąpił pierwszy. Za oknem zobaczył sumiastą twarz Pisarka i gestem pozdrowił. Odzewu nie było. Nie zaklął, nie pomyślał pytania typu co jest? Z proga zawołał wesóło dzień dobry i jednym spojrzeniem objął pokój biurowy. Mądrym spojrzeniem i smutną myślą. Ponieważ było tak.

Ludzie trwali na posterunku i milczeli.

Wiśka Syr siedziała sztywno i odlegle. Tak odlegle od miejsca roboty, że w jej oczach chabr migotał skier wielbienia. Mamy tu na uwadze wielbienie świata bał. On to żył w niej bez początku i końca i dążył do bezwzględnie należnej sobie czci. Świat bał był marzeniem. Wyjaśniamy to. Był marzeniem i swoją wielkość pomniejszał systematycznym rozkładem w głąb. Często się słyszy o rozkładzie materii ożywionej i nieożywionej. Nie wyjaśniamy tego.

Organizujemy świat bal dla dobra wszystkich ludzi, ponieważ znamy ich tęsknoty, żale, nienawiści i radosne upojenia. Organizujemy świat bal poprzez pannę o oczach chabr i jest to słuszne. Alek Rzepa gorąco potakuje. Bardzo dobrze. Księgowy Pisarek podkreśla węża i pewnie stuka długopisem. Też dobrze. A prezes Furmanek kombatanckim gestem (Hohoho. Coś pięknego jest w tym. Coś pięknego.) zaprasza do tańca. Cóż. W imię tego.

Ludzie trwali na posterunku i milczeli. Bracia kolejno ściskali prawicę i mówili.

Co za pogoda. Co za pogoda. Cholerny kwiecień–plecień.

Nie narzekajmy, rzekł basem Furmanek. Opady mają być w normie. Nie narzekajmy.

Wyglądał bardzo źle. Twarzowy marszcz zaostrzył urodę i wtopił się całkowicie w brąz. Talary pod okiem głęboko zapadły. Przechodził coś w rodzaju duchowej męki w rytm jakiegoś marsza, który wystukiwał palcami i piętą lewej nogi. Bracia siedzieli pod ścianą i czekali. Po trzech minutach wzorowej ciszy i patrzenia w zaokienny, przeraźliwie moknący pejzaż Franek powiedział.

Byk, chwała Bogu, nabiera wagi i potencji. Dzisiaj rano przy futrowaniu wierzgnął jak nigdy. Stałem akurat u żłoba, kiedy wierzgnął. Spojrzałem mu w dumne ślepia i ożywiłem się. Tak, proszę ja was. Ożywiłem się ze względu na przyszłość.

Drogi panie Rzepa, powiedział Pisarek. Co z pana kulturą, ha? Co z nią?

Franek otworzył szeroko oczy i chwilę trwał w osłupieniu. Wreszcie wykrztusił.

Jak to? Co to?

Kultura codzienna obowiązuje. Szczególnie w obecności dam i urzędników państwowych. Szczególnie, podkreślił z naciskiem Pisarek, w ich obecności.

Czego wy, towarzyszu, straszycie, a nie robicie, smutno powiedział Furmanek. No czego straszycie?

Urzędnik zaśmiał się i podkreślił węża. Furmanek wstał i przygarbiony zaczął kołować. Miał krok piechociarski i pewny swego. Czasem stawał przed Alkiem i twardo spoglądał w oczy. Milczał.

Wiśka Syr siedziała sztywno i odlegle. Skry uwielbienia dla świata bal znikły i w oku zapanował bezbrzeżny smutek. Patrzyła w zaokienny pejzaż i myślała. Prysnę. Jak bogamego, prysnę z tej wsi. Pojadę do Rajgrodu. Mam wykształcenie i znajdę swoje miejsce. Przecie niemożliwe tak żyć. Kościół–chata–biuro. Niemożliwe. Po co ten Alek tu siedzi i czas zabiera? Czy on nie widzi, jak ludzie chichoczą i znacząco pukają się w czoła? Czy on naprawdę tego nie widzi? Nikt nie wraca do wsi rodzinnej z własnej i nie przymuszonej woli. Nikt nawet tak nie pomyśli, bo to nienormalne. Kryśka Janiuka pisała, że żyje dobrze i w zadowoleniu. A ma tylko zawodówkę. Żyje w zadowoleniu dzięki pracy w fabryce drutu. Wczoraj czytałam powtórnie. Dokładnie sobie przywołałam bruk tego miasta. Był mi zawsze wrogi. Już kiedy upadłam na chodnik i rozbiłam głowę. Wrogi był i wpływał ujemnie na trawienie. Za to pola zielone mnie cieszą. Dziwne to jest, że cieszą mnie pola zielone. Ale spacer miedzą w sukni bordo należy do bardzo przyjemnych chwil. Pamiętam tamtegoroczne spacer w towarzystwie psa Kruczka. Zapuszczałam się aż pod Czarny Las. Kruczek myszkował w zbożu, a ja statecznie w zielonym otoku, statecznie i z serdecznym syceniem oka kolorami przyrody. Idę. Oto rośnie sobie dar boży, zwany żytem. Jest gęsto posiany, odpowiednio podsycony nawozem, żeby z miesiącem czerwiec trysnąć bujną wyniosłością. Gdy przytuli się twarz do kłosa, odczuwa się pewną błogość i nagle usmutnienie z powodu przemijania. Ma się wtedy ochotę wejść w żytnie morze i razem z nim falować, zmierzać ku dalszemu, owijać dłonie wężem kłosa i pełną piersią chłonać wiatr. Ze wszystkich zbóż jedynie żyto zaskarbia uniżoność kosiarza, jedynie nad nim robi on znak krzyża i uważnie zwala na pień. Bo na przykład pszenica drażni prostotą, wytrzymałością na grad i burze i jednokolorowym pasmem, które nuży wzrok i niecierpliwie oczekuje bind maszyny. Idąc więc między uważałam za słuszną darować polom ciche słowa. Nie robiłam tego z przekory, ale z tej wewnętrznej racji, która kazała mi pozostać u boku zwariowanego ojca i słuchać jego

kaprałskiego głosu przepowiadającego klęskę rodzaju. Tu, wśród dobrze uprawionej ziemi, spełniał się postulat ewangelicznej miłości, jej moc przerobowa (bo o takiej tu mowa) wyzwalała mnie z dziecinnego przestachu w nagim sadzie, z tej fikcyjnej świetności starego Syra, któremu przedłużałam chwałę dymu i ognia drapaniem pleców, setek pleców, niezliczonych metrów mącznej skóry, będącej wiarą i nadzieją, a nawet miłością. Tak. Nawet miłością, o ile moc przerobowa moich rąk mogła temu podołać. Dlatego tak lubię samotne spacerować, tak lubię zielność i tajemnicze myszkowanie psa Kruczka, bo mogę wtedy oddalać swój dziecinny przestach na odległość bliższą i dalszą, oddalać moją tęsknotę za czałem Rajgrodu, w którym Kryśka Janiuka żyje w zadowoleniu i szczęściu. Dlatego tak lubię. A jeszcze poszum Czarnego Lasu, jego niespożyta energia w niszczeniu złudzeń i lat spokojnego słońca. O lalala. To lubię. To lubię. Tutaj raz zobaczyłam starego w pozycji półklęczącej, półgroźnej, pozycji charakterystycznej dla proroków i opętanych, zwanych z jednej strony szajbusami, i będących na utrzymaniu wspólnoty, zwanej z drugiej strony społeczeństwem. Stałam za drzewem i widziałam, jak stary głosił klęskę rodzaju. Widziałam to po raz pierwszy i byłam tym zafascynowana. Stary z wysuniętą nogą, odrzuconą w tył głową, siwym włosem opadającym na zbrudzone czoło, zagiętą w szpic prawicą odprawiał na leśnej polanie swe egzekwie. Pod zimnym niebem chrypiał jego głos w tonacji bór, przebijał liściaste korony, słychać w nim było gniewną żarliwość upadłych aniołów i szemrzącą godność ofiary. Były to moje ostatnie wakacje przed maturą i zaliczyłam już spektakle dramatu romantycznego i bezstronnie naprawdę bezstronnie mogłam porównać aktorstwo wyuczone i dane wybrańcom. Dana była ta leśna polana, to zimne niebo, mój stary zamknięty w przeszłym a obecnym, któremu poświęcał bełkot zbożnego chrześcijaństwa. Pamiętam, że wołał do niewiasty obleczonej słońcem, wołał głosem silnego przekonania, żeby nie rodziła tego dziecięcia płci męskiej i uleciała na pustynię, gdzie będzie żywiona przez czas i czasy i połowę czasu z dala od obecności węża. I stanął na piasku morskim.

Stanął na piasku morskim baranek nasz.

Długo jeszcze tak chrypiał pod zimnym niebem Syr, mój ojciec, z jednej strony zwany bufetowym, a z drugiej prorokiem. Ten, który w naszym nagim sadzie rozpaczliwie szukał mnie w labiryncie ścieżek. Ten.

Wiśka Syr siedząc sztywno i odlegle gapiała się w okno próbując na podmiocie skupić myśl. Furmanek chodził długim, pewnym krokiem i coś w sobie dusił. Pisarek i bracia ze spokojem czekali na słowo, które by rozładowało napięcie w biurze kółka rolniczego.

Możliwe, że to słowo nie zostałyby nigdy powiedziane, i daremność czekania nabrałaby cech mitycznej losowości, wyszłaby za rogatki marzeń. Lecz zawsze istnieje jakieś gdyby, pewne ale, które w momencie kiedy sytuacja ma rację, uwzniośla daną sytuację w stopniu zadziwiający. Aby nie być gołowąsem gołosłowia, powołamy się tu na pocziwy żywot dobrego wojaka Szwejka. Konkretnie powołujemy się na marsz do Budziejowic, dokąd prowadzą wszystkie drogi świata i miłe oku bezdroża, dokąd żołnierz wszechczasów wędrował ze śpiewem i wiarą. A powołując się (bo ciągle się powołujemy, ciągle trzymamy przed sobą odnośne strony co do dalszego i dalszego) świadomie i pokornie uwzględniamy każdy rytm każdego marszu i widzimy, że nasze gdyby, twoje ale, całe misterium marszu niezmiennie i odwieczne zostaje przez sytuację wyważone i zniszczone. Naszą sytuację, bo czas już najwyższy na dzwonek telefonu i znieruchomienie tu zebranych. Czas najwyższy na wiadomość w kwestii palącej.

Furmanek trzymał słuchawkę i donośnie wołał.

Czy to wy, Towarzyszu Naczelnny? Czy to wy przy aparacie, bo mnie już krew zalewa przez te panienki z okienka. Niech zalewa, mówicie. Dlaczego tak mówicie, Towarzyszu Naczelnny. Pozwolę sobie powiedzieć, że jestem człowiek na funkcji i odpowiadam za wycinek. Ano tak. Wy za całość odpowiadacie, rozumie się, za całość. Czy Towarzysz Naczelnny rozpatrzył podanie... robimy.. Tak jest. Robimy.

Orka i wagony. Czy podanie Towarzysz Naczelnym.. tutejszy, tutejszy i na robotę chętny. Jego ojciec jeszcze znajomy mnie ze szlaku. Brak doświadczenia, mówicie. A o jakim doświadczeniu, mówicie? Życiowym i zawodowym? Dobrze słyszę, Towarzyszu Naczelnym, wasze zastrzeżenia. Bardzo dobrze słyszę. Ale mnie trzeba fachowiec. Czy teraz wy mnie słyszycie? Fachowiec mnie trzeba, bo na deficycie jedziem i niezadługo padniem na pysk. Niech Towarzysz Naczelnym pomyśli, że on się tu zjawia z własnej i nie przymuszonej woli i chce działać. A dalej niech Towarzysz Naczelnym pomyśli, że naszym założeniem programowym jest wyzwolić w młodzieży poczucie odpowiedzialności i samodzielności w losach... Że jak? Że Towarzysz Naczelnym nie potrzebuje pouczeń. Że co? Że chcecie z nim pogadać? To wy zaraz przyjedziecie. Zaraz przyjedziecie? Hallo, Towarzyszu Naczelnym?! Ja pozwolę sobie powiedzieć. Hallo? Hallo?! Furmanek rzucił słuchawkę i siadł. Ciężko oddychał. Stał z czoła zroszenie i głucho powtórzył.

Zaraz przyjedzie. Zaraz przyjedzie. Masz tobie.

No to co, powiedział Furmanek, Przyjedzie i pojedzie. Wymieni z kandydatem poglądy na to i owo, wysłucha wiadomości z dziedziny techniki, od ręki zatwierdzi. Spokojnie, prezesie. Tylko spokój może nas uratować. Tylko spokój. Do roboty, huknął Furmanek. Do roboty, pieska wasza kancelaria!

No, no, mruknął księgowy. Nie w takim tonie...

Milcz pan!

Okrzyk ten sytuację rozładował. Furmanek chwilę dygotał, lecz strachliwie skupione twarze pracowników wystarczająco utwierdziły go w przekonaniu, że jest i rządzi. Zwrócił swój dostojny marszcz na Alka Rzepę i powiedział.

Słyszał. Towarzysz Naczelnym będzie tu za jakąś godzinę. Przygotuj się.

Jestem przygotowany, odparł tamten. Rozumie się.

Furmanek jakby trwał ponad życiem. Wstat i skinął nań ręką. Alek odebrał bratu płaszcz i wyszli. Na dworze rozłożył i poprosił o zajęcie miejsca obok. Skierowali swoje kroki do bazy. Minęli bramę z napisem

## MIĘDZYKÓŁKOWA BAZA MASZYNOWA W REWACH

i już był podwórzec z maszynami bind, sprzętem ornym i siewnym, a to: pługi trzyskibowe do orki głębokiej oraz pięcioskibowe płuzki do podorywek, siewniki o rozrządzie odpowiadającym poszczególnym glebom (od I do V), talerzówki, kultywatory, młocarnie okryte płachtami, presy do tychże młocarni ustawione w skos, przyczepy traktorowe oraz trzy rozklekotane zetory starego typu. Wszystko to stało w deszczu i czekało swojej pory. Weszli do warsztatu. Fachowcy siedzieli przy ślusarskim stole i rznąli w karty. Schować ucieche i do roboty, powiedział Furmanek. Chce tu widzieć czystość. Gdzie Zajc?

Zajc nie stawił się jeszcze i nie wiadomo, kiedy się stawi, zameldował przysadzisty chłopak. A czemu tu ma być czysto, ha? Bo Naczelnym przyjeżdża i nie bede łupał okiem. Wstawać. Robota ciach-mach. No. O la, powiedział któryś. Przecie to nie salon, żeby świeciło. To nasze piekielko. Nasze kochane piekielko.

Powstali z miejsc i grupą podeszli do drzwi. Przysadzisty chłopak wyciągnął rękę i sprawdził siłę uderzeniową kropel. Reszta z uwagą spoglądała w przeraźliwie moknący pejzaż.

Front niż, powiedział chłopak. Pare dni będzie oddecha. Chyba od Atlantyka, bo krople uderzają mocno i z bryzgiem. Jak służyłem w armii, to bywałem na poligonach w Kaszubskim. Tam jest taki zwyczaj sprawdzania pogody. Jak byk zadrze w górę ogon – deszcz. A jak majta swobodnie – pogoda. Alek zaśmiał się czysto i radośnie. Grupa zdumionym okiem spojrzała mu w twarz. Chłopak splunął i wycedził.

Na jaki wzgląd kolega szczerzy zęby, ha? On dla ciebie nie żaden kolega, huknął Furmanek. Brać się do roboty, ludzie. Raz–dwa. Ale zawołanie ześliznęło się po obojętnej twarzy grupy, zwanej fizyczna. Furmanek zmełł przekleństwo i machnął ręką. Na powietrzu Alek powiedział.

Co za typy. W PBW–u z miejsca dyscyplinarne. Mówię wam prezesie. Z miejsca.

Nie ma Zajca i stąd taki rozpirzaj. Co z nim mogło się stać, Alosiu?

Z wieczora pojechał do kobity sen. Możliwe, że śpi i śpi. To jest możliwe...

A żeby go jasna... Towarzysz Naczelnny znova powie, że dyscyplina rozluźniona. Znova wiercenie i gładzenie, Ale co ja mogę, kiedy ludzi na lekarstwo i trza brać każdego chętnego. Co ja mogę? Stał w deszczu i zatroskanym wzrokiem patrzył w dal. Woda z czapki ściekała na twarz i zraszała lśniaco bruzdy. Alek z lewej zarzucił mu płaszcz nad głowę i powiedział, że go rozumie. Bardzo dobrze rozumie. Chyba nikt go tak dobrze nie rozumie jak ten, co stoi obok i mówi te słowa. Może te słowa nie będą przyjemne i budujące. Te słowa, które usłyszysz w deszcz i wiatr. Lecz on je musi wyznać zaraz, bez względu na pogodę i otoczenie. On już dłużej nie będzie tego w sobie nosił. Nie będzie tań gniewu, który znosi go z prostej serdecznej w rów niepewnego. I to jak znosi, Czasem to ma wrażenie, że wpadł w poślizg i ostateczność widzi przed sobą. A przecie to oznacza kompletny bezwład, całościowe gnicie, to oznacza śmierć. Wyznaje to słowo z pełną świadomością jego znaczenia. Czy prezes myśli, że on nie myśli o zmianie warty? Czy nie myśli o źródłach życia, do których dąży człowiek i jego epoka? Ależ tak. Człowiek i jego epoka brzmią tak pięknie, tak prawdziwie, że aż my tu stojąc jesteśmy nieprawdziwi i mało ważni dla okresu rozwoju. Po co głosić peany i strzępić język, kiedy się widzi, odczuwa, ma się podane na ścianie deka. Przecie nie zostało jeszcze powiedziane.

Straciłem dzień!

Tak nie zostało jeszcze powiedziane. Wyklada przecie jasno swe zamiary. Zmiana warty i odkażanie umysłów. Przez czas swego pobytu tam, w Rajgrodzie, miał okazję wszechstronnego poznania ludzkiej natury. Efekty tego poznania przerażają go z dwóch względów. Po pierwsze. Człowiek widziany oczyma chłopca to kły, pazury i sierść. Stan przyjaźni i miłości jest mu prawie nie znany. Osaczony rzeczą, kultem mamony, tworzący sobie miraż na podobieństwo kraju złota i krwi, abrakadabry i mroku. Jest taki kraj na kuli naszej. Jest. Oczy chłopca są czujne i widzą daleko. Jeśli się zważy jego smutne i bardzo ciężkie dzieciństwo, jego obecność przy łożu konającej matki, jeśli się popatrzy w tył i zobaczy zmiażdżone szpony ptaka jastrzębia zwilżane rosą daremnie i bezskutecznie, bo ból ten jest świętym krwawieniem każdego początku, jeśli się zważy powyższe składniki i rozpatrzy odnośnie chłopięcych pragnień albo przeżyć, albo całego znaku jasny, to okaże się, że wyznania te mają wartość nieprzemijającą. Jedyłą wartością władną określić czas pobytu tam, w Rajgrodzie. Więc w tym pierwszym punkcie powiedziane zostało o prawie nie znanym stanie przyjaźni i miłości homo faber. Również określono właściwości psychofizyczne. W drugim punkcie on to rozszerzy. Niech prezes uważnie słucha tych niezbędnych wyjaśnień. Bo on to rozszerzy na domenę wybrańców i powie o wielkim pisarzu, który galopuje. On powie...

Ty mi nie truj dupy, przerwał Furmanek. Co mnie może obchodzić czyjaś galopada. Widzisz maszyny, widzisz ziemię. Oto los. Odrzucił róg płaszcz brezent i pobiegł do biura. Alek powlókł się stępą z obrazem wielkiego pisarza w oku. Zdawało mu się, że w smugach deszczu wytryska jego jowialne oblicze i prycha kroplami w pejzaż. Prycha jak zwierz skąpany u źródeł. Chroniony i policzony. Wskazuje mu drzwi budynku. On wchodzi i widzi, że w biurze nie nastąpiły większe zmiany w składzie i ładzie. Ludzie siedzieli na miejscach przynależnych stanowisku i milczeli. Trzaskał kręciołek, stukało liczydło. Franek palił w błogim uśmiechu. Wbił niebieskie oko w jego twarz i cicho powiedział.

Zapalimy?

Zapalimy.

Sport czy giewont?

Sport.

To masz. Na wszelki wypadek noszę w paczce giewont i sporty, żeby przy poczęstunku nie być wyższy ponad siebie. Jasno wyrażam?

Jasno wyrażasz.

To pal. Pal.

Co to za rozmowy ucho w ucho, powiedział basem Furmanek. W urzędzie to zabronione. O paleniu gadamy, uprzejmie zapodał Franek. Że w zasadzie szkodliwe i przytępia orientację. Czy jasno wyrażam?

Odpowiedzi nie było. To Alek wyciągnął nogi (w sensie horyzont) i zapatrzył się w obuwiu typu calypso. Patrzył w ich zabłocone noski aż do bólu, aż do utraty tchu. A patrzył tak mocno, bo chciał w nich ujrzeć następny punkt w świecie Rajgród. Lecz nic nie widział. Poruszył butem raz. Mokra plama. Poruszył dwa. Rozlewisko. To unióśł lekko lewą i chciał zrobić młyńca. Ale stała się rzecz dziwna. Noga zwiśła w powietrzu i posunęła linią horyzont. Wróciła i ad littera. Przetarł oczy. Lewa w powietrzu normalnie pisała. Czary, pomyślał, albo maligna. Co za nerw. Co za nerw. Przydepnął kropkę u plamy. Cofnął nogę pod krzesło i przydusił do podłogi. Chwilę się skupiał. Jaka lewa może pisać w powietrzu na głodniaka? Żadna. To bajka. Inna bajka. Wypuścił ją znów przed siebie. Zawisła i bezbłędnie posunęła linią horyzont. Alek zamknął oczy i roześmiał się głośno, radośnie. W powietrzu złote zgłoski ryły domenę wybrańców. Ryty pięknie, miłośnie. Otworzył oczy i miał je wszystkie w całości. Byt to jego hybris film, który przeżył w świecie Rajgród. A nosił on tytuł taki:

## WIELKI PISARZ GALOPUJE

Wielki pisarz mieszkał na ulicy Trzech Stuleci w solidnym domu po jakimś stanie Blutmaur. Ten sam Blutmaur opuścił dom bardzo dawno, ale nad drzwiami zostało wyryte gotykiem nazwisko i stąd wiadoma tożsamość byłych właścicieli. Jeszcze w okresie kiedy wielki pisarz nie był wielkim pisarzem, lecz zwyczajnym autorem książek dla młodzieży i dorosłych, wielce denerwował go ten literowy gotyk kupieckim napuszeniem i bezprzykładnym ukochaniem przestrzeni. Jednakże późniejszy nimb sławy i klasyczności pokrył śniedzią to wredne szalbierstwo ducha i w rezultacie on tego coś już nie widział, o tym nie słyszał. Normalnie stan Blutmaur nie istniał.

Jak wyglądał wielki pisarz?

Wielki pisarz wyglądał dobrze. Gdyby sięgnąć po wizerunki własne rybałtów i ustawić je w linii prostej na ulicy Trzech Stuleci tak, że optycznie odebrałoby się jako jeden obraz, jako jedną twarz wszystkich rybałtów świata, to by się miało całą postać wielkiego pisarza jak na dłoni. Jednak jest mało podobne lub nieprawdopodobne, żeby się spędziło to przemile stworzenia na ulicę Trzech Stuleci w oznaczonym czasie i nasze marne grosze muszą tu stanowić rękojmię prawdomówności. Więc o dobrym wyglądzie decydują dwie strefy. A to:

strefa prywatna,

wchodzą w nią podstawowe właściwości jednostki. Do takich właściwości zalicza się humor czerpany z powieści francuskich, czyli humor francuski. Wielki pisarz ma go w rękawie w wystarczającej ilości, żeby przyjaciół domu w odpowiedniej chwili powalić na kolana. Dalej. Bonzurka złotko, o której z przekąsem wyraża się Pani Gospośia, że świeci, świeci chocia niesłońce? Dlaczego bonzurka złotko świeci? Bo ma ją na grzbiecie wielki pisarz. Czy na innych grzbietach bonzurka złotko by świeciła? Nie, na innych grzbietach bonzurka jaśniałaby bladą poświatą. Dalej. W ranki letnie i zimowe wielki pisarz zażywa spaceru na bulwarze Pokoju. Spotyka tu kolegów piszących, którzy na jego widok bledną i

słowa przekleństwa rzucają na wiatr. Następują ukłony i uśmiechy losu, które popiera obóz realistów, a zwalcza obóz egzystencjalistów.

Do którego obozu należy wielki pisarz?

Wielki pisarz nie należy do żadnego. On jest sumieniem realnych i wyrocznią egzystencjalnych. Jako wyznawca autentycznych przeżyć wycofuje się w zacisze domowe i z niespotykaną energią ujednocza rozbieżne stanowiska kolegów piszących. Po trzech godzinach morderczego rycia, pora na:

strefę publiczną,

wchodzą w nią różne organizacje i związki, w których wielki pisarz działa. Jest wtedy pełen godności i miłości. Hojnie rozdziela komplementy, gdy wie, że to kogoś podtrzyma na duchu. Najbardziej wystraszonych klepie po ramieniu i szepcze w ucho: Ne timueris! Ne timueris! Jestem przy tobie. Wygłasza też okolicznościowe przemówienia, w których ujawnia rzeczy wiadome. Spotyka się też z masą czytelniczą i opowiada o ciężkim dzieciństwie w zapadłej wsi. Obecnie ma w niej daczę i cieszy się z przemian w dziedzinie obyczaju.

O czym wielki pisarz pisze?

O powtórnym wejściu do rzeki Dunajec, do rzeki Wisła i do rzeki Odra. Również zajmuje go walka z siłą wyższą, czyli Bogiem. Bóg w ogóle ma tu kapitalne znaczenie, gdyż pojawia się dwa razy w miesiącu. Raz obleczony słońcem, raz na obłoku. Wielki pisarz doznaje wtedy zachwiania wiary w czystą krytykę rozumu i skupia uwagę na baśniach polskich – wydanie rozszerzone. Dzięki temu libido może być oddalone na czas nieograniczony. Jednym słowem wielki pisarz to żywe jestestwo.

Co łączyło wielkiego pisarza z Alkiem Rzepą, zwanym też Alosiem i chłopcem od pól zielonych?

Wspólny dach. Pewnego dnia na ulicy Trzech Stuleci zjawił się Alek Rzepa, zastukał w drzwi solidnego domu, nad którym czerniał literowy gotyk Blutmaur i spytał Pani Gosposi, czy jest tu pokój do wynajęcia. Dobra kobieta zdumiała się niepomnie ekstrapytaniem, bo każde dziecko wie, że wielki pisarz ma pokoje tylko do użytku własnego. Lecz wygląd chłopca od pól zielonych był tak niewinny, tak czysty czystością marzenia o jakimś kącie za cenę obojętną, że dobra kobieta wzruszyła się i poprosiła go do kuchni. Alek Rzepa wtedy sobie pomyślał, że musi zrobić wszystko, łącznie z uwiedzeniem, ale pokój wydebi. I zaraz przedstawił się całując rączkę, że nazywa się tak i tak, że pragnie dobra wszystkich ludzi, ale na razie wstrzymano mu dostawę w tej materii, bo odbiegł od głównego szlaku, lecz tak i tak powróci, chodzi tylko o to i to, życie, wiadomo, ciężkie, jest wioskowy, tak a tak wykształcony, w to i to wierzy, choć trzy osoby to za dużo, ale cóż człowiek nie wymyśli, człowiek i nie zniszczy, jest jak jest, kiedy drugie jest, człowiek nic mądrego nie wymyśli, bo tak i tak cena obojętna, choć tyle i tyle zarabia, że ledwie dociąga do dnia piątkowego, więc jakby pani ładna tego tam, przyjęła mnie na jakiś czas, to ja wszystko pięknie, wdzięcznie, jest jak jest. Dobra nasza.

Dobra kobieta aż klasnęła z uciechy, że taki rezolutny młodzian, że umie to i to, życie zna. Aż klasnęła. Ale zaraz się zasmuciła i cichym głosem powiedziała, że w domu tym mieszka wielki pisarz, a ona jest tylko Panią Gosposią i nic nie wie, nic nie widzi. Lecz pójdzie i zapyta. Zapyta. Odwróciła się i zamarła. Na progu stał sam właściciel i badawczo spoglądał w kuchnię.

Czy jest możliwy przypadek w życiu wielkiego pisarza?

Oczywiście. Nie tylko jest możliwy, ale nawet i pożądanym. Gdyby nie jego wszechkrólewskie panowanie, Alek Rzepa nigdy by się nie zetknął z wielkim pisarzem, i odwrotnie. Wielki pisarz nie miałby okazji do dobrego uczynku, a masa czytelnicza byłaby pozbawiona światła, które rozjaśniłoby ciemną stronę duszy nowoczesnej. Przypadek jest niezastąpiony. Wielki pisarz mógł czytać Antropologię Strukturalną i nagle poczuł rwanie w piersi. Odkłada książkę, bierze tabletki i wychodzi do kuchni. Słyszy zachwycony głos Pani



Gosposi, widzi bladego młodzieńca i rwanie ustępuje. To jedna z możliwych wersji możliwego przypadku.

Co wielki pisarz powiedział na cenę czterystu złotych za pokój, którą nieśmiało zaproponował Alek Rzepa. I dlaczego wpiery zaprosił go do gabinetu i co się tam stało?

Wielki pisarz w tym dniu był zadowolony z dwóch powodów. Po pierwsze. Jego rywal nie wrócił do kraju z państwa N., w którym poprosił o azyl, gdyż, jak mówił, w kraju nie mógł wypowiedzieć treści równych formie. Wielki pisarz doskonale wiedział, że chodziło o słynne pieniądze, które w państwie N. leżą po prostu na ulicy i wystarczy lekko schylić kark, żeby stać się bogaczem. Dlatego też sumę czterystu złotych pominął milczeniem i powiedział, że już z reguły nie wynajmuje kwater (tfu, co za słowo), bo to się wiąże z określonym sposobem bycia. A w swoim domu on chce być i małym, i wielkim. Jednakże mógłby zrobić wyjątek za złotych pięćset. Mógłby. Drugim powodem było zanikające rwanie w piersi zaraz po ujrzeniu bladego młodzieńca w kuchni cytr. Wydał mu się czymś więcej niż młodością, czymś więcej niż radością. Krążąc u biurka rzeczowo wykladał kaprys swego serca. W streszczeniu brzmi to tak.

Jest dobrze, kiedy ludzie pomagają sobie w pilnych potrzebach życiowych. Ale jest jeszcze lepiej, kiedy dane potrzeby łączą nas w jednię bytu. Powstaje wtedy wytęskniony twór egzystencjalistów. Jest nim człowiek–Pan, stwórca i przetwórca. Jednakowoż żaden marksista nie zgodzi się z poglądem egzystencjalisty na rolę jednostki w społeczeństwie. Gdy dla Sartre'ów społeczeństwo to drogocenne piekielko, w którym człowiek, świat pragnień i Bóg to byt en–soi, to dla naszych drobin egzystencji nic podobnego nie istnieje. Koledzy piszący z tego obozu głoszą absolutną wolność wszystkiego pod słońcem.

Dla marksisty to dziecinada i posługiwanie się aparatem pojęciowym ludów walczących o niepodległość. I bądź tu mądry, i dziel i rządź mając nad sobą młot realisty. Dlatego chciałbym odetchnąć przy tobie, mój chłopcze. Będę dla ciebie dobry, dobrotliwy, stokroć dobroduszny. Będę jak pramatka. Początkiem i końcem.

Co zrobił Ałoś Rzepa po wysłuchaniu serdecznego wykładu?

Alek Rzepa podrapał się za uchem, wziął z biurka kartkę papieru i zrobił samolot. Następnie burcząc i wyjąc obiegił gabinet i wyleciał na dwór. Rzucił w górę samolot, który porwany przez wiatr poszybował do nieba. Wielki pisarz uległ zadowoleniu po raz trzeci.

Jak przebiegała edukacja chłopca od pól zielonych i co było jej głównym tematem.

Codziennie o godzinie szesnastej trzy wielki pisarz zwyczajem Kanta zasiadał w palarni z fajką heban i oddawał się medytacjom. Punkt szesnasta trzydzieści zjawiał się Ałoś Rzepa po sutym obiedzie w barze mlecznym i cicho przysiadł w kątku. Z nabożnym skupieniem obserwował rybałtowskie oblicze wielkiego pisarza. Czasem jego wzniosłość pokrywał jakiś ogromny puch niewiadomego, jakiś absolutnie transcendentny puch ulatujący w obszary niezbadane, nie namacane, w których królować zdał się duch zamyśleń twórczych. Cała palarnia przeistaczała się w jeden słup dymu z fajki heban, który spokojnie atakował sufit, jakby chciał tam a tam, to i to. Przebudzenie następowało nagle. Wielki pisarz wbijał w kąt swe drażniące, piękne oczy koloru słonecznik i nieodmiennie zaczynał z łacińska: Ne timueris! Ne timueris! Jestem przy tobie. Kiwał palcem, Ałoś podchodził, siadał na kanapie i wolał mięśni, umysłu, serca chłonał wielkie prawdy wielkiego pisarza. A to, że nic tak nie daje zadowolenia jak dobra literatura otwarta, gdzie masz jak na dłoni część daną poprzez całość i całość daną poprzez część, gdzie misternie się plecie warkocz Bereniki, żeby przysłowieny labirynt sprowadzić do budki z piwem, bo wszystko wszystkim, epoka epoką, a budka z piwem jest i będzie ostatecznym sprawdzianem kondycji bohatera. Ty, chłopcze, technik jesteś, budowniczy jesteś, a nie wiesz, co w trawie piszczy. Nie dziwota to, jak mówi Pani Gosposia, kiej opuścił wiochę w lat piętnaście. Nie dziwota. Ale ja widzę twoją drogę jak Bóg, jak samotworzyciel. Przecie wyszedłem spod strzechy po drugiej światowej w spodniach cajt i duszą zahukaną. I widzisz, kim to ja, co to ja, gdzie to ja? Wielki Pisarz. Wielka

Chluba, Wielka Klasa. Widzisz, co? A i nowoczesna dusza też. Mistrz ja przecie w kwestii duch, nie dasz wiary, bracie, ale w kwestii duch lepszego nie ma. Przy mnie każdy to Papkinek, nędza, dno. Przy mnie furt słowiańskie lelum–polelum, kiedy tak jest, bracie, nowocześnie mi, nieziemsko mi. Tu na ulicy Trzech Stuleci ja się pocę, jem, załatwiam. Widzisz, co? No i słusznie, no i dobrze. Nic mam ani chwili do stracenia. Gdybym zechciał opowiadać... tyloletnie drum–drum–drum. Nie mam ani chwili do stracenia.

Jak wielki pisarz galopował i co z tego wynikło?

Wielki pisarz galopował dwa razy w miesiącu. Raz obleczony słońcem, raz na obłoku. Ałóś widział galopadę na obłoku. Wyglądało to następująco. Wielki pisarz wychodził do ogrodu, siadał w bujaku i celując kciuk w pierzaste chmurki rozpoczął swój podniebny spacer. Cofał się nagle do strzechy, do tych piaszczystych równin i spalonych słońcem łąk, gdzie królował owczarz–pan, okrutny pan, tak okrutny, że palił zieloną trawę i wbijał na kijaszek ptaki. Cóżes taki srogi, owczarzu w tkaninę len ubrany, pytał, serdeczności ty moja. Cóżes taki srogi?

Bo se chce być srogi. Chce.

Jak już chcesz, jak już chcesz. A czemuś to ptaszka wróbelka wbił na patyk i opiekasz w ognisku? Czemu mordujesz niebieskie ulubieńce, królewiczów przestrzeni i mocarzy dali. Ach czemu, serdeczności ty moja?

Bo se chce być srogi. Chce.

Tyś pan. Hoho. Wielki z ciebie pan. Taki pan, którego nic nie przestraszy i widnokres nie pokona. Dumnie chodzisz i hardo gadasz. Nikt nie ma prawa cię zaczepić. Jakżeby śmiał? Jakżeby gadał przed twym kijem? Cóż to ja nie wiem, żeś dziecko wiatru i palmy? Ale to, widzisz, wiem bardzo dobrze. I to jeszcze wiem. Kiedy tak sobie w trawie leżysz i kijem po obłoku dziabiesz, to co myślisz, że nie wiem? Ale wiem. Tyś pan. Nie każdemu na obłoku wolno płynąć. Nie każdemu. A ty płyniesz, dumny i hardy, serdeczności ty moja. Płyniesz. Przepływasz. A co myślisz. Z góry na wszystko patrzę. Domy to takie karciane pudeleczka, w których rządzą matule i tatule. Rówieśni tam płaczą i paciorki gadają. A nie chcom gadać paciorków. Och, jak nie chcom. Tatule pasami ich ćwiczą. Krzyczą. Wywijają obrazem. A oni nie chcom, za nic nie chcom. Mnie to dobrze. Płynę na obłoku i na wszystko z góry patrzę. O, tam. Widzisz. Tam na lewo miasto ogromne. Przepłynę. Przepłynął. Morze z prawej dostrzegam. Piasek i ludzi szeroko roześmianych. I czemu oni są tak szeroko roześmiani, powiedz no. Czemu na mój obłok pokazują i w płas ruszają. Jeju. Co za płas ogarnia. Ogarnął. Co za płas. A może mi się tylko śni. Ale nie. Płasają na morskim piasku, ciała lśniące toczy woda. Hoho. Radują się, ludzie. Radują. Dziabnę kijaszkiem kogoś z nich i zapytam o zdrowie. Witaj, ludens. Powiedz no, skąd to ucieszenie na piasku morskim w porze obiadu. Przecie jest czas złotej drzemki i sprawiedliwy korzysta z tego godnie. Widzę nawet niemowlaki kłaskające z uciechy głośnie i bezgłośnie. Mówże ludens. Coś słabo słyszę. O, teraz dobrze słyszę. Ty mówisz, że ja na obłoku siedzę i sobie płynę. A gdzież bym miał siedzieć, ludens? No, gdzie by taki pan mógł siedzieć, żeby jasne miał widzenie na trzodę. A widzisz. Zgadzasz się, ale chępliwie myślisz. Tyś pan na niby. Na zło. Bo gdybyś był z prawdy, panie, to każda ździeblina, każde żyjątko by wiedziało. Ale ty nie jesteś z prawdy, nie jesteś z naszych serc. Powietrzem morowym jesteś obleczony. Dopieroś nadleciał, a już duszność nas ogarnęła i padamy bez siły. Lepiej płyn sobie do swego królestwa. Ty nawet nie wiesz, że zbliżamy się do jego bram i za czas i czasy wyrwiemy ci tajemnicę. A pewnie. Wyrwiemy to twoje wieczne bytowanie, abyś nas więcej nie męczył. Bo nie masz litości, panie. Sobie nie ufasz i nam nie ufasz. Odkupieniem się szczycisz, a o swym nędznym końcu zapomniałeś, darowałaś. Błazen jesteś. Padalec. Pić byś chciał światło, nasz kielich wolności byś chciał podeptać, głąz przeznaczenia byś chciał uwiesić przy szyi. Błazen jesteś. Siedzisz na obłoku i wydaje ci się, żeś pan. Niech ci będzie. Ja nie jestem pokorny. O, ja nawet nie myślę o pokorze, kiedy dwa kroki zostały postawione. Nareszcie mogę ciebie nie słuchać.

Twoich urzędników skażę na zapomnienie. A coś myślał. Oczyszczyć teren z morowego powietrza. Tyś palił i krzyżował, boś sobie nie ufał. Bo jakże mogłeś sobie ufać, kiedy jesteś bezkształtny i niewymierny, kiedy nie masz własnego dnia i wszystko nazywasz jednym imieniem. Nie możesz. Na wszystkie skarby swego królestwa. Nie możesz. A Ja mogę. Cha! Cha! Cha! Ja mogę tak sobie ufać, że zamknę oczy i na ślepo dojdę swój cel. A wielki mam cel przed sobą. Większy od twego stokrotnie, wielokrotnie. Kpił sobie ze mnie, ginął w ciemnościach dla uciechy własnej, ale zawsze był. Niech nawet tajemną bronią mnie zgładzi. Ożywię się. Wstanę. Tyś wstał, a ja bym nie potrafił. Ja, wpół nieśmiertelny?! O, ty mnie nie znasz, panie. Nie znasz mojej siły, którą trzymam na uwięzi. Niech sobie na razie odpoczywa, niech się powiększa. A coś myślał. Że ona bezużytecznie leży i gnije. A żeby cię, panie. Ciągłe traktujesz mnie jak robaka, jak proch. Zadufaleś się za dużo w tym miłosierdziu pańskim. Nie widzisz mnie ponad sobą i dlatego jesteś zgubiony. Gdybyś choć raz jeden widział mnie przed sobą, choć raz jeden zaufał mojej miłości. Bo ja ciebie pokochałem za skowyt w tym ogrodzie. Wtedy sobie myślałem, żeś wyniósł mnie ponad siebie. Myślałem sobie.

Tyś król. Hoho. Wielki król. Klękajcie narody, bo to król z wiatru i palmy. Ja mu służę i będę służyć. Ja mu położyłem rękę na kark i stałem się potęgą. Obaj teraz królujemy. Oto moja ręka na karku twoim, oto wspólne cierpienie. Chodźmy, panie. Wtedy tak myślałem. Ale tyś nie widział mnie ponad sobą i dlatego jesteś zgubiony. Nie żałuję cię, bo jesteś zadufkiem. Wybaczyłbym ci nawet, ale nie ma cię, nie istniejesz. Jesteś pustką, pękniętą górą męki, ślizgiem w popiół. Tym jesteś. Co znaczy twoje słowo naprzeciw moich kroków. Dwa kroki które cię unicestwiły. Płyn sobie. Przepłyn na obłoku i zostaw nas na piasku morskim szeroko roześmianych. Przepływa. Przepłynął. Co za ulga. Co za cisza...

I tak obłok pierzasty zawirował wielkim pisarzem w lęk metafizyczny, nieliczny. Ale mamy głębokie przeświadczenie, że było to niesprawiedliwe i niszczące. Bo po każdym podniebnym spacerze wielki pisarz coraz małowoczyńniej będzie walczył o dobre uczynki. A przecie dobre uczynki nie są wielkością stałą i samą w sobie. Nie są ochotą marzenia na to lub tamto. Tu powaga i rozsądek znaczą twoje–moje poczynania. Znaczą też naszą sympatię dla mów otwartych. I kiedy Alek Rzepa podnosi palec zaczynając dłubać w nosie, jest to nad wyraz interesujące i ktokolwiek to lekceważy, traci autonomiczne prawo do symbolu. A nuż dłubanie w nosie jest starosłowiańską oznaką kultury oczyszczania się z grzechu? A nuż cierpienia na wiatry były przejawem kultu Wenery? O, w nieskończoność można wymieniać historię form rodzaju. Niezbadana jest moc odwołań i wyroki akcji fabularnej. Niezbadana. Tak więc hybris film Alka Rzepy z wolna opadał, zatracił obiekt i nikał w realnym tu i teraz. Okazało się, że siedział trochę ze skrzywioną głową na stronę tego bardziej spadzistego ramienia. Do ucha wpadł mu śpiewny akcent brata Franciszka, który szeroko rozwódził się nad bykiem maści czerwo. Alek postanowił, że po skończonej mowie ujawni się. Będzie to następne, bardzo poważne ujawnienie własnej natury. Teraz chciał sobie ulżyć i zasłuchał się w śpiewny wygłos brata Franciszka. Był to chyba środek jego śpiewu, bo Franciszek obrazowo tłumaczył możliwość posiadania przez zwierza rozumu. Według wszelkich znaków na ziemi i niebie jego byk rozum posiada. Już w okresie cielecym objawiał przemożną chęć niezależności. Ustawiczne próby uwolnienia się z pętli łańca, ciągłe atakowanie dójki ze strony prawej, a nie, jak to bywa przyjęte u rogacizny, z lewej, uważne brykanie na podwórze i omijanie z daleka psiej budy świadczy o jakimś ośrodku mózgowym. Trzeba też powiedzieć, że i jego czerwień jest niezwykła, jeśli nie niezwykła. Przypomina ona flagowe płótno, a i więcej, bo cud–koral u szyi dziewcząt naszych z zespołu Mazowsze. Ta właśnie jedynowłasna czerwień odbiera sygnały świata zewnętrznego i doprowadza kanałami nerw do wszechznanego środka. Często stojąc w gnoju krów i myśląc o egzystencji pozwalałem sobie na małe doświadczenie. Mianowicie. Brałem byka za róg i spuszczałem ślinę na kółko, które świadczy o niewoli. Jakież było moje zdumienie, kiedy zamiast oblizania zwierz nozdrzem

zdmuchiwał wydzielinę pogardy. Powtarzałem to kilkakrotnie i rezultat był jednaki. Wydzieliną pogardy padała w gnój. To utwierdza mnie w przekonaniu, że istnieje możliwość posiadania przez zwierza rozumu. Gdyby tak faktycznie polecić mojego byka nauce, to kto wie, kto wie...

A niechże się pan wreszcie przymknie, krzyknął księgowy, i nie robi z nas idiotów do potęgi dziesięć. Człowieku. Już zeszłowieczna nauka zburzyła głupotę takich domorosłych filozofów. Nasz wiek dwudziesty może podać w wątpliwość twój własny rozum, kiedy szukasz dziury w całym. Może.

Franek zdziwiony słuchał. Księgowy wyjątkowo ostro zaatakował wywód powyższy. Kilkakrotnie podkreślał wąsa i jadowicie cedził. Picer. Nieboski picer. Następnie wstał i chodząc tam i sam rozpatrzył sprawę pod kątem informacji. Powiedział, że każdy zwierz pobiera zasilanie ze swego środowiska, które realizuje informację-rokaz. Taki rozkaz to może być ucieczka przed nieprzyjacielem podana odpowiednią informacją. Na przykład buczenie tura w lasach królewskich zasilano myśliwych do bezpardonowej gonitwy i jednocześnie przetwarzało informację na odruch samozachowawczy zwierza. Dalej. Procesy zasileniowe i procesy informacyjne przebiegają w zwierzęciu równolegle, a i więcej, bo są powiązane w sposób dialektyczny. Przetwarzanie zasilania wymaga udziału informacji, zaś przetwarzanie informacji wymaga udziału zasilania. Daje to efekt na pewno ciekawy, ale nie aż taki, żeby przykładać do niego miarę rozumu. Zdmuchnięcie nozdrzami wydzieliną pogardy jest typowe dla okresu dojrzewania. Stary byk nigdy by tego nie zrobił ze względu na wykazaną powyżej zależność dialektyczną. Tego już było za wiele. Furmanek grzmotnął pięścią w biurko i powiedział.

Towarzyszu Pisarek. Przyjmowałem was do pracy w dobrej wierze, że filozofię dnia codziennego zostawicie na uboczu. A wy nie tylko że w niej kołujecie, to jeszcze podburzacie młodych ludzi durnymi wykładami.

Ja was ostrzegam, Pisarek. Ostrzegam.

Pisarek stropił się i cicho powiedział.

Bardzo przepraszam, ale pan Rzepa zdenerwował mnie twierdzeniem, że zwierz może mieć rozum. Stąd moje przesłanie natury prostującej.

Niech nawet ma dwa rozумы, zakończył basem Furmanek. Nie nasza to rzecz.

Pisarek smutnym okiem owiódł nasze twarze i z jakąś determinacją odsłonił zakamarek duszy, czyli umysłu. Był czas, powiedział, że moja świetność równała się zdobytej wiedzy. Zdobywałem ją w trudzie niosąc sztandar scalania chłopskich poletek w wielkoobszarowe oazy. Nikt wtedy nie pytał o wypłacalność ideału. Jego znaczenie było tak wielkie, że zatracił się w nim kwiat młodości. Bogaty był to czas. Bogaty. Pamiętam jak dziś wieczory w gromadach...

Ucichnijcie, towarzyszu, powiedział Furmanek. Ucichnijcie.

Księgowy pokiwał głową i siadł do liczydła. Popatrzyłem mu w oczy z wyrzutem. Jesteśmy przecie w biurze kółka rolniczego wioski Rewy i czekamy na decyzję w kwestii pałacej. Czyż on o tym nie wie, że Towarzysz Naczelnny jest w drodze? Czyż nie wie?! Popatrzmy na twarze obecnych i niech one rozjaśnią nam niewyraźne. Niech rozjaśnią.

Wiśka Syr chmurnie zamyślona, w siebie zapatrzona czule i dalekosiężnie, idąca przez moknący pejzaż ku światu bal. To ta sama dziewczeczka o jasnym loku i chmurnym oku, którą zabiłeś w nagim sadzie strzałem ponurej wyobraźni. Zabiłeś i nie zabiłeś, bo w swym realizmie nadwyższym wyzwoliłeś ją z biegu sztafet i wprowadziłeś na ślad tego powtórnego zejścia do potoku. Oto ona w trzasku kręciołka odległa i bliska. Jest. W elastik bluz i spódnicy beż wyglądała jak panna Polka przewiana modlitwą ulicy. Widzisz młodoliste drzewa bulwaru Pokój i własną postać średniego wzrostu, tak charakterystyczną dla masy towarowej, która rozkłada wszelkie działanie na mało znaczący ruch mechaniczny. Czekasz na pannę ciemnoblonde w pełni oddany sprawie uzupełniania i pożądania. To następne określenie jest

jasne i jednoznaczne i uważamy, że nie trzeba go rozwijać. Lecz sprawa uzupełniania. O, sprawa uzupełniania ma się różnie i jest zależna od wyższych sił, na których wymienienie nadejdzie odpowiednia chwila. Tu wetknijemy jedynie mały wręt logicznie jednobrzmiący i zapytamy ciebie.

Alku Rzepo, czy w dalszym ciągu kochasz imię swoje i pragniesz jego chwały w miejscu narodzenia. Odpowiedz nam.

Ja kocham swoje imię i pragnę je chwalić ponad wszystko, To było, jest i będzie moim celem zawsze i wszędzie.

Alku Rzepo, czy jesteś przygotowany na dalsze i dalsze, a uściślając, czy jesteś władny ulec akcji powieści Chłopaćka wysokość. Odpowiedz nam.

Jestem gotów na przyjęcie niespodzianek każdego stopnia. W moim chłopięcym charakterze nie widzę ujemnych cech. Trzymam się wytyczonej linii z niezłomną wiarą w słowo górnołotność. Cóż jeszcze?

Alku Rzepo, zwany też Alosiem i chłopcem od pól zielonych, jesteś dla nas wzorem bohatera i wiary niezłomnej (jak widzisz, wyrażamy się podobnie, w głębokim przeświadczeniu, że podejmiesz rzuconą rękawicę i staniesz do boju), a i więcej. Tak. A i więcej nawet, bo samoistnością bohatera, który ma realne szanse rozszerzenia wersji gry w zielone na swą dziewczkę o jasnym loku i chmurnym oku. Dalej pytamy, tusząc, że słusznie i ciekawie, a jeśli ciekawie to nie nudnie, czy jesteś w stanie zaprogramować kwestię uzupełnienia tychże kobiet takim narracyjnym powieści Chłopaćka wysokość. Odpowiedz nam.

Odpowiadam. Mogę zrobić o wiele więcej. Mogę na przykład określić najjednoznaczniej imię własne postaci kobiecych w toczonej przez nas sprawie i uchylić rąbka tajemnicy ich wpływu na mą życiopięśń. Mogę też każdą unicestwić, ponieważ mam nieograniczone prawa do swego żebra. Widzisz więc, że panuję całkowicie nad płcią słabą i jeśli w akcji dalszego będę odwoływał się do znanych tropów powieściowych, to ze względu na ultra-siężny cel mojego działania. A celem tym, jak już zostało powiedziane nie raz i nie dwa, jest dobro wszystkich ludzi et cetera, et cetera.

I tak dalej, powiadasz. No dobrze. Przeniosłeś się z biura kółka rolniczego na bulwar Pokoju myślą i mową. Przecie nie ciałem. Myślą i mową jedynie. Stoisz pod drzewem lipa i z uwagą wypatrujesz Kasio-Wisi. Zdaje się, że o to chodzi. Kasio-Wisia to chyba kobieta twego życia. Nie wiem na pewno, bo jesteś krnąbrny i przeczysz sam sobie. Raz gadasz, że nie jesteś zakochany, i szukasz spokoju. Innym razem pragniesz miłości doskakiwanej i śniesz o niej przepięknie. Tak się nie robi, Alosiu wiatrem podszyty. Co sobie wyobrażasz stojąc pod drzewem lipa. No powiedz, jak ty sobie to wszystko wyobrażasz? Że zjawi się duszek-król i zechce wydać walkę sprawie uzupełniającej. Chacha. Niechże powiem ręka w górę i dobre sobie. Chacha. Niechże powiem. Kochałeś pannę ciemnoblonde zabójczo i obłudnie. Bo jakże nie pochwalić tych lat spokojnego słońca, tego świętego krwawienia początku pod postacią ptaka jastrzębia, który śle ci pozdrowienia znad pól. Posyła cię do walki ze światem bal on, jastrzęb tańczący, on, drapieżny symbol twego gniewu. Jakże to? Trzeba chwalić, mus chwalić i cieszyć się z rychłego zwycięstwa. Ja ci powiem, Aloś, że to zwycięstwo przewiduję na całej linii. Tak jak zwyciężyłeś urojoną miłość do Kasio-Wisi i oczyściłeś swoją duszę, czyli umysł, od zabójczego jadu chęci dobroimiennych, tak samo zwycięstwo na linii będzie wielką dziejbą całości i okazałości. Z naciskiem powiadam, Alosiu. Z naciskiem na dziejbę okazałości i całości. A teraz słuchaj uważnie.

Wiśka Syr tęskni za światem bal mocno i serdecznie. Niepodobna tego pominąć, niepodobna o tym zapomnieć, niepodobna się temu przeciwstawić li tylko gadaniną. Trzeba działać. A działać to znaczy wypowiedzieć bezpardonową walkę wielbicielom i sługom świata bal. Jeszcze nie zostało powiedziane.

Straciłem dzień.

Tak, jeszcze nie zostało powiedziane i twoje na wierzchu. Nie dopuszczaj nawet myśli, żeby to zostało powiedziane. Bo na cóż by się zdało nasze gadanie, nasz piękny lot do pól zielonych, pełen takiego wirowania, takiej żarliwości, o jakiej świat bal nigdy nie słyszał. Na cóż by się to wszystko zdało? O, ty wiesz, że na nic. Dobrze wiesz. Popatrz na swego brata i siewcę, który siedzi tu obok i cierpliwie czeka finału, bo zna wagę rzeczy i wie, że ty to ja. Wie. A może nawet i widzi możliwe następstwa twej nierozwagi, twej szalonej chęci zadośćuczynienia próżnej ambicji, o której sławetny wojak nie miał zdania, a jeśli miał to na pewno złe. Przecie brat twój Franciszek nie jest takim sobie chłopkiem w szacie drelich, który se chce zaorać, a nijak nie może. Nie jest. On ma te słynne pragnienia wypisane na twarzy. A właśnie idzie nam cały czas o twarze obecnych. Notujmy. Furmanek zryty marszczem i pełnią wieku spogląda na ciebie zatroskany o rzecz wiadomą. On jest bohaterem z tamtych lat, może z wiosny czterdzieści sześć albo i dalej i trzeba nam się mocno skupić, żeby dojrzeć jego plastyczny obraz. Niefalszywy i schematyczny. Nie. Obraz jego powinien kapać się w świetle, coś w stylu wielkich mistrzów epoki Odrodzenie. To jeszcze niewiele nazwać dane przybliżenie. Trzeba się wsłuchać w rytm tworzenia jakikolwiek i gdziekolwiek, żeby doznać tchnienia historii. Pięknie powiedziane to jest, nie? Być może wiosną czterdzieści sześć z Czarnego Lasu wyszedł żołnierz Furmanek i zbliżał się do wioski Rewy krokiem mocnym i zwycięskim. Siadł na kamieniu nie opodal drzewa kasztan i zapatrzył się w cień wieży kościoła padający ukośnie, aby oczy wędrowca mogły śledzić jego majestatyczny rozrost. A ludzie, oderwani od roboty wiążącej przeszłość z przyszłością, tak mówili.

Witaj ty. Zostawiliśmy robotę, żeby tobie powiedzieć witaj ty. Przybyłeś w miejsce dobre i szczęśliwe. Przybyłeś do równiny spokojnego słońca i możesz rozwinąć skrzydła. Tutaj kończy się twoja droga. Dalej nie warto iść, dalej zresztą nie ma i nie będzie. Jesteś zmęczony i na twej twarzy nie widzimy wesela. W oku masz tren spalenizny. Zniszcz go. Zniszcz, bo inaczej cofniemy swój radosny okrzyk. Witaj ty. Pamiętamy swój cień w przedsionku piekieł i nie musisz nam go przypominać. Pamiętamy. Ale chcemy się pożywić przez czas i czasy dobra. Chcemy go poznać ostatecznie, albowiem siły nasze są już niewielkie. Koniecznie chcemy go poznać i modlimy się o to do bezwstydu. A coś myślał. Modlimy się od dawien dawna i wierzymy, że będzie nam ukazane. Powstań z kamienia i spójrz. Kobiety nasze nie tryskają urodą i pierś ich jest wysuszona. Trzeba napełnić ją mlekiem i spełnić rodzajowi przypisane powołanie. A na to musimy zaorać pola i podlać uryną zwierza łąki malowane, żeby trawa nabrała przyrodniczej pełni. I jeszcze trzeba nam długo walczyć z mściwą pamięcią, która wytrąca robotę z ręki. Wstań z kamienia, powiadamy. Wstań. Wciskasz się w niego z mocą niespotykaną u żołnierza powracającego do źródeł. Nie znamy tej mocy. Nasza moc polega na robocie i jeszcze raz na robocie. Równina spokojnego słońca wymaga pracowitej czujności. Czemu milczysz? Czemu nie odpowiadasz na nasz radosny okrzyk. Witaj ty. No czemu?

Tak by to wyglądało w słońcu południa czterdzieści sześć w prawdopodobnym rachunku, całego wieku. Ale tylko prawdopodobnym, bo nie można przecie ręczyć za tchnienie historii. Bo gdyby żołnierz Furmanek nie wciskał się z taką mocą w kamień, gdyby powstał i zanurzył się w cień wieży kościoła, to kto wie, czy szeregi by nie pękły i prawda nie stałaby się udziałem wszystkich dobroimiennych. Kto wie. A tak skazani jesteśmy na domysł i legendę. Widzisz więc, Alosiu, jakie to tchnienie jest względne, i budowanie czegoś konkretnego prawie nierealne. My za to jesteśmy realni i galopem wracamy w tok narracyjny powieści Chłopaćka wysokość tusząc – słusznie czy nie, nieważne – ze świetność rodzaju jest wyższa ponad właściwość życia snem. Towarzysz Naczelnny ciągle w drodze. Czyż nie tak? Powiedział to Franek Rzepa, przezwany Wargatym. Skinąłem głową i chowając pod krzesło nogi w pantoflach calypso, zwróciłem się bezpośrednio do Furmanka.

Prezesie. W jakim czasie można przebyć odległość z powiatu do nas. Zaznaczę, że zielonkawym samochodem marki warszawa, który prowadzi kierowca o refleksie zadziwiającym.

Alosiu. Z powiatu do nas odległość wynosi trzydzieści kilometrów i w pół godziny można ją przebyć. Ale Towarzysz Naczelny posiada samochód marki fiat i sam nim kieruje. Stąd możliwe spóźnienie, bo oszczędność maszyny to dobre samopoczucie wewnętrzne. Powiem ci jeszcze, Alosiu, że są to pytania nie na miejscu. Towarzysz Naczelny może i chce dać nam czas na przygotowanie się do inspekcji. Zapamiętaj to sobie. Może i chce.

Nikt nie może czasem rozporządzać, powiedziałem. To jakieś nieporozumienie. Przecie jesteśmy na etapie czasu ideologii i wielkich prawd dziejowych. Co by to było, gdyby tak wielkim czasem mierzono prywatne pragnienie. Co by się stało z naszą wiarą i nadzieją...

Milcz, Alosiu. Milcz!

Tak krzyknął prezes Furmanek i powstał z krzesła. Zbliżył się do mnie, położył rękę na ramieniu i basem powiedział. Nie pleć po próżnicy. Jak mówię, że Towarzysz Naczelny może i chce, to schyl pokornie łeb. I proszę mnie nie bałamucić jakimiś prawdami. Prawda jest jedna. Trzeba żyć i cierpliwie czekać końca.

Teraz prezes filozofuje, mruknął Pisarek. To chyba skutek częstych odwiedzin wykształconych dzieci.

Furmanek cofnął się pod ścianę i wbił w niego ciężki wzrok. Po chwili – wycedził.

Dlaczego wy, towarzyszu, bez powołania mówicie, a nie robicie? Dlaczego mnie obrzydło was już poprawiać, choć, jesteście człowiek na poziomie i potraficie być przydatnym. Dlaczego tak jest?

Pisarek zaśmiał się krótkim chacha i dobitnie powiedział.

Bo ja lubię być przekorny. Każdy Polaczek ma w sobie iskierkę przekory, a już taki, którego pominięto w pewnym czasie, to ogień przekory. A co myślicie. Ogień. Ale niech tylko zakwitną jabłonie, to ja zaraz wychodzę do sadu, łamię gałązkę i wachluję się w imieniu własnym. I niech ktoś spróbuje mi przerwać kontemplację albo dać znak, niech ktoś...

To co, przerwał Franek. To co by nastąpiło?

Pisarek ważył odpowiedź. Oparł się wygodnie o poręcz, przymknął oczy i rozchylił usta. Była to jedna z pozycji do wewnętrznego skupienia. Obserwowałem jego wąs z coraz większym niepokojem. Bo wąs ten stracił nagle swój połysk i wyglądał jak sztorcowy włos łydki. Nie wiem, dlaczego skojarzył mi się z kosmatą łydką. Nie wiem. Ale tak wyglądał ten wąs, który był ozdobą jego życia. Czyż ktoś może zaręczyć, że Antoni Pisarek nie widzi teraz swego życia w białym kolorze? O, westchnął. A więc widzi to życie w omdlewającej białości rozkwitających jabłoni, widzi i pewno silnie przeżywa imię własne. Bo my wiemy, że imię własne to charakter, i ta strona niespokojna, ciągle burzona współgraniem namiętności, nad którymi księgowy bezskutecznie stara się zapanować. Może on teraz w cieniu rozkwitających jabłoni wściekle nadgryza ułamaną gałązkę, bo dojrzał za płotem swój starokawalerski ideał w sukni tiul. Dla mnie on jest w tym cieniu wzniosły i niepowtarzalny i płot nie ma tu wielkiego znaczenia. Oto z nadgryzioną gałązką w prawicy zbliża się do płotu, składa na nim ręce i głowę i błyszczącym okiem spogląda na szosę asfalt. W lekko rozchylonych ustach łydkają żółte zęby. On na ślad swego ideału w sukni tiul ciska przekleństwa, ślinę, nienawiść charakteru. On, jeśli dłużej postoi nad płotem z taką rozpaczą w oku, to może zrobić coś strasznego, coś niespotykanego w historii wioski Rewy, do której przyjechał równo dwa lata temu z jakiegoś dalekiego miejsca w kraju, z pewnej doli, zwanej przygodą ziemską. Być może uderzy pięścią w sztachtetę i z wyciem wyskoczy na szosę asfalt, żeby tę swoją przygodę ostatecznie dokonać w porze rozkwitających jabłoni. I popędzi z nadgryzioną gałązką to chyłkiem, to bokiem, to znów najbardziej okazale, bo dumnie wyprostowany środkiem szosy. A mijanych ludzi będzie pozdrawiał okrzykiem.

Witajcie, dzieci. Ja pędzę.

Takim okrzykiem. Witajcie, dzieci. Ja pędzę. I będzie to prawda tak wielka, że ci staną na skraju i stukną się w czoła. Lecz on nie będzie zwracał uwagi na wredną złość bliźnich. On będzie ponad tą masą towarową, ponad złudzeniem optymistycznej tragedii i ponad lejsłowem rozgorączkowanych głosów. Powiedział: Ja pędzę. Słyszeliśmy i możemy zaufać drodze, która prowadzi go w to ostateczne dokonanie. Bo prowadzi i doprowadzi, choć on często zwalnia, a nawet przystaje, jakby ciągnął za sobą ten swój ideał w sukni tiul, jakby chciał go sobie zjednać, żeby przemówił do jego imienia szemraną pozłotą ziemskiej przygody. A cóż to wreszcie za przygoda, że tak o niej krzyczy, tak ją wita gałązką jabłoni, jakby to był początek świętego krwawienia i złudzeń nie–straconych. Cóż to wszystko oznacza, mój panie siedzący w pozycji wewnętrznego skupienia, który szykujesz nam odpowiedź godną uwiecznienia. Co to wreszcie jest?

Ale nim powie, to ja prędko i bezboleśnie wetknę swoje grosze. Marne grosze. Wybite na użytek chwili. Dla mnie są one widomą oznaką mojej energii, mojego zdrowia, które tu sobie niszczę stopień po stopniu, odziany w błazeńską szatę chłopca od pól zielonych wyposażonego w jedynowładną siłę pragnienia dobra wszystkich ludzi. A jeśli wszystkich, to i Antoniego Pisarka, tym bardziej Antoniego Pisarka, który ma się do mnie wprost intencjonalnie, że nie powiem wielkomarnie, że nie powiem diabło wielkomarnie.

Więc Antoni Pisarek przyjeżdża do wioski Rewy z zakreśloną ołówkiem kopiał rubryka gazety codziennej PRACOWNICY POSZUKIWANI i prosto z autobusu udaje się do biura kółka, gdzie prezes Furmanek melancholijnie spogląda w rejestr. Wita przybysza kombatanckim gestem ręką w górę i dobre sobie i żąda dokumentów. Facet wyciąga potargany skoroszyt i rzuca na biurko. Furmanek zagłębia się w świadectwa moralne i opinie wydajne, a on elegancko podkręcając węża pyta o zdrowie. Nie czekając odpowiedzi, ze wzrokiem utkwionym w portrety dostojników państwa, oświadcza, że nic tam nie znajdzie. Nic konsekwentnego i ważnego dla prawdy typu człowiek. Prawda jest zbyt obszerna, żeby ją włożyć w skoroszyt. Furmanek rozumie. Skoroszyt odsunięty zbyt gwałtownie spada na podłogę, lecz żaden się po niego nie schyla. To jasne. Facet miał na myśli istotę rzeczy. To jasne. Jest zmęczony i głos jego monotony, cichy. Furmanek słucha uważnie horrenalnego kłamstwa. Bo on, ten facet z wężem danda, wystawia sobie cel określony z dawien dawna, może jeszcze w szeregach ZMP, kiedy to z buńczucznością pewnością jeździł po wioskach i nawoływał do zakładania spółdzielni produkcyjnych, tego przedsmaku oazy i historii wiatrem podszytej, która nagle, ot tak zwyczajnie na ulicy pojawiła mu się w oku i rosła, realniała, nabierała niepowtarzalnego wymiaru rzeczy nie–zwieńczonej. Na ulicy, przy gazecie codziennej w rubryce PRACOWNICY POSZUKIWANI on ten określony cel sobie wystawił i powiedział. Jadę. Oto jest, powiedział. Oto jestem i proszę o zrozumienie. Nie dlatego proszę, że nie zwieńczyłem w owe dni historii wiatrem podszytej. Nie dlatego. Proszę ze względu na obecność tego skoroszytu. Jest w nim uwidoczniła moja kwalifikowana możliwość i ona skazuje mnie na maksimum zawodowe. Gdyż jako długoletni księgowy branży tekstylnej potrafię wycisnąć z roboczogodzin wartość dodatkową bez specjalnego wysiłku. Lecz tu, w kółku rolniczym w Rewach – nie myślę się chyba. Sprawdzę. Tak Rewy – chciałbym ożywić to widzenie celu albo ową martwą rzecz młodości. Zastanowić się nad tym. Jeden na Jeden.

Został przyjęty i zamieszkał w domu Furmanka. A że jest człowiekiem wiecznego marzenia, bycia na wysokościach, to tym lepiej. Schroni się ze swoją krzywdą w cieniu rozkwitającej jabłoni. Tym lepiej. I tak pozycja wewnętrznego skupienia zostaje zachwiana przez powtórny odzywkę brata Franciszka.

To co nastąpi w moment przerwania kontemplacji. Co nastąpi?

Nic, odpowiada Pisarek. Normalnie nic.



Patrzę na niego z podziwem. To ja tu robię wypadki w byłe i będzie, pragnę jego rehabilitacji i serdecznej służby sprawie, a on... patrzę z podziwem na obecnych i wolno podnoszę się z krzesła. Podchodzę do stołu, biorę kartkę papieru i piszę technika słupek.

Chcącemu nie dzieje  
się  
krzywda

Tak piszę. Kartka przechodzi z rąk do rąk i wszyscy jednogłośnie chwalą ładne pismo. Franek robi nawet uwagę typu: Żebym tak wieczności nie doczekał, jak to pismo nie świadczy o powołaniu. Żebym nie doczekał! Lecz ja zapatrzony w przeraźliwie moknący pejzaż nie widzę i nie słyszę. Właściwie widzę jakąś postać na tle sadu, potężną, rozkołysaną, która stojąc idzie, biegnąc płynie i którą z trudem przybliżam, wyrywam z objęć nagich drzew centymetr po centymetrze, metr po metrze, wyrywam i ciągnę. Nagle skrywają ją młodoliste gałęzie i już nie widzę, nie ma, pusta, moknąca przestrzeń. Chcę siłą spojrzenia przeniknąć jej mgłę, żeby znaleźć się pod różą i z różą. Oczywiście tu róży nie ma, ale czego się nie robi dla upiększenia własnej prawdy, czego się nie wyzwała? Odwracam oczy i widzę zaaferowana minę Furmanka, który z kartką w prawicy kiwa palcem. Podchodzę, odbieram mu to wyznanie i cicho mówię.

Niech się pan nie przejmuj. To zawołanie historyczne.

To Bogu dzięki, Alosiu. Bogu dzięki. Mnie już zdawało się to być określonym hasłem, które ty zmyślił dla poróżnienia się z władzami. Wiesz chyba, że każde hasło trzeba zarejestrować w specjalnym urzędzie. Wiesz czy nie wiesz?

Wiem.

No widzisz. Na każdą uroczystość jest inne hasło. Na przykład. Na wyzwolenie Warszawy hasło nawiązuje do świetności polskiego oręża. W lapidarnym skrócie pokazuje się jego potęgę i chwałę. Zaś hasła pierwszomajowe są przeglądem niespożytych sił narodu, jego energii i wezwań do pracy nad dobrobytem. W okresie kultu jednostki w pierwszego maja stawiano do pochodu historię ruchu robotniczego, żeby pokryć tym straty teraźniejszości. A jeszcze hasła wiązane z dniami książki i prasy...

Ależ znam to, przerwałem. Znam prezesie. Hasła nie przeszkadzają dobrej robocie. Wręcz przeciwnie. Dobre hasło to połowa planu. Dobrze mówię, Wiśka?

Piękne oczy chabr objęty mnie całego. Skinęła głową i zagłębiła się w rejestr. I wtedy Franek nie wytrzymał. Podniósł się z miejsca i twardo powiedział. Życie na zagrodzie nie jest w modzie. Ta najprawdziwsza z prawd nikogo nie obchodzi i mnie to zasmuca. Jeśli tak dalej pójdzie, to trzeba będzie stworzyć wielkoobszarowe oazy. Jasno wyrażam?

Jasno wyrażasz, powiedziałem. Trzeba i to się na pewno zrobi.

Dziękuję tobie. Siadam z powrotem.

I Franek siadł, a ja odwróciłem oczy na sad. I znów pod młodolistną gruszą ujrzałem postać. Była trochę niewyraźnie zarysowana i musiałem wyteńczyć wzrok, żeby ją całą dojrzeć. Zdawało mi się, że śnię lub bawię się w układankę nadrealistyczną. Postać miała teraz kształty człowieka z mgieł. Mleczne ciało, mleczne życie, mleczne sprawy. Trzy razy mlecz, choć sad tętnił zielnością i okazałością. U szczytu drzew tworzyło się coś w rodzaju baldachimu i nieruchomo trzymało straż. Ale nie to ważnością tam było. Nie to. Ważnością nad ważnościami był ten człowiek z mgieł. On odziany w biały tren ogarniał cały sad, ogarnął i mnie. Ja też tam byłem, konkretny i biały. Siedziałem na drzewie grusza z rękami złożonymi do strzału. Polowałem. A tak. Polowałem na mleczny łeb z lękiem i nadzieją. Musiałem go zabić jak najszybciej, bo jego zimny oddech mógłby mnie zamrozić i oddalić. Ta jego zwiewność wnerwiała mnie, lecz mając w zabijaniu jako-takie doświadczenie potrafiłem drżenie zamienić w podniecające wyobrazenie końca. I tak pomyślałem sobie, że jest

ograniczony przestrzennie i czasowo, że nie ma wyraźnie zarysowanych konturów i byle podmuch przekształci go w zwyczajny puch. A jeśli tak, jeśli nietrwałość jego jest moją trwałością, jeśli odwaga jego jest moim lękiem, jeśli tak go pomyślałem, żeby mieć go na muszce, czyli tropie unicestwienia, to znaczy, że na nic jego zimny oddech, na nic opór. Jest śmiertelny i zginie od mego strzału. Aż się roześmiałem, tak mi się spodobało określenie zginie od mego strzału. Podniosłem rękę i zamarłem. Ujrzana pod młodolistną gruszą postać objawiła chęć życia. Zaczęła się z wolna podnosić i wtapiać w krajobraz. Już teraz mogłem odróżnić poszczególne części. A więc rozchełstaną odzież, z której ściekała woda, rękę uniesioną w górę, potężne ramiona, jajowaty łeb oraz szeroki, szczery uśmiech. Poznałem go. Tak. Byłem pewien, że zginie, a on mi takiego figla spletał. Co za filut. Co za filut.

Idzie Zajc, powiedziałem.

Nie może być, krzyknął Furmanek. Czy aby trzeźwa jest ta cholera. Czy aby trzeźwa?

Zdaje się że tak. Zresztą oto on sam.

W drzwiach stał Zajc. Zmierzwiiony włos tworzył zgrabną aureolę i pięknie kładł się na kołnierzu. Był przemoknięty do kości. Pozdrowił nas słynnym gestem. Podeszedł do biurka i położył łapę na liście obecności.

Gdzieś był, wałkoniu, huknął Furmanek. Tu ostre pogotowie i front wiosenny, a ty sobie fruwasz. Gdzieś był?

Zajc ołówkiem kopiał wpisał się w dzień i cicho powiedział.

Byłem u kobity i jestem zmęczony. Darujcie, ludzie. Jestem zmęczony.

Ty mnie nie zasuwasz zmęczeniem, ponowił Furmanek i ruszył w tan. Ja was znam, Zajc. A coście myśleli, że was nie znam. Dobrze znam. Nie było jeszcze takiego, którego bym nie poznał. Ja wam mówię Zajc. Hamujcie na zakrętach, choć wy mechanik i ozdoba tego czasu. Hamujcie. Tu się pracuje nie osiem godzin, nie dwanaście. Tu się pracuje zawsze i wciąż, Zajc. A wyście myśleli, że służba rolnictwu to leżenie brzuchem. Pewno tak sobie żeście myśleli, pewno niejedno za plecami myślicie. Ja was znam, Zajc. Ja wam mówię. Hamować i hamować. Pasiecie mordy, a wagony stoją, traktory stoją. Czekaj. Jeszcze nie skończyłem. Jeszcze mam z tobą do pomówienia w kwestii dyscypliny. Za warsztat odpowiadasz ty? A jak wygląda warsztat? To generalny rozpirzaj. Wy sobie nie myślcie, że tak dalej będzie. Tak sobie nie myślcie, Zajc. Chłopaki rzną w karty i chleją dzień w dzień. To się nazywa rybka-pipka. Ostrzegam was, Zajc. Nadejdzie godzina...

Niechże mnie pan nie burzy, powiedział Zajc. Nie straszy, nie poucza.

Chciał coś jeszcze dodać, ale machnął ręką i skierował się do drzwi. Ruszyłem za nim. Z profilu widziałem ziemistą cerę okrytą ciemnym zarostem. Cierpiał. On cierpiał i był zmęczony. Jakże to tak, pomyślałem. Wymęczać cierpienie, kiedy trzeba nam jasnym okiem w przyszłość spoglądać. Jakże to tak? Przecie miał się rozbić o drzewo lub kamień i definitywnie zniknąć z powierzchni ziemi. Miał już do mnie nie wracać, a proszę. Jest zmęczony i mam mu darować. Jakże darować? Co darować? Nie rozumiem. Głupieję w tej mojej wsi rodzinnej. Doszczętnie głupieję.

Stary, powiedziałem. Co z tobą. Staliśmy w deszczu na wąskiej ścieżce. Zajc wstrząsnął się i głucho powiedział.

Daruj. Jestem zmęczony. Piekielnie zmęczony.

Stary, powtórzyłem. Posłuchaj mnie. My tu czekamy na Towarzysza Naczelnego, który ma przybyć celem sprawdzenia moich kwalifikacji. Czekamy ufnie, choć w zdenerwowaniu. Furmanek ma rację. W kółku panuje generalny rozpirzaj. To już nie żadna sytuacja podbramkowa, nie żaden pic i fotomontaż. To katastrofa. Wystarczy pobieżna kontrola i prokurator wkroczy do akcji. I ja decyduję się was z tego wyrwać, rozumiesz? Decyduję się...

Co to mnie obchodzi, mruknął. To banda. Normalna banda.

Ty idioto, krzyknąłem. Zjawiasz się w takiej chwili, kiedy mógłbym cię rozszarpać na kawałki. Jestem bardzo niespokojny, Zajc. To mnie samego dziwi. Myślałem wiele o naszych

chłopackich latach. I nie tylko o chłopackich. Myślałem, że powinienem swoim życiem spełnić postulat ufności, że działanie w dobrej sprawie by mnie zadowoliło. Ty mnie rozumiesz. Chcę przekonać siebie i innych, że powroty do punktu wyjścia nie muszą się kończyć samobójstwem, więcej, chcę wierzyć, że nigdy nie będą samobójstwem.

Zamknij się, Rzepa, krzyknął mi prosto w twarz. Ja jestem zmęczony. Piekielnie zmęczony.

Szybkim krokiem ruszył w stronę bazy. Biegłem obok i wywlekłem swoją rację na deszcz i wiatr. Bluzgałem z nienawistną rozpaczą, która wykrzywiła jego usta chichotliwym pośmiechem. Ja neguję twoje zmęczenie, mówiłem. Neguję i kpię sobie z niego. Ty nie masz prawa być zmęczony. Cóż to za opłotkowa frustracja? Ty, bratku, jesteś za krnąbrny na nasze warunki, za mało wymoczony. Ten włos i pogardliwa mina. Stare i niemodne. Mógłbym ten brak umiaru zdławić jednym słowem, ale nie chcę. Podroczę się z twoją historią, którą uwielbiałeś w szkole podstawowej i zawodowej, zniszczę tę nauczycielkę życia. Zniszczę! Zniszczę! Miałeś być nieobecny w dzisiejszym dniu, ale jak już jesteś, to sobie pogramy. A coś myślał. Że będę tu biegł obok ciebie i pieprzył o wszystkim i niczym? Pogramy sobie. Pada deszcz czy nie pada? Pada. A wczoraj było ślicznie. Co tam ślicznie. Wczoraj było wręcz fantastycznie. Cały świat nam się wydawał zawirowany. A jak brzmiał refren pokoleń, jak on brzmiał? Tembr, powiadam ci, czysty tembr. Tak czysty, że Bogurodzica Bogiem sławiena to kwik zarzyniego. Mało kwik. Mało Bogiem sławiena. Wszystko mało. Nawet sława naszego oreża to mało, żeby wredną jednostkę przekonać do siebie. Tyś wredny, Zajc, ale prawdziwy. Kurwa. Taki jesteś prawdziwy, że jakby ciebie nie było. Jakbyś się zawirował własną historią i poszedł na dno. Co tam dno. W dziurę bytu, ot co. Spójrz no na traktory, młocarnie, pługi. Co za przeraźliwie moknący pejzaż. Stoją tu sobie w pokorze i nadziei, że się do nich zabierzesz, opukasz, wyślesz w pole. Przecie jesteś ku temu powołany. Kiedy tak gapisz się otepiałym okiem na sprzęt, to wyglądasz jak szlachetka zagrodowy, który panuje i siebie miłuje. A kiedy nie gapisz się i spluwasz siarczyście, to jesteś odwrotnością wszystkich naszych dziennych spraw, odwrotnością miłopierdnych złudzeń, chleba powszedniego, kwiatu złego. Więc czymże w takim razie jestem w tej odwrotności, pytasz mnie, czym zasłużyłem na tak chwalebne wyróżnienie, że aż przystaję zadziwiony. Aż przystaję na podwórzu kółka rolniczego wioski Rewy. Po raz trzeci przystaję.

Jesteś pierwszą wartością i bezkrwistym początkiem. Tym jesteś, Zajc. Dla mnie, który tu przybył w celu sprawczego działania na łonie wsi rodzinnej, jesteś jeszcze czymś więcej. Moją prostą serdeczną, o której zaraz powiem takie słowa. Prosta serdeczna to walka z gniewem homo faber. Ostateczna, bezpardonowa. Taka walka, że trzeba ją wpisać w nasz dzień, trzeba rzucić w spalone mordy broń ideała. Pojmujesz mnie, co? Broń ideała to nie jakaś tam wyśniona kraina, ni jakiś odpad niewinności, ale rozbijany kolanami groch. Systematycznie i ustawicznie, żeby na nim nie zostało wyrze Mane Tekel Fares. Bo gdyby to się stało, gdybym powstał z klęczek i białą ręką wyrze Mane Tekel Fares, to moje imię by znikło w pyłe pokoleń ostatecznie. Och, Zajc. Twoje – moje, nasze – wasze. Pojmujesz mnie, co? A jeśli pojmujesz, to nie muszę tłumaczyć, dlaczego jesteś pierwszą wartością i bezkrwawym początkiem. Nie chciałem tej nauczycielki życia wynieść ponad ciebie. Dalibóg, Zajc. Nie chciałem. Lecz przez twój upór to się stanie. A coś myślał. Że ja bluzgam słowem ku ucieście własnej. Mylisz się. Och, jak ty się mylisz!

Tym okrzykiem zakończyłem to nagłe ujawnienie się. Zajc zdumiony badał mi twarz. Dopiero teraz zauważyłem, że ścisła moje ramię i poczułem wielki ból. Szarpnąłem się w tył. Jego potężna łapa zdusiła krople dżdżu. Powiedział.

W porządku, Aloś. Jesteś kopnięty i nie będę ciebie droczył. Za to przekonam się, czy potrafisz praktycznie udowodnić swoją rację. Chodź.

Splunął i ruszył do warsztatu. Szedłem obok. Na progu ludzka grupa, zwana fizyczną, powitała nas szerokim gestem. Zajc zwał się na krzesło i ostro powiedział. Panowie. Mamy

rozstrzygnąć problem zasadniczy. Czy rybka–pipka, czy solidne wykonawstwo powierzonych nam zadań. Oto nasz przyszły kierownik, który da nam taki wycisk, że popamiętamy na lata.

Ale ja nie mam zamiaru dawać wycisku, rzekłem. Mylisz się.

Mówię dalej. Da i trzeba się na to przygotować. Ja z nim pasalem krowy i wiem, że wiele rzeczy potrafi robić bezbłędnie. Wierzaj mnie, jeden z drugim. Potrafi. Dlatego też musimy problem zasadniczy rozstrzygnąć przed oficjalnym zatwierdzeniem. Syruś, podejdź.

Krępy chłopak podbiegi i zasalutował. O co chodzi, brygadierze, powiedział. Gadaj.

Zajc mówił dalej.

Jesteś zdrowy szczawik. Nie musiałeś paść krów na sznurku i pilnować rodzeństwa Nie to co my z Alosiem. Czy błota, czy słota. Przypatrz się jemu dobrze. Ma wryte na gębie znoje dzieciństwa. On ciebie nienawidzi, Syruś, bo jesteś o kilka lat młodszy i masz krzepę. Głupie to, ale prawdziwe. Pokaż mu hak serdeczny, żeby na przyszłość nie wciskał ludziom ciemnoty. Ja popalę i popatrzę. Zaczynaj.

Co wy, panowie, powiedziałem i cofnąłem się pod ścianę. Jakże to tak. Zaczynaj. Zajc, co to za napuszczanie?

To nie żadne napuszczanie, odparł. To okazja, żebyś się zapisał złotymi zgłoskami w naszej pamięci. Nie rób takiej strachliwej miny, Aloś. Mówię tobie. Nie rób takiej miny. Być może, byłem blady i wystraszony. Nie wiem. Widziałem ich wszystkich niedbale balansujących na piętach, cynicznie uśmiechniętych i pewnych ciosu. Chłopak, przezywany Syrusiem, kocimi skokami zachodził mnie z lewa. Reszta szła na pierś. To był jakiś niedobry film, format może, który przypadkowo mnie poniósł i zatracił. Pot zmoczył mi ciało. Zacisnąłem pięści i czekałem. Kątem oka widziałem, jak chłopak zatoczył prawicą łuk. Kucnąłem i z kopyta walnąłem go w pierś. Zobaczyłem nad sobą jego złe, wodniste oczy. Chciałem poprawić, lecz następny cios przygwoździł mnie do ściany. Chwycił mnie za włosy i kopniakiem wypchnął na środek warsztatu. Usłyszałem gremialny rechot i zrozumiałem, że to nie przelewki.

Ty skurwysynie, myślałem orając mu pazurami twarz. Położę ciebie. Położę. Rąbnałeś mnie kolanem. Drobiazg. Oddałem w ucho. O kurwa. Zachwiał się. Na szczękę raz i dwa. Powinien upaść, a on stoi. Powtórz. Lecz nie zdążyłem. Potężny hak szarpnął mnie w górę i poleciałem na plecy. Jakaś szmata spadła mi na oczy i poczułem, że słabnę. Przewróciłem się twarzą na cement i przytknąłem do niego rozpalone policzki. Nie mogę wysiąść. Nie mogę. Oczekiwałem kopnięcia, ale nie nastąpiło. Cement przyjemnie chłodził. Zdawało mi się, że oto znalazłem to miejsce siłotwórcze i za chwilę powstanę. Madonna stuk–puk o bruk. Madonna. Idąc na skos bulwarem Pokoju. Stuk–puk. Madonno–madonno w sto par tutaj konno. Za drzewem. Kora to, ale za tym drzewem ciemnoblond się chowa. Stuk–puk. Kto tam? Anioł z nieba. Czego chciał? Zielonego. A po co mu zielone? Do rozbicia dwora. A jakiego dwora? Niebieskiego dwora. Niech wejdzie.

I zobaczyłem siebie klęczącego z palmą w prawicy wśród traw i strumieni. Na ramieniu siedział mój ptak jastrząb i gładził mi skrzydłem czoło. To chyba była ta dolina wyśniona, bo wszędzie widziałem przyrodniczą pełnię. Widziałem. też oślepiające iskrzenie wody i zapragnąłem jej. Wskazałem nań palmą i mój wierny sługa pofrunął. Było mi dobrze. Klęcząc myślałem sobie u źródeł. Oto stawałem się skończoną niewiadomą i rozpoczynałem egzystencję wcielonej miłości. Jakże było mi dobrze, jak wysoko. Mój wierny sługa poił mnie z dzioba i skrzydłem chłodził, strumienie szemrały, trawa ścieliła posłanie. Co może być lepszego ponad takie życie. Skiniesz palmą i ptak jastrząb już tańczy, chuchniesz i trawa porywa życzenie, brew zmarszczysz i drżą dzieci niebieskiego dwora. Cóż lepszego ponad? Nic. Każdy to wie. A ja jeszcze rozpocząłem egzystencję wcielonej miłości i chcę ogarnąć krajobraz po bitwie. I ogarnę, bo wszystko służy sprawie tego czasu. Ogarnę. Klęczałem na cemencie i patrzyłem na grupę skupioną pod ścianą. Wyciągnąłem rękę i cicho powiedziałem.

Chcę się z wami pogodzić. Bądźmy przyjaciółmi.

Gremialny rechot poderwał mnie na nogi.

Zajc klepał się po udach i wrzeszczał.

Co za frajda dla naszego piekiełka. Jak bogamego. Dowcip tysiąclecia. On mnie rozpirza. Cha! Cha! Cha! Och, jak rozpirza!

A więc dobrze. Dobrze. Stawaj, gnoju!

Tak powiedziałem. Stawaj, gnoju. Miał jeszcze na twarzy resztę śmiechu, w który uderzyłem z rozpaczliwą wolą zwycięstwa. Wczepiłem się w jego ciało i przyparłem do muru. Biłem szybko i dokładnie. Krew zalała mu oczy i moje ręce. Walczył dobrze, lecz moja dzika wściekłość miażdżyła każdy atak. W końcu zasłonił jedynie twarz i głucho stękał. A ja waliłem jak błędny rycerz, ten obrońca skrzywdzonych i poniżonych, waliłem zajadle i bez czucia, bo chciałem wywalić w tę krew mój czkający żal za światem wcielonej miłości, za dobroimienną radością, za brak pierwszych wartości. Waliłem jak w bęben, kiedy osunął się bezwładnie na cement. Stałem nad nim z pięściami. umazanymi krwią i jadowicie dyszałem. Ty gnoju. Ty parszywy, nędzny gnoju. Chciałeś mnie zapisać w pamięci złotymi zgłoskami, chciałeś mi podarować kochane piekiełko. Niedoczekanie twoje. Ja was wezmę w galop i zrobię takich fachowców, że do grobowej deski mnie popamiętasz. Ty gnoju, gnoju! Wskoczyłem na podwórze. Piekły oczy i w piersi poczułem silne rwanie. Oparłem się o przyczepę i deszczem zraszałem rozpaloną głowę. Rwanie narastało. Niesamowity ból, który wyzwolił się za nagle, za prędko. Giął mnie w błoto, domagał się krzyku. Zacisnąłem zęby i pazurami wczepiłem się w platformę. Nade mną płynął ten wielki obłok optymistycznej tragedii. Chwiał się, przeginał. I płynął bez przerw, bez końca, jedynowładny i pięknie wymoczony. Ten obłok, który mnie przyjął jak własne dziecko, jak syna nie marnującego, ale budującego, i wyposażył w pragnienie dobra wszystkich ludzi, teraz stąpił to rwanie w piersi, nieomal wypalił. Dziękowałem mu za to spękaną wargę, dziękowałem za kielich ambrozji, którą wlał mi do ust, żebym mógł przejść do dalszego i dalszego, ja, nieśmiertelny lub w pół nieśmiertelny. Ja. Dziękowałem mu za to. A on sobie płynął. Przeplýwał. Zabierał mój ból, umykał z nim w koryto dziejby coran świata i duszy, czyli umysł. Umykaj sobie, zjeżdżaj po równi pochyłej naszych trosk i tęsknot. Grunt, że darujesz nam uśmiech losu. Reszta nieważna. Grunt tamto. Bo co byśmy bez tego śmiechu robili, jak walczyli? On uskrzydla i rujnuje przewiny. On może nawet zadośćuczynić prawdzie historycznej i wypalić w niej konstrukcję wolnej woli. Tylko trzeba się w niego zapatrzeć aż do zraty własnego imienia, aż do dna własnej miłości. Kochany obłok. Optymistyczny, choć tragiczny. Taki właśnie jak sen miliona. Płyn. Przeplýwaj. Jestem na stanowisku.

Rwanie ustało. Odbiłem od przyczepy i wolnym krokiem ruszyłem do biura. Byłem zwycięzcą, ale nie cieszyłem się. Nie cieszyłem. Moje umazane we krwi ręce doskwierały mi ponad ton. To była zwyczajna bójeczka, myślałem. Jedna z najzwyczajniejszych bójeczek okresu męskiego. A jednak... lipna satysfakcja, dno. Jestem bydlę. Powtórz sobie. Głupie, narowiste bydlę, które powinno się chłostać moczona lejcką. Jak długo jeszcze będzie to nas dzielić i wykańczać? Uniosłem te złote grabie na wysokość oka i zdziwiony patrzyłem na ich wspaniałą celowość. Były przedłużeniem Sumerów, Merowingów, Wizygotów, Wenedów, Achajów i walecznych ku chwale pax romana. Były nowożytnością tak wielką, że niewyraźną. Złote grabie, chwała wam. Pochyliłem się nad kałużą i obmyłem je do czysta. Minąłem bramę i twarz mi pojaśniała. Przed biurem stał samochód koloru błękit. Położyłem dłoń na twarz i przez palce zapatrzyłem się w niego mocno, do bólu.

### III

Słuszna sprawa jest wielką sprawą.

To oczywiście stwierdzenie wymaga rozszerzenia i wyraźnego przedziału między A i Be. Powiedziano. Słuszna sprawa jest wielką sprawą, ale nie powiedziano jaka, czyja, dokąd prowadząca. Szybko orientujący się czytelnik zgadnie z niewinnym uśmiechem, że balansujemy nad przepaścią ostatecznego dokonania, zakryci całkowicie obłokiem optymistycznej tragedii, i czekamy na tchnienie siły wyższej. Wszystko wskazuje na to, że to tchnienie towarzyszyło Alkowi Rzepie bez przerw. Tajemniczość tego zjawiska będzie wyjaśniona, lecz najpierw w przedział A–Be włożymy cegłę zdrowego rozsądku i powiemy sobie następujące przesłanie. Było–nie–było. A samochód koloru błękit był? Był. A zbryzgany błotem był? Był. Czyli wszystko jest przygotowane do dalszego i dalszego? I tak, i nie, ponieważ przedział A–Be musi wypełnić czymś pięknym a godnym słusznej sprawy. Może nawet i wielkiej sprawy. Oto zjawia się w Rowach Towarzysz Naczelny NIE samochodem koloru błękit, ale zwyczajnie, osobowym środkiem komunikacji państwowej, steranym w służbie postępu napraw drogowych, zdewastowanym przez pokolenie, któremu udostępnia się poziom nad wodami i górami w imię słowa górnołotny, w imię słowa wdzięczny. W takim właśnie środku lokomocji Towarzysz Naczelny zaznajamia się z tak zwanym rytmem współczesności osłaniając się gazetą codzienną, zadumany nad sprawą wskaźników i mocy przerobowej, głuchy na wrzask środków masowego przekazu, który wypełnia rozklekotane pudło. I tak pomyka sobie ten słynny wiejski autobus po drogach wybój, przystaje to tu, to tam, rozśpiewany mocą sto pięć koni mechanicznych. A Towarzysz Naczelny myśli i myśli, oczy wbite w zniszczoną babinę z wolna wypełniają przedział A–Be blaskiem czasu pokoju, zwidzenie prawdy obiektywnej rozkłada imperatyw buntu na nic nie znaczącą piosenkę o starości, która każdego czeka, która się śni dopiero tej pannie z imitacją fryz Nefretete, a temu młokosowi z twarzą Madeja wydaje się nierealną owal–nędzą. Towarzysz Naczelny poprawia okular, przygląda siwiejącą skroń i skłonem w uciekający krajobraz oddala duszną atmosferę autobusu san. Nad pasmem równiny wzbija się od czasu do czasu szpic wieży wiertniczej, która umiła monotonna podróż cichą nadzieją znalezienia w powiecie pokładów roponośnych i związany z tym skok przemysłowy typu salus. On by uskrzydlił tych kościotwardych ludzi przybyłych tu ze spalenizną w oku już bardzo dawno, jeszcze kiedy był śmigły i wiotki jak trzcina tego mędrca, jak błyskająca bielą zębów chłopacka wysokość. On. Ale Towarzysz Naczelny nie oddala w zupełności dusznej atmosfery autobusu san. Zostawia jej trochę u nóg, żeby szybowanie miało realny grunt oparcia. I tak w ten moknący pejzaż zielnej wiosny wskakuje bujny młodzian z twarzą znaczoną prochem okopu, przystaje zadziwiony, bo coś mu tu nie gra, coś psuje wyobrazone upojenie, coś zwane i nienazwane. Lecz to nie przeszkadza w zaczęciu przygody, którą od tego miejsca będziemy nazywać pełnią życia i jej wygłos znakomicie pokryje przedział A–Be. Tonacja nie powinna przekroczyć przepisowej oczywistości wyboru.

A więc do tego solidnego biurka połysk droga była dość kręta i w niejednym miejscu przerwana ze względu na popalone mosty. Była nawet powtórnie przebywana, choć wydaje się to nieprawdopodobne i śmieszne dla idących pewnym krokiem. Bujny młodzian zbyt poważnie traktował swój cel, żeby lekceważyć punkt wyjścia i dojścia. Zdawało mu się, że nie wystarczy chęć szczerą i miłość do matki Polki, żeby osiągnąć ową pełnię górną i chmurną. Nie wystarczy też przeszłe a znaczące, które jako suma martwieje i mechanicznie toczy goliatowski kadłub. Przebywanie w cieniu palca zagrożenia było nieodzowną koniecznością i dziś Towarzysz Naczelny mógł stwierdzić, że udało mu się przechytryć jak nikomu z tego obrębu. Dziś palec zagrożenia ostatecznie ześliznął się w popiół. Otworzył teczkę i wyciągnął blok. Następnie zanotował.

## LUX IN TENEBRIS

piórem wiecznym otrzymanym w prezencie na swe pięćdziesiąte urodziny od przemyłych współtowarzyszy pracy. Był to jedyny dzień, który egzystował na prawie wyłączonego środka i w którym Towarzysz Naczelny pozwalał sobie na swobodne uskoki tam i sam. Uskoki te wtłoczone w marszcz wizerunku własnego dają zaskakujące efekty wizualno–dźwiękowe. Na przykład, odległy poszum wsi sielskiej międzywojnia albo bliski, prawie namacalny oddech polskiej jesieni. Sielską wieś międzywojnia trudno wynaleźć w rzeczywistości tak zwanego czasu, ale w chwili gdy padło jej imię, mija równe pół wieku i budowa obrazu jest już definitywnie zakończona. Obraz ten składa się z takich elementów, jak żuraw, słomiana strzecha, podłoga z gliny oraz postaci Ojca wielce srogiej, lecz obdarzonej niepospolitym darem pisania i czytania. Tenże dar jest najbardziej oświetloną częścią obrazu i najmilszym wspomnieniem samego Towarzysza Naczelnego, któremu poświęca każdą wolną chwilę. Prócz tej światłej pozłoty obraz posiada wielką ilość nakrapianych plam, które może ożywić chcenie jego właściciela. Oczywiście chcenie oznaczone symbolem A–było–nie–było. Są jeszcze strony bardziej lub mniej zaciemnione, lecz one nie stanowią dominanty było–nie–było i ich wygląd z ulgą wyrzucamy do dziurawego wora pamięci.

Podróż Towarzysza Naczelnego autobusem san trwa do momentu, kiedy bujny młodzian, właściwie bujna męskość wyzwoli się z cienia palca zagrożenia i przejdzie do bezpośredniego ataku z pozycji wozu błękit. Lecz mimo to i sio, przedział A–Be zappełnić trzeba do końca.

Spadkobierca niepospolitego daru pisania i czytania pierwszą dziesiątkę lat po wyzwoleniu poświęca na kształtowanie modelu obywatela. Model ów to powszechnie znany typ człowieka bez człowieczeństwa, który w następnym dziesięcioleciu staje się czystym człowieczeństwem bez typu. Bo właśnie następny dziesiątek lat jest wielką wiadomą działacza społecznego pełnego inicjatywy, rzutkości i niespotykanej wyrozumiałości dla ułomności ludzkiej natury. Na tym etapie postać Ojca pojawia się częściej i bierze czynny udział w wewnętrznych bojach światopoglądowych. Bój jest zażarty, bo Ojciec trzyma się stanowiska wiecznego zbawienia i za cholere nie chce popuścić. Nie popuszcza aż do momentu obudzenia się syna. Wtedy znika i wszystko wraca do normy. Można więc powiedzieć A.

Natomiast Be nie można wypowiedzieć bez dodatkowego wejścia w pełnię życia Towarzysza Naczelnego. Być może operując inwersją czasoprzestrzeni i pojęciem epoka uda się uzyskać ową przygodę, zwaną pełnią życia. W pierwszym rzędzie trzeba rozpatrzyć zagadnienie społecznego działania i mający się do niego wyuzdany oportunizm latorośli. Mający się, ponieważ latorośl od dawna przekroczyła próg dojrzałości i wielkim głosem zapytała o wypłacalność ideała. Pytanie rozbite o tak zwany mur obojętności, od czasu do czasu pobrzmiwa dobrożabiącym językiem i Towarzysz Naczelny po raz n–ty stara się spokojnie przemyśleć odpowiedź. Jednakże powodowany miłością rodzica rezygnuje z jabłka leżącego pod gruszą. Właśnie pod gruszą i to zadziwia cegłę zdrowego rozsądku. Bo relacja jabłoń–grusza wzajemnie się wyklucza, prawda, i darmo wymierzać obszar ich przyciągania. Wyklucza się. Lecz w sytuacji, w której ona będzie miała rację, na pewno pojawi się jabłko pod gruszą, bo kto ma rację, stawia litra i kolację, że przyłożę do tego cegłę zdrowego rozsądku. Nie raz i nie dwa Towarzysz Naczelny chciał zrozumieć świat, w którym żyje latorośl. Daremnie. Co stworzył sobie klarowny obraz bytu lub walki o niego, co pomyślał, o tym lub owym – na nic. Widok wróbla w końskim łajnie wyraźnie mówił: Bacz, nie sieją i nie orzą... starał się wtedy rozgryźć prawidłowość dziejów. A było co rozgryzać po osiągnięciu biurka połysk. Jeden problem starzenia się zajmował kwadrans, a co mówić o tych krótkich, lecz bolesnych godzinach wyłączonego środka, w których wznosił piramidy, wstępował na szczyt i skakał w dół. Upajał go ten prywatny skok. Upajał.

Już niedługo Towarzysz Naczelny zakończy podróż autobusem san i przejdzie do bezpośredniego ataku z pozycji wozu błękit. Jeszcze tylko jedno widzenie postaci Ojca kiwającego palcem kciuk. To widzenie odbywa się pod strzecha w gorącym południu. Ojciec

trzyma w prawicy bicz, który raz się spopiela, raz ma giętkość zielonej witki. Naprzemianlegle–Naprzemianpięknie. Jak łąza. I nagle Ojciec robi zamach, ścina sobie głowę i tupiąc na polnej drodze kamaszami znika w kurzu. Znika i jest jak jest. Niewyraźalnie. To wszystko. Można powiedzieć Be.

Zobaczyłem Towarzysza Naczelnego w chwili, gdy z trzaskiem zamknął segregator i rzucił Wiśce. Spodobały mi się jego duże, żarliwe oczy i gładkopulchny podbródek. Wzrost w granicach przyzwoitej przeciętności i energiczne, władcze ruchy. Spodobało mi się to wszystko i stuknąwszy pantoflem powiedziałem.

Dzień dobry, Towarzyszu Naczelnym. Oto jestem.

Żarliwe oczy objęły mnie całego. Furmanek podskoczył i bezbłędnie zaanonsował.

Towarzyszu Naczelnym. Przedstawiam wam kandydata do funkcji kierownika technicznego. Nazwisko jego Rzepa Aleksander i jak sam wyraził się publicznie, chce działać na łonie wsi rodzinnej. Od siebie mogę dodać, że chłopak szczery i na robotę chętny.

Tak jest, pośpieszyłem. Lubię pracować i nie boję się niczego.

To się okaże, wycedził ściskając moją prawicę. To się okaże.

Cofnąłem się pod ścianę i siadłem na swoim miejscu. Franek wetknął mi w łapę papierosa i znacząco mrugnął. Kręciłem go między palcami uważnie słuchając szybkiej, lecz dobitnej mowy Towarzysza Naczelnego. Chodziło o to, że on tu jest od kwadransa i nie widzi konkretnych danych. Nie chodzi o symboliczną cyfrę, ale realny ciąg liczbowy zamykający kwartał in plus. Tego nie widzi. Nie słyszy też usprawiedliwień odpowiadających za ten wycinek. Nie chcę tego kogoś nazywać po imieniu, bo cenię nazwę człowieka, ale zważmy następujące stwierdzenie.

Jest prawdą, że prawda nie jest wrogiem pracujących.

Zważmy to. Prawda nie jest wrogiem pracujących dobrze i wydajnie. Przykład towarzysza Pisarka obrazuje ją naocznie. Ma nawet na czole tę sentencję wypisaną, choć tak się marszczy i skrywa. Nie wstyďte się, Pisarek. Ja to znam. Znam. Czy nadal mieszkacie w chałupie prezesa Furmanka, w tym pokoiku na strychu obrzeżonym liśćmi winogrona? To dobrze, że tam mieszkacie. Ładny to pokoik, taki, wiecie, fizycznie uobecniony, i dlatego często do niego powracam. Wchodziło się, pamiętam, krętymi schodami nie mytymi chyba od śmierci pani Furmankowej, to jest od sześćdziesiątego piątego. Co, stary? Zgadzasz się na sześćdziesiąt pięć? W porządku. Drzwi były w kolorze oranż, dość prostacko zrobionym, lecz za to za drzwiami stanąłem jak wryty. Do tej pory, Pisarek, zadziwia mnie wasz gust militarny. A wtedy to była wizyta poniekąd inspekcyjna ze względu na wasz polot, który mnie tak uderzył, tak uderzył szerokością horyzontów. Nie wstydz się, chłopie, i daj mi wypocząć. Tako rzecze ci człowiek prim. Nie wstydz się. Bardzo ten gust militarny mi się spodobał. Podziwiałem go najpierw z proga. A więc to wymyślne działko z siedemnastego wieku stojące zaraz u drzwi. To mistrzowska robota, cudo sztuki kowalskiej. Obok trójkąt kul z lanego żelaza, a nad nim królewska szpada. Muszę się tobie przyznać, że ta szpada niepokoiła mnie dłuższy czas, a właściwie to jej skromny brat, sztylet używany w wyjątkowym czasie i dla wyjątkowych gości, śmieszne to, ale ten sztylecik widziałem przeważnie nad ranem, gdy sen jest twardy, a koszmar nocy znika bezpowrotnie, trzymała go w rękę pewna kobieta i groziła w sposób budzący reakcje obronne, moje reakcje obronne. Dalej szable, kindzały, bagnety... biała broń wisząca na ścianach to coś niesamowitego, nieprawdaż? W dodatku lekko podzwaniająca. Zaintrygowała mnie jednak miniaturowa gilotyna stojąca na środku pokoju, która zrobiłeś sam. Tłumaczyłeś mi później zasadę działania, w wyniku którego głowa leciała do kosza, a kadłub do trumny. Robespierre musiał mieć się z pyszną na sekundę przed ścięciem. Prócz tego miałeś w pokoju kilka odrapanych gratów i potężny słój śliwownicy. Łykając myślałem, że nieźle to wszystko sobie urządziłeś. Nieźle jak na konsumenta żołnierskich legend. Wracając jednak do gilotyny. Macie ją jeszcze?



Oczywiście, zaśmiał się Pisarek. Mam ją i czasami pociągam za sznurek.

No–no. Za sznurek. Filut z ciebie.

Towarzysz Naczelnny był rozbawiony i łaskawie dodał.

Po godzinach urzędowania wstąpię do was. A teraz sprawa młodego człowieka. Pragnie pan objąć wakujący etat kierownika technicznego. Czyż nie tak?

Poderwałem się z miejsca i stuknąłem obcasami. Tak jest, powiedziałem. Mam szczerą chęć objęcia tego stanowiska.

Szczerą chęć nie wystarczy. Czy zdaje pan sobie sprawę z wiążącej odpowiedzialności i wymagań moralnych, które trzeba spełnić, żeby wyrobić własny autorytet. Własny, powtarzam.

Zdaję sobie sprawę.

To dobrze. Autorytet kierownika musi być tak widoczny jak znaczek firmowy przedsiębiorstwa. Kierownik to alfa i omega życia gospodarczego, to doradca zwierzchników i pierwsze zwierciadło robotników. Tak jak kierownik rządzi, tak żyją robotnik. Czy zdajecie sobie z tego sprawę?

Zdaję sobie sprawę.

To mówię dalej. Kółka rolnicze są przedsiębiorstwem usługowym, świadczą szczególnie prace polowe i transportowe. Naszym potencjalnym klientem jest rolnik indywidualny. Pochodzicie z tej wsi i sądzę, że orientujecie się w jej potrzebach. Potrzeby w Rewach są duże. Realizacja każdej zależy od dobrej woli mieszkańców. Bo zważmy na takie zjawisko jak ucieczka młodzieży...

Życie na zagrodzie nie jest w modzie i stąd to, wtrącił Franek. Gadam o tym od wczoraj, ale nikt mnie nie słucha.

Od wczoraj? Chacha. Ja gadam od dziesięciu lat i będę gadał następne dziesięć. Problem nie w migracji, ale w stagnacji. Czy pan wie, że w osiemdziesiątym piątym na wsi ma mieszkać dwadzieścia procent ludności?

Skąd mam wiedzieć, mruknął Franek. Człowiek na dorobku robi...

Ma mieszkać dwadzieścia procent. Te dwadzieścia procent musi wyżywić cały kraj i jeszcze dać eksport. Oczywiście, pytanie. Jak to zrobić? Nic prostszego odpowiedzieć na takie pytanie. Wielkoobszarowe gospodarstwa, wysoka kultura rolna i nasycenie mechanizacją.

Tere–fere, powiedział Franek. Na ostatnim zebraniu była o tym mowa i przedstawiciel wydziału rolnego postawił prognozę nasycenia maszynami na dziewięćdziesiąty piąty. To wstał obywatel Gniadoch, ten od kościoła, i gada tak. Ele–mele–dudki, gospodarz malutki. Gospodyni garbata, a jej córka smarkata. Na ostrą uwagę kierownika szkoły, że tu nie wesele, obywatel Gniadoch powiedział.

Ludzie, gdzie my som? Chyba nie na jakiejś wyspie pacyficznej, ale na ziemi piastowskiej. Posłuchajcie no mnie. Ja nie będę uprawniał się w kwestii perspektywicznej, kiedy orze pługiem nurek. Nie będę też zabierał chleba jednostkom wykształconym i myślał o dalszem i dalszem. Ja mogę najwyżej sięgać do działki przyszłorocznego zboża, i to pod warunkiem, że nie wymoknie. Ludzie, nam trzeba rady na jutro, bo inaczej pot nas zaleje. Krwawica i pot. Zapiszcie to, magistrze inżynierze, w notesie. Bez rady pot zaleje chłopów naszych. Na tym obywatel Gniadoch zakończył i do końca zebrania milczał jak grób.

Towarzysz Naczelnny poprawił okular i z uwagą obejrzał Franka.

Słuszna uwaga z tym potem, powiedział. Bardzo słuszna. Praca chłopów za mało jest doceniana i stąd rozgoryczenie. Ale to się zmieni. Chciałbym jednak powrócić do młodego człowieka i zapytać go o przynależność organizacyjną.

Należę do ZMW, ale ostatnio w kwestii składek się zaniedbałem i możliwe, że zostałem z szeregow wykluczony. Tak to jakoś wyszło. Ale to moja wina.

Ach, młodość. Rozumiem. Piwko, randka, motor. Doskonale rozumiem. Prawa młodości są dla mnie święte. Gdy tak na pana patrzę, to aż mi lżej na duszy. Oto, myślę, w pełni

człowiek zasługujący na uwagę. Mało. Na wiele słów, które trzeba wypowiedzieć tu i teraz, żeby powstało z nich zdanie określające daną jednostkę. Przypominam sobie moją chmurność znaczoną wiekiem żelaznym. Rozumiecie. Dym, ogień i krew. To wszystko nagle w zasięgu myśli.

Ja rozumiem, powiedziałem. Bardzo dobrze rozumiem wiek żelazny.

To świetnie. Pańskie podanie było niecodzienne. Czytałem je kilkakrotnie i za każdym razem utwierdzałem się w przekonaniu, że muszę z panem porozmawiać osobiście. Wynotowałem parę zdań. Na przykład. Działalność człowieka polega na przeciwstawieniu zastanej rzeczywistości wartości wyższych od przeciętnych.

Albo.

Nie jesteśmy bogami, żeby potencjał możliwości oddalać w nieskończoność.

Albo.

Uważam, że mój powrót do wsi rodzinnej uzdrowi atmosferę powstałą na skutek przemian świadomości podstawowej komórki.

Towarzysz Naczelnny schował notes i odebrał z rąk Wiśki szklankę z herbatą. Pocukrzył i powiedział.

Te zdania, naturalnie, nie są dopracowane. Jednakże fakt, że pan wie, co należy nam zaoferować, jest już pochwałą. Pan zna tylko z historii powstawanie obecnego zrębu państwowości. Ale my. Prezes Furmanek, ja, a nawet Pisarek w niepełnym wymiarze, tworzyliśmy tę historię. Nie było słodko. Nie było.

Powiedział. Nie było słodko. A przecie nie o to chodzi. Sympatyczny młodzian, fakt. Ale nie bujny. Nie bujny. Gdzie tu się przecina moja summa i jego początek. Gdzieś tu i nie tu. To gdzie wreszcie ów najpewniejszy z punktów, który tak mnie drażni i zniewala. Jest. Poprawka na nie jest nikt Bogiem, ale kowalem swego et cetera. Zdecydowanie określić niemożność bycia nawet kowalem. Zdecydowanie. On jest. Oznaczenie doli zwanej lub nienazwanej. On powiedział. Nie było słodko. To tak jakby cukierek landryn stanął w gardle i niemiłosiernie łaskotał. Bo co, że jest. Obrazy naprzemianległe zbliżane po okręgu brąz. Wiewiórcze uskoki w bo co muszą rozwiązać lub związać. Bo co z tym cukrem rozpuszczonym w bo na słodko. Takie słodko o lalala. Jak warkocz dnia. Więc powiedział. Gra. Wszystko gra.

Ja żem wiedział, że Towarzysz Naczelnny doceni nasz krajobraz po bitwie, zawołał Furmanek. Wiedziałem.

O czym wy mówicie? Nie rozumiem.

A o tym, że syny splotzone w trąbie ciemności nas muszą wyrażać. Bo jak my z Błażejem Rzepo, znaczy ojcem tego młodego, szlakiem wędrowali, to tak sobie powiedzieli. Budiem ni budiem. Charaszo poborukatsia. Dowody widzicie.

Tu chodzi o to, wtrącił się Franek, że nasz ojciec był wielkim człowiekiem, choć tylko orał i wyciskał kwintal.

Czy jasno wyrażam?

Towarzysz Naczelnny po raz drugi uważnie obejrzał Franka. Następnie wstał i powiedział. Udamy się teraz do bazy. A wy, młody człowieku, poczekajcie tu na nas. Poczekajcie. Ruszył w drzwi. Za nim zgodnie postąpili dwaj miłośni antagoniści. Wiśka odsunęła kręciołek i zagapiła się w okno.

Nareszcie przechodzi, powiedziała. Nareszcie. Co? spytałem. Co przechodzi?

Deszcz i zimno. Po dwudziestym zawsze następuje ocieplenie i wiosna wkracza w szczytowanie. Nie wiesz o tym?

Nie wiedziałem. Franek świadkiem. Nie wiedziałem.

Co tam ocieplenie, krzyknął wymieniony. Grunt, że masz załatwione. A co. Nie mówiłem, że Towarzysz Naczelnny swój chłop. Mówiłem. Wiedziałem. Towarzysz Naczelnny to nie żaden urzędas. Przyjedzie, pogada, rozezna się w sprawie i dopiero. A co. A co.

Ścichnij trochu, powiedziała Wiśka. Nikt tu nie jest głuchy.

A może i jest kto głuchy, zaperzył się i zaczął kołować długim krokiem. Spójrz na niego. Gdzie twarzowa radość? Gdzie pozytywne zadowolenie? Nie widza. Nie słysza. Jakże to tak nie okazać się w chwili zwieńczonego celu. Jak ty to myślisz, Aloś. Co? To facet z powiatu zjawia się, a ty nic. Jak ty to myślisz, Aloś. Gadaj mnie.

Ależ dobrze myślę. Dlaczego miałbym skakać pod niebo, kiedy nic wiążącego nie zostało jeszcze powiedziane. Lepiej uznać siebie po sprawie niż przed sprawą. Lepiej. Z drugiej strony Towarzysz Naczelnny lubi prawić morały, a ja tego nie znoszę.

Jakie morały? O czym ty gadasz?

Nieważne. Daj papierosa.

Franek z westchnieniem siadł, wyciągnął sporta i dając mi go, smutno powiedział.

Ty byłeś od małego wredna jednostka. Pal cię diabli. Poczekamy. Obadamy.

I naiwna, uzupełnia Wiśka. Jak Kostek święty. Lecz nie przetłumaczysz. Za cholereę.

Jej oczy patrzyły po chabrowemu. Skuliłem się i wymamrotałem.

Dobra już, dobra. Nie wy mnie będziecie sądzić.

A oczy nadal patrzyły po chabrowemu. Cóż one takiego widziały, że tak mnie zagarniały w swój chabr, w swój balowy pejzaż zwiewny i sienny, że rozwidniły mi pola majowe, łąki zielone, kwiaty spalone. Rozwidniły. I nawet na scenę mego zwieńczenia patrzyły po chabrowemu, po domowemu. Ja wchodzę przez nie w pejzaż bal i jest dobrze. Możliwie najbardziej dobrze. Idziemy sobie. Świat wygląda spoza tragicznego obłoku i gładzi wiatrem. Idziemy sobie. Ty. Ja. On. Moja serdeczna pani trzyma mój palec i słucha głosu, który mówi – łąką sobie idziemy. Nie rzeką i nie niebem. Tylko łąką. Oto mysz polna pod kwiatem spalonym zasłuchana w świerszcza ton. Patrz tylko. Na dwóch łapach zasłuchana. Dalej tańczy gołąb dziki. A dalej jeszcze para za parą kuropatw stado. Cóż to za bal. Co za gracia. Ach, serce. Podaj ramię. Wezmę ten wieczny liryzm i rzucę pod but. Niech nam służy, niech zazłoci pragnieniem. W niego wejdziemy dokonani sami sobą i już nic nas nie dosięgnie. Nic. Klęknięcie sobie. Klęknij sobie. Klęcząc zatulimy bal wyśniony. Nie chlip, proszę. Jeśli zechcesz, to go zaraz mocą źródła każę skapać w świetle dnia. A coś myślała. Bo twe chabry dają mi moc niespotykaną, która w pył obraca marsz pokoleń, w gniew zamienia łagodność baranka. Wiesz ty, serce, jak ciężko zamienić łagodność w gniew? Przecie nie wiesz. Przecie klęczysz obok myśląc mnie, choć ja żywy, ja realny. Pocałuję. Nie uchylaj. Pocałuję pierś i szyję, żeby się dokonać raz. Wielka rzecz to dokonanie. Idziesz górą i dołem, idziesz nocą i dniem, nieustanna a realna. Ludzie schodzą ci z drogi i w głos wołają.

Dokąd idziesz, nieustanna? Dokąd zmierzasz? Sama nie wiem. Idę niby to w raj, idę niby to w bal. Jestem jak kalina zamarzona. Kogo wybrać? Któremu serce dać? Zapytuję was, kmiotkowie, kogo wybrać i serce dać. Zapytuję.

Hehehe. Pięknaś, a na oczy nie widzisz. A nas, nas sobie wybierz. Zdrowi jesteśmy i bez kompleksów. Poswawolisz z nami, poweselisz. Ten tu Jasiak, tamten Czepiec, ja Gospodarz. Trójcy takiej już nie znajdziesz w żadnej ziemi. Jasiak zajdzie ciebie z lewa, a wójt Czepiec zajdzie z prawa. Chyćta piękniś. Pan Gospodarz spojrzysz w chabr. Nie do wiary. Co ja widzę, bracia chłopci. Co ja widzę.

Co takiego, Gospodarzu. Co takiego?

Jakaś dalszość wszechogromna, wszechnieznana. Gdzież te lalki, podłe maski. Znikły. Nie ma. Dyszy serce z przerażenia. Bo te maski, dzieci, te obrazki. Były – nie ma. Ale piękniś. Jasiak, odwal się od uda, bo ci z pańska każe fiknąć. Moja piękniś, poswawolmy. Po co ci ten niby-bal, kiedy ja tu śnię na jawie. Po co się zatracać w drodze. Poswawolmy w sadzie grusz.

Hohoho. Pan Gospodarz chce mnie mieć. Zapomina, że nie sam. Jasiak z wójtem plują w garść. Będzie pranie, święta piła. Ja tymczasem zniknę w dole, pocałuję. Nie uchylaj. Pocałuję w pierś i szyję, żeby się dokonać dwa. Serce moje. Dwa na łące, gdzie mysz zasłuchana w świerszcza ton, gdzie para za parą kuropatw stado. Ja i Ty. Łapię zębami twój bok i wściekle rozgryzam naszą nieskończoność, spijam obrzydliwy tran zapomnienia i

swobodnie kładę się na dębie. A kładąc się widzę obraz przepołowionej Juliety na worze nieczystości, widzę jej krwistą wargę u dna szczerbatej płyty, z której wytryska kwiat lwia paszcza i pożera nasze uwielbienie. I już nie patrzysz po chabrowemu, nie patrzysz po domowemu, uciekasz spod mych kolan, nieustanna i daleka, znikasz w tym osławionym pyle czas, choć ja żywy, ja realny, dobrożabiącym gestem ponawiam nielojalność pocałunku. Och, nie. Teraz nie.

Na scenę mego zwieńczenia patrzyło chmurne oko Wiśki Syr. Ogarnęła mnie wielka wesołość i z głośnym śmiechem powiedziałam.

Cieszę się, że jestem tu z wami. Bardzo się cieszę. Na samą myśl, że będę z Tymkiem dyskutował do upadłego, że będę tworzył wartości jadalne, ogarnia mnie pozytywne zadowolenie. A jeszcze jak się ożenię z panną o chmurnym oku i jasnym loku, jak się ożenię...

To już znalazłeś pannę, spytała Wiśka. Gdzie ją znalazłeś?

Tu. W mojej wsi rodzinnej znajduję pomocnicę do pchania taczek, z których będę oglądał horyzont. Pamiętacie ze szkoły tego Antka. Jak on oglądał horyzont, gdy szedł w świat bez nadziei powrotu. Jak oglądał! A ja przecie wróciłem. Wróciłem.

Aż się zachłysnąłem tym słowem. Franek pokiwał głową i powiedział. Ty wyraźnie lekceważysz moje zabiegi. Wyraźnie. Bo pomyśl. Jeszcze nie urządziłeś się na nowym miejscu, a już myślą wybiegasz naprzód. To nieprawidłowo.

Ależ tak powinno być.

Ty mi nie truj dupy, powiedział twardo. Gówniarz. Mnie będzie uczył.

Wstał i zbliżył się do okna. Chwilę spoglądał w przestrzeń, cofnął się, przystawił sobie krzesło i lufcikiem wyjrzał. Deszcz ustał i sinobrewy pejzaż jaśniał w wodzie.

Co tam widzisz, powiedziałam. Co widzisz?

Bazę widzę.

Nie mów, ożywiłem się. Bazę kółka rolniczego wioski Rewy?

Tak jest. Widzę bazę. kółka rolniczego naszej wsi. Grupa ludzi znajduje się na jej podwórzu. Nad wszystkimi góruje postać Zajca. Wymachuje rękami i coś gada. Towarzysz Naczelny z nieprzeniknionym uśmiechem słucha. Albo z nieprzeniknionym, albo z zadowolonym. Nie wiem na pewno, bo trudno dojrzeć. Mnie się zdaje, że Zajc wywleka problem części zamiennych do maszyn koszących i młócających. Trudno powiedzieć, o których teraz gada. Ale chyba o koszących, bo przysiadł i pokazuje ruch pławy. Te ruchy są jasne jak słońce. Jak mamy nieść na sobie zboże, mówią te ruchy, kiedy śruba mocująca pękła i nie możemy ruszyć ramieniem. Ale to jeszcze nic. Sznurek wiążący snop rwie się, bo szypawy pracują nierówno i jest to usterka nie do naprawienia. Błąd konstrukcyjny. Zajc bije się w pierś jak przy mea culpa. Wszystko teraz patrzy w oczy Towarzysza Naczelnego. On poprawia okular i wznosi w górę palec. Co to może oznaczać? Niech pomyślę. Niech pomyślę. Wiem już. To na pewno oznacza naganę. Towarzysz Naczelny nie chce słyszeć o takim marnotrawstwie. Zakreśla ręką koło. Ruch ten zdaje się mówić o karze i rozpacz. Bo widok maszyn rzuconych na pastwę atmosfery jest wręcz rozpaczliwy. Bądźmy realistami. Oto niszcząca korozja jest niczym w porównaniu z waszą druzgocącą obojętnością. Co za bałwan wymyślił slogan: A bo to moje. To państwowe. Bałwan, bo przecie nie historia. Historia takie zawołania wykopuje poza obręb. Daje się wam ten poziom nad wodami i górami, a wy jak, wy co? Bądźmy realistami. Dzień jest deszczowy i z twarzy bije chłód. A jak bije chłód, to na nic myślenie koncepcyjne, na nic kara. Trzeba poczekać do ciepłej pory.

Nie pędź tak, przerwałem. Słyszysz? Nie pędź.

Kiedy mnie się to samo opowiada, powiedział Franek. Zupełnie samo.

Ja wiem. Ale hamuj trochę. Hamuj.

No dobra. Towarzysz Naczelny zatacza teraz koło lewą ręką. Bo tamto koło zatoczone było prawą, a to lewą. Ona jemu drży, choć wiatr jest lekki. Z lewa stoi właśnie Furmanek i

gada. O czym może gadać Furmanek z lewej ręki. Niech pomyślę. Niech pomyślę. Już wiem. Furmanek gada o trudnościach obiektywnych, z którymi się styka jako prezes. Bo jako człowiek to się z nimi nie styka i śpi spokojnie. Lecz jako prezes... Dzień mój jest na dwa podzielony. Na dwa czasy, które się wcale nie mijają. Pomyślcie tylko, Towarzyszu Naczelny. Nie mijają, choć od wieków się słyszy, że czasy właśnie mijają. I jak ja mam żyć w tym niemijaniu. Jak? Niedawno syn inżynier mnie za to zrugął. Przyjechał z wieczora wozem fiat, gwizdnął na ślepą sukę, gwizdnął na mnie, bo byłem akurat u wychodka i w głos zawołał.

Witaj, stary. Dlaczego sterczysz pod sraczem i mnie nie witasz. Zwariowałeś chyba w tej jaskini, którą nazywasz gospodarką. Jak ci się podoba moja rakietka? Pierwsza seria. Cacko. Chcesz się przewieźć? Albo nie. Gadałbyś później, po wsi, że cię zabieram. Po co i na co? Ty masz swoje. Ja mam swoje. I jest w porządku. Jak cholera.

A gdy mu odpowiedziałem, że wcale nie pragnę bruku, to tak zarżał jak diabeł na rozstajach i zrugął mnie za czasy, które nie mijają. Naiwniak jesteś, powiedział. Całe życie przeżyłeś u wychodka, z przerwą na wielką światową, i żadnych wniosków nie wyciągnąłeś. Trudno. Daj gęś i do zobaczyska. Nim się zorientowałem w za i przeciw, to już go nie było. I tak zawsze. Jest, a jakby go nie było. Pomyślcie tylko, Towarzyszu Naczelny. Jest, a jakby go nie było. Znać mnie przecie i wiecie, że nie lubię picować. Lecz w takiej chwili szczerości, w takiej sekundzie prawdy muszę siebie wyzalić. Bo jak to możliwe, że syn inżynier jest i go nie ma? No jak? Nie wiecie, co? A u mnie jest to możliwe ze względu na niemijanie. Jeszcze na szlaku my z Błażem Rzepo ustanowili sobie prawdę najprawdziwszą. Nie ma mijania, nie ma pamiętania, jest tylko nasze obecne i tamto zabugolskie. Te dwa czasy.

Czekaj no, powiedziałem. Furmanek nie może dzielić jednego przez dwa. Ty coś zmyślasz.

Nie denerwuj mnie, wrzasnął Franek. Jak ci gadam, że mnie się samo opowiada, to samo. W porządku. Jedź dalej. Spojrzałem na Wiškę. Postukała się w czoło i zaczęła chować papiery.

Jedź dalej, ponagliłem. Słyszysz? Dalej.

No to dalej tak. Towarzyszu Naczelny opędza się ręką. Przedtem zataczał koło, a teraz się opędza. Przed czym on tak się może opędzać? Niech pomyślę. Niech pomyślę. Aha. Jego denerwuje słowolejstwo Furmanka. Co wy sobie wyobrażacie, on tak chyba mówi, że ja tu jestem na prawie wolnego słuchacza. To jedno wielkie nieporozumienie ten wasz syn inżynier. Znam różnych inżynierów i wiem, że ludzie to wrażliwi, na robotę chętni, szanujący starość. Nie będę ukrywał, ale syn inżynier wzbudził we mnie odrazę. Bo jakże to pouczać własnego ojca? Jakże to? Bądźmy realistami. Dobro stoi na deszczu i moknie. A widział kto kiedy, żeby dobro mokło? Pytam się tak oczywistej rzeczy. Widział czy nie widział? Dobro, ludzie, jest naszym wytchnieniem, naszym gajem cedro. Jest nie powielaną wartością, jedną z pierwszych i ostatecznych. Uznajmy się w tym względzie, a wtedy zobaczycie strefy nigdy nie widziane. Zobaczycie.

Franek nagle umilkł. Powiedział. Zobaczycie, powtórzyłem. Co dalej?

Nie wiem. Znikli mnie w warsztacie.

O kurwa, krzyknąłem. W tak ważnej chwili musieli zniknąć. W tak ważnej!

Za pięć trzecia, oznajmiła Wiška. Jestem już na wybiegu. Franiu. zamknij okno i idź w dom. Nie masz tu nic do roboty.

Franek posłusznie zlął z krzesła i wbił w nią niebieskie oko. Widocznie było mu bardzo ciężko, bo westchnął żałosnie dwa razy z rzędu.

Uważaj, powiedziałem. Lejzorek po przeraźliwie żalonym westchnieniu odrodził się w mieście Homel.

A kto to był?

Taki sobie krawiec mężczyźniany, który do wszystkiego przykładał cegłę zdrowego rozsądku.

I słusznie, jak mówi Towarzysz Naczelny. Bardzo słusznie. Wiśka Syr rozbębnioną ręką jeździła po biurku. Obejrzała mnie z lewa i z prawa, wydeła usta i piskliwie powiedziała.

Jesteś uno kretino autentiko, Aloś. Jesteś uno kwadratowy. Ty wierzysz, że będziesz przyjęty? Chacha. Nie łudź się. Ja specjalnie obserwowałam Towarzysza Naczelnego, kiedy żeś się meldował. Towarzysz Naczelny, proszę ja ciebie, ma taki jeden ruch, o którym cały powiat wie. Ty nie wiedziałeś i dlatego się łudzisz. To ruch ramieniem. Jak się mu coś spodoba to nic. Ramię w porządku. Ale niech go tylko coś wnerwi, to zaczyna tak ruszać, tak ruszać...

Wiśka, powiedział groźnie Franek. Przykróć język.

To ty sobie przykróć. Naopowiadałeś chłopakowi cuda, a teraz się śmiejesz. Zaraz pójde do żony i wszystko jej wygarne.

A idź, idź, zaśmiał się. Jaśka mną nie będzie dyrygować. Mój brat znajduje się pod opieką skrzydła rodzinnego i wara każdemu...

Ale już jej nie było. Zobaczyłem ją jeszcze na wąskiej ścieżce. Szła z dumnie uniesioną głową wymachując torbą skay. Spojrzałem na Franka. Patrzył mi szczerze w oczy. Wskazałem ręką na zaokienny pejzaż i wybuchliśmy zgodnym śmiechem. Był to młody, silny śmiech, jaki może tylko spłynąć na facetów o wielkim sercu. Tylko na takich, którym nieobce jest wczorajsze, a bliskie dzisiejsze. Wczorajsze chłopactwo, na przykład, w dzisiejszych lustrach. Co za urok. Co za spokój. Szukamy z Franciszkiem sroczych gniazd na drzewach kasztan. Jest z nami Gruby Janko, który gdzieś tam stał się przykładnym ojcem rodziny i nie pamięta swego słynnego upadku. Chciałbym go teraz przywołać w porciętach po bracie i w gumowcach po-ojcowych. Stoi na podwórzu z rozdziawioną gębą na podniebne śmigi gołębi. Wołamy do niego z drogi kocie łby, ale on nieruchomy, niedosiężny. To biorę zeszlę łajno i celuję w garb. Krzyk i płacz. Krzyk i gniew. Pędzi za nami aż pod kasztany przykościelne i groby poniemieckiego cmentarza. Właśnie groby działają na niego zastraszająco, wchodzi chyłkiem, w oku bojaźń powstałych z prochu, groby trawne, zapadłe, lecz to mu nie przeszkadza w przywołaniu duchów. Gruby Janko niemieckie duchy ma za nic, to nie są wybujale, okrakane babczynym szeptem żywoty wieczne, to nie jest odpowiednik Baby Jagi, której szponiaste paluchy obmacują kołyskę, to – Gruby Janko w zmarszczu brew, jakby się wyszczuplił i sięgnął wyżej – zwyczajna dola bezbożnych diabłów wyświęconych na zgrzytających zębami pokutników. Siedzimy z Franciszkiem na konarze kasztana i namawiamy go do wyszukania sroczego gniazda. Janko, mówimy. Ty się boisz wysokości, ty się strachasz drzewa. Czy jesteś aż taka ofiara, Janko? Chyba nie. Chyba dla ciebie to pestka zwalić gniazdo i zapisać się w naszej pamięci na długo. Jeden do drugiego kiedyś będzie mówił. Czy pamiętasz, jak Gruby Janko tańczył na drzewie kasztan? Jak małpio dobierał się do sroczych gniazd? To ci dopiero był chłopak zwinny, to dopiero była bestyjka. Włazł na sam czubek i braz, braz. Nawet za krowami nie wykazywał takiej odwagi jak na tym drzewie. Z przyjemnością myślę o nim. Co ty na to, Janko? Co ty o tym kiedyś. Pozwolisz na to, żeby gadali między sobą. Ach, to ten Gruby Janko, który bał się wejść na drzewo i pozostał w naszej pamięci parszywym tchórzem. Pamiętacie, jak się czerwienił, lzy połykał i w gumowcach po-ojcowych uciekał do zagrody? A pamiętacie jego ciężkie dzieciństwo i zamazany los? Nie mówmy o nim, bo aż przykro taką nędzę wywlekać na powierch. Aż przykro. No więc jak będzie, Janko?

A on nic. Stoi pod kasztanem i dłubie w nosie. To nabieram w usta śliny i pluję mu w twarz. Widzę, jak wolno unosi rękę, ściiera i z wrzaskiem obejmuje pień. Umykamy na szczyt. Ja pierwszy, Franek za mną. Uciekamy przed tą dobrze wyrobioną łapą, która równoważnie podciąga ciało. Raz i dwa. Raz i dwa. Jesteśmy już blisko szczytu, już widzę skrawek nieba z pierzastym obłokiem, już Franek przechodzi na boczną gałąź, a Gruby Janko ciągle za mną z okiem pociemniałym od nienawiści, ciągle pełen wyzwolenia i oddania. Idę na szczyt. Ostatni chwyt i go sięgnę. Trzaska gałąź, sfruwa liść. Trzymam ją oburącz, nieomal zwisam i patrzę,

patrzę. Janko jest ode mnie na zamach, jest tak blisko, że nagle chcę go objąć i złożyć na pociemniałym oku pocałunek. Wyciągam rękę i w trzepotliwym drzeniu palców miga on cały dziesięcioletni, cały wyciągnięty ku swemu wyzwoleniu, o którym śnimy obaj na szczycie drzewa kasztan, że oto przyszło poprzez dymy jesiennych łąk, poprzez wiew ogonich krów i objęło nas siecią winy. Przyszło aż na szczyt. Janko ma na brodzie ślinę, dużo śliny zbeltanej przekleństwem, opiera się nogami o konar i chce mnie strącić. Lewy zamach. Raz i dwa. Przeginam gałąź i widzę czeluść. Janko ponawia, nogi zaczynają mu chodzić zawiasowo, chwilę trzymają się kory, a potem gwałtowny ślizg i swobodnie dyndają w powietrzu. Preraźliwy krzyk Franka i trzask łamanych gałęzi. To Janko leci w dół.

Nie zabił się. O, nie mógł się zabić ten grubokościsty chłopak, który pragnął mnie strącić ze szczytu bez względu na wszystko, a już bez względu na przynależne mojej osobie skakanie po wysokościach. Połamał sobie gnaty. Nasz wrzask przywołał ludzi, którzy naprędce sklecili nosze i ponieśli go w dom. Bieglem obok łzawiąc i chlipiąc. Wreszcie stary Zajc chwycił mnie za kołnierz i precz odrzucił. Nie pamiętam tła, tylko jasną widność podwórza, w której on, umiejscowiony w korycie do parzenia świń, wydaje się ustawicznym latem. Leżał zagipsowany i czekał idealnego zrośnięcia, choć był tym latem jak nigdy, jak zawsze. Leżał, a my z Frankiem w przerwie obiadowej siadaliśmy po obydwu stronach koryta rzeczowo referując nowiny gromadzkiego pastwiska. A więc zabawy w to, zwane miłosnym podrygiem lat dziecinnych, które pozostawiły w nas sapiący piskol wielkiego kochania i pierwszy sen ud, ciągle odnawiany, nie-pamiętany, bo widziany w micie szczęścia we dwoje, i jeszcze te mity przepięknych gór, po których żeśmy mieli chodzić w pewne lato naszej bujności, my, piękni czasem pokoju i słowem wolność, gremio, bum-tara-ra, my, wyzwoleni od trenu spalenizny i ciemnych drzew Czarnego Lasu, my, już tu urodzeni i sięgający tej gwiazdy, w którą nam tylko wierzyć. My. I jeszcze była gadana rzeka Odra, którą pójdzem w pył i wielkość i nic nas nie powstrzyma, nic nas nie zawieje, i jeszcze była gadana panna Polka zawieszona u szyi chłopięcych pragnień, i jeszcze był gadany ten świat wypełnienia. I kiedy teraz łapię ten świat w sieć win i przewin, to robię to dla tamtej jasnej jawy, żeby mieć już wreszcie ów głos poza sobą, poza tobą, żeby mieć dobrorzeczną falę do końca, choć Gruby Janko już nigdy nie będzie ustawicznym latem i my popłyniemy sobie jak śpiew, jak śmiech.

Franek stał przy oknie i łapczywie palił. W jego szczerym wejrzeniu widziałem skupione po-czekanie.

Weź krzesło i sprawdź, czy wracają, powiedziałem. Sprawdź.

Dobra. Biorę krzesło i wchodzę. Otwieram lufcik. Wyglądam. Co widzę? Ano. Towarzysz Naczelnym wolnym krokiem zmierza do bramy. Zmierza tak, jak na ostatnim zebraniu zmierzał kierownik szkoły do zwiększenia kontraktacji zbóż jarych. Zaczął od tego, że wieś nie może być wielkością bez aktywności i trzeba to ludności pojąć raz na zawsze.

Znowu ci się samo powiada, przerwałem ze złości. Co z tobą?

Właśnie dlatego, że samo, to nic ze mną. Zupełnie nic. Na czym to ja stanąłem?

Na ludności, która ma pojąć wielkość raz na zawsze.

Aha. Kierownik szkoły błagalnie spoglądał na ławę chłopstwa i cichym głosem prosił o postawienie się w sytuacji. Ludzie kochane, gadał. Jestem przedwojenny inteligent i kształtowałem swój charakter na piśmie Kamena. Znam wartość pracy, znam wartość płacy. Mnie nie musicie zawierzać uczuć wątplenia i zobojetnienia. Nie musicie, bo tego nie uznaję ze względu na czynnik. W czasie przegięcia pały, jak mówi poeta, bym to uznał i pochwalił. Lecz dziś? Ludzie kochane, każdy hektar kontraktacji to następny rynek świata. Następny i następny, aż do zawrotu głowy. I wszędzie wypisane *viv polaco, viv in made*. Bierzcie umowy i siejcie a zbierajcie. Bierzcie umowy, ludzie.

I co. Brali czy nie brali?

Trochu brali i trochu nie brali. Jak to na wiosce. Bliżej doma.

A Towarzysz Naczelnym gdzie się teraz znajduje?

Za bramą. Będzie tu za chwilę. Zejdę z krzesła i zajmę swoje miejsce jakby nigdy nic. Franek, powiedziałem. Kołujesz mnie i kołujesz. Co to ma znaczyć?

Skąd mnie wiedzieć, bracie kochany. Skąd mnie wiedzieć? Ewentualnie ty to ja, nie?

Chwyciłem się za głowę i wyjęczałem Boże–Boże myśląc, że jestem nie tylko zawieszony, ale i powieszony w pejzażu tej wiosny, którą wyobrażałem sobie w ciągłej zielności i rodności, którą zdobyłem po wstępnych bojach ostatecznie. Naprawdę byłem w niej zawieszony i powieszony, a moje wielkie serce biło jak młotem. I zapatrzony w drzwi pomyślałem o jakimś objawieniu, które by całą naszą grupę uskrzydliło w stopniu niewymiernym. Towarzysz Naczelny stał już na progu i silnym głosem mówił do świąty.

Rzecz nie polega na kompletnej mechanizacji i nawożeniu. Problem zaklucza się w świadomym działaniu, którym chlubi się homo sapiens. Tylko takie działanie byłoby miarodajnym skokiem w wiek dwudziesty pierwszy. Futurologi bynajmniej nie twierdzą, że maszyna w całości zastąpi swego twórcę w dziedzinie wytwarzania. Skłaniają się raczej do opinii, że kontrolujący otrzyma dodatkowy bodziec do pełnej twórczości na każdym odcinku życia gospodarczego. Oto pozytyw i zakluczanie się we współczesność, a jednocześnie wykluczanie z niego elementu hamującego. Dixi.

Znaczy się, robota i jeszcze raz robota zagadał Furmanek.

To przecie wiadome.

Towarzysz Naczelny westchnął i ręką nakazał milczenie.

Mówił dalej.

Chodzimy, gadamy, a tak z konkretna jakby posunąć, to okaże się, że bęben pusty. Ja was, Furmanek, pojmuję w całej rozciągłości, ale czas już swoje życie doprowadzić do porządku. Oglądamy szczegóły, wspólnie się zastanawiając nad resztą, która nam jeszcze pozostała. Oczywiście wyłączając młodzików i ich dezintegrację, frustrację, alienację. Wyłączając to. Cóż tak czoło marszycie? Ja was przecie znakomicie pamiętam wiosną czterdzieści sześć, czterdzieści siedem i tak dalej. Pamiętam waszą wiarę, że podniesiemy się na poziom europejski, znajdziemy się ponad wiekiem żelaznym jak żaden naród, jak żadne państwo. Pamiętam. Ja wam tu powiem jak na masówce. Minęło ćwierćwiecze i okazało się, że ta wiara jest dobra wiarą. Lecz ta wiosna czterdzieści sześć, mój stary, załatwiła nas dokumentnie swoim skończonym szlifem wypalając własne imię na dalszym i dalszym. I nie mija ona, choć powiada się, że wszystko mija, przemija, rozrzuca domenę popiołów. I nie minie ona dla tych, którzy odrzucili tren spalenizny i z czystym okiem weszli w jej ciszę. Bo była to cisza, prawda, tak wielka cisza, że jeszcze teraz wwierca się w moje uszy ta płynąca nad światem rzeka ciszy. Dosłownie. Wszechobjęta rzeka. Stałeś z rodziną na skraju Czarnego Lasu, twoi synowie obok, niegniewni i mało ważni, gdyż nie posiadasz żadnego dokumentu, który by zniszczył moje wyobrażenie twego dojścia do źródeł, tych a nie innych źródeł osiągniętych w towarzystwie odpadów niewinności, nie posiadasz niczego pewnego, zadośćuczynnego, chyba tylko że to mocne uderzenie ich świata w nasz świat, ale to tak mało, tak niewiele dla prawdy pięknych stów, że wolę pominąć to plemię milczeniem, a jeśli już to cicho, głucho, bez tonacji atom. Stałeś później, mój bracie, u bramy domu z solidnej cegły i oniemiałym wzrokiem patrzyłeś na pełny zestaw maszyn. Bo przecież w tym karaczuńskim pejzażu nie mogłeś ich widzieć żadną miarą, żadną dalekosiężnością, zwaną potocznie spojrzeniem w przyszłość. Toż ten Karaczun nie był i być nie mógł sielską wsią międzywojenną, on nawet nie był pomiędzy niebo – las, choć do dębiny miałeś dwadzieścia kroków i wilki zimową porą podchodziły do okien. Żadną dalekosiężnością tamten czas nie był i stąd to twoje oniemienie, twoja rozlatana zuchwa. Dlatego też pomiędzy niebo – las musiałeś wpleść swój chłopski lament, który brzmiał mniej więcej tak, mniej więcej sobie tak.

On brzmiał jak piszczałka lub nie oliwiona rozwora, powiedział Furmanek. Był dla mnie zaskoczeniem niemożliwym i zdziwieniem niepojętym, był zanadto lamentowym, że się w nim zatraciłem ostro, najostrej. Bo ja jak się zatracę w czym to na wieki, na powieki i



radości swoje marne. Tak się ja to, bracia, zatracam i nozdrzem wodzę za zapachem. A w tej ciszy, jak Towarzysz Naczelny mówi, w rzece ciszy chciałem wylapać jaskru woń i wybiegiem za stodołę, upadłem w świeży traw i raczkuję, kołuję, żeby woń tę wreszcie dorwać, pomiętosić, ponanosić w przestrzał dymu, ognia, krwi przelanej. Gdzie popatrzę, jaskr i jaskr. Boże, wołam, jestem warty miłosierdzia i wachania największego, bo to siły mnie dodaje. Naprzód, wołam. W świeży traw. Krowy, żona, pokolenie. Naprzód w traw!

Furmanek zerwał się i pięścią wskazał drogę. W oku tryskały ognie tego słynnego zaczadzenia, które widziałem przy refrenie pokoleń. Twarz zsiniała i marszcze jakby się wygładziły. Patrzyliśmy z zaciekawieniem na jego wewnętrzną walkę, z którą się tak groźnie objawił, że księgowy aż przybladł i przezornie usunął się pod okno. Jedynie my z Franciszkiem i Towarzyszem Naczelnym nieruchomo tkwiliśmy na posterunku. A Furmanek walczył godnie i w milczeniu. Trzymał się w tym zaczadzeniu nad podziw długo, bo zdążyłem wynotować najważniejsze odpływy i przyływy niewyraźnego.

A więc serdeczne błogosławieństwo los Madonny, które osiągnął ponad resztą.

A więc wydłużone dno beczki zapomnienia w płomień miłości nie-darowanej.

A więc mijanie w niemijaniu i lot orląt zaniżony.

A więc imię własne sprzedane, niekochane. Policzone w nawiasie.

A więc dobro nasze w ręce wasze.

To wszystko zdążyłem wynotować w czas wewnętrznej walki, którą nagle Furmanek zakończył zgięciem wpeł i wybiegiem na podwórze.

Odszedł i nie wiadomo, czy wróci, skwitował to Franek. Nie wiadomo.

Wróci, powiedziałem. Wyszedł na powietrze pohamować wzruszenie.

Towarzysz naczelny zaśmiał się i spytał Pisarka o czas. A kiedy usłyszał, że jest piętnasta dwadzieścia, piętnasta dwadzieścia czasu naszego, to pokiwał głową i wbił w nas szkła zeiss. A my z Franciszkiem spokojnie sobie zapalili i palili, palili. Papieros sport palili. Tymczasem Towarzysz Naczelny zajęty był sobą i widząc nie widział, słysząc nie słyszał. Jego umysł przemieszczał się z oazy w przestwór oceanu zadziwiająco lekko i kołysząco. Dotąd nie wyobrażał sobie, że jest możliwe w ogóle takie przemieszczenie, a tu proszę. Owa lekkość sprzyjała mu w sposób wybitnie uzdrawiający, wywołując żywy rumieniec i pogodę ducha. Starał się zatrzymać rozlataną myśl na punkcie wyłączzonego środka, żeby zanurzyć się w tej plamie jak kapłan w dymie świątynnym, jak strażnik w gaju cedr. Oznaczałoby to odrzucenie podstawowej sprzeczności nie jest kiedy drugie jest, a w dalszym wytwarzaniu tropów prawdziwości byłoby czystością intencji i sentencji, popularnie nazywanej mądrością życiową. Trzeba oddać sprawiedliwość i powiedzieć, że Towarzysz Naczelny wiosną czterdzieści sześć był ukonkretniony stopniem Porucznik, co przy wnikliwej analizie socjopsychicznej okaże się warunkiem samego życia lub – tutaj już czas nam się objawić – życia krepującego historię. Wybaczając sobie ten długi wstęp i korzystając z wszelkich prawideł realizmu socjalistycznego, baśniowego i nadwyższego, przechodzimy wreszcie do upragnionej analizy socjopsychicznej. Oby treści niesionej sprostał duch formotwórczy i powiedzenie ruszajmy w imię własne wyniosło na szczyt niebotycznej chmurności. Oby.

Gdy więc on ukonkretniony stopniem Porucznik znajdzie się w czołówce pionierów będzie to drugi rok ziemiopowracania i rzeka ciszy zamieni się w potok transportów jadących z Zachodu i Wschodu. Jest to opisana po wielokroć wędrówka narodów i stwarzanie atmosfery bydlęcych wagonów uważa się za zbędne. On skierowany do miasta Baliszki dostaje skromny pokój nieopodal władz i zaczyna rozmieszczać przybywających po okolicznych wioskach. Nie jest tu ważna robota w Biurze Repatriacyjnym, ale krótkie przerwy pozwalające ogarnąć ogrom czekającej pracy. I właśnie w chwilach dumań bujnego młodziana zjawia się wcale niebujna kobieta, imieniem Kazimiera, i zaczyna się niewinna gra amor. On w tej grze jest summą stopnia Porucznik, a jest summa błyskawicznych akcji, lwiego władania, pożartych na

gorąco omdleń kwitnących dziewcząt i tak dalej, że nie powiem mego–twojego wykazania. Jego bezpośrednia spowiedź niech posłuży tu za komentarz.

Tak jest. Ale nie tylko stopień Porucznik był tej pannie miły. Nie tylko. Moje ogorzone lico i sprężysty krok robiły o wiele większe wrażenie niż trzygwiazdkowe lśnienie. Był to szczyt mej bujnej męskości i wyglądałem wśród zniszczonych ludzi jak wieża Pacyfiku. A że wieża na Pacyfiku jest ciągle w planie budowy, więc samo przez się jestem czymś więcej. Kazimiera mi to powiedziała zaraz po pierwszej nocy, kiedy złożyłem na nią swą prężność i wtykając nos w upragnione jabłuszka balansowałem nad przepaścią ostatecznego dokonania. Noc ta otworzyła przed nami problem nienasycenia, który należało zlikwidować przed pełnią lata. Muszę przyznać, że jako córka osadnika wykazała daleko idącą chęć wspomnienia mnie w tej kwestii. Proszę sobie nie roić, że była mi droga, kochana, et cetera. Nic podobnego. Dopełniła tylko moją bujność. W nocy tej została na pewno zapłodniona, to nie podlega dyskusji. Pamiętam, że jak pękła moja prężność, w jej gorejącym oku zobaczyłem łzę. Kazimiero, powiedziałem. Ty płaczesz? Kazimiero. Milczała, choć łza powiększyła się i kapłała na policzek. Nie lubię fantastyki, bo wtedy ciało kobiety zatracza urodę własną. Dla mnie piękno, które nie ma pokrycia w tradycji kulturowej, a więc Wenus–symbol – Kazimiera–postać, nie jest pięknem, nie jest ochotą. Kazimiero, powtórzyłem. Ty płaczesz, choć leżymy na sianie uczuciem natchnieni. Co to znaczy? Miałem dzisiaj spóźniony transport z Bad–Badenu i jestem zmęczony. A jednak przybyłem do ciebie i spełniłem nasze marzenia. Czyż nie marzyłaś na sianie sianeczku ze stopniem Porucznik? Czyż nie mówiłaś gorąco i szaleńczo. Tyś mój, jam twoja. Czyż nie mówiłaś? Kazimiero, spójrz mi prosto w oczy. Spójrz. Lecz kiedy zobaczyłem gorejący wzrok, ciarki mnie przeszły i pomyślałem. Zaraz. Zaraz. Pomyślałem chyba o dzielności dobrego wojaka Szwejka i zacząłem sprośnie kłać na sianie sianeczku. Kazimiera odsunęła się i zachlipała. Ech, ty, powiedziałem, rozpieszczasz mnie, głaskasz mnie, kiedy ja tu jestem czymś więcej od wieży na Pacyfiku, czymś więcej niż siano sianeczko. Ot, królem dla ciebie jestem i intencję mam taką. Żadne w krzyżu cierpienie, żadne światło zbawienia. To błaga. Jeśli ja twój, a ty moja, to posłuch nakazuję i ogłaszam. My, Porucznik z łaski ognia, wszem i wobec komunikujemy, że dobra wiara jest naszą domeną. Czy słyszysz, Kazimiero?

Aleć słysza, słysza, mój ty, a ja twoja. Słysza i twe ręce chce wycalować, a jak tego będzie za mało, to na traktor pójdę, na dźwigu siędę, u ścian węglowych stanę. Bo ja twoja, a ty mój. Ja twoja, a ty mój.

Kazimiero, rzekłem układając ją po raz drugi pod sobą. Zapomnij o tym i bądź posłuszna tej chwili.

Następnie rozpoczęliśmy likwidować problem nienasycenia wściekle i zażarcie w podniesieniu zbożnym, w po–jęku spazmatycznym, otulając go szelestem siana sianeczka, potulni tej samoniszczącej likwidacji, którą trzeba było zakończyć przed pełnią lata, żeby mieć pewność miłości urodzonej ponad stopniem Porucznik. A kiedy wypełniłem kanę płodności do połowy, zwałem się przy jej boku i ochryple powiedziałem.

Kazimiero. Czy ciągle jestem czymś więcej od wieży pacyficznej? Gadaj.

Aleć tak. Jesteś sama nie wiem czym, aleć na pewno więcej. Na pewno.

Dobra odpowiedź. O to mi idzie tej nocy, żeby bujność zachować nienaruszoną. Dlatego przybyłem po transporcie z Baden–Badenu prosto do ciebie. Tyś moja.

Jam twoja.

Powiedziała to na sianie sianeczku i podała mi czarny warkocz, który owinąłem wokół palca chłodząc twarz, oczy, mięśnie brąz. Chłodząc. Przez szpary dachówek sączyło się blade światło księżycy okrywając naszą nagość. Jak w bajce, pomyślałem. Boże. Jak w wielkiej, nieziszczalnej bajce. Ona jest bajką, ja jestem bajką i wszystko, czego się dotknę tej nocy, stanie się bajką. To straszne, i widząc, że się otula sianem, namiętym szeplem powiedziałem.

Kazimiero. Ty drżysz?

Milczała jednak. To podczołgałem się do drzwi wyszek i wejrzałem w noc. Głucha była i gwiazdzista. Owiała mnie zimnym oddechem. Skuliłem się i zapatrzyłem w ledwie widoczną młodość bezbronny sadu. Był tak bezbronny i cichy, tak otulony ciemnością, że chciałem te moje lśniące gwiazdki rzucić mu do stóp, chciałem, żeby się zaroił od poruczników sprężystych i wspaniałych w spodniach lampas i sznurze gal, chciałem tego jak nigdy, jak zawsze. Zlazłbym wtedy z wyszek i dał komendę formuuuj. W praaaawo patrz. Odlicz dwa. Taką bym dał komendę. Przeszedłbym przed szeregiem i zapowiedział, że odchodzimy w baśń. Nie w żaden bój i chwałę, ale w najzwyczajniejszą baśń spod strzechy i dróg rozstajnych. Panowie oficerowie! Przez wieś przejdziecie ze śpiewem i nadzieją. Jak święte rycerstwo naszej królowej, jak złota opoka tego domu. Z nadzieją!

Lecz na sianie sianeczku leżała ona. To zwróciłem jak w transzei i dwoma skokami byłem u piersi. Pokryłem ją caluteńką równo i pięknie. To był już ten trzeci cykl likwidujący problem nienasyceń, który musieliśmy zakończyć przed pełnią lata. A to ci cholerny świat, Kazimiero, mówiłem ponad stękanie i kochaniem. To ci heca. Rodzi się człowiek na sianie sianeczku i nikt o tym nie wie, nikt się nie cieszy, choć rodzi się z panny Maj i stopnia Porucznik. Gdy będzie to dziewczyna, to poświęcę ją medycynie. Niech niesie pomoc cierpiącym i kochającym w ponurych ścianach kamienic. A może już nie będzie ponurych ścian, nie będzie komu rzucać na nie szeptu nienawiści i dziewczyna nie znajdzie skrzydeł dla swej egzystencji. Bo co to za lekarz, Kazimiero, co za lekarz, na którego nie czeka się jak na wybawienie, jak na dobry wiatr, który cierpienie wywieje. Żaden to lekarz, żadna nadzieja. Lecz poświęcę ją medycynie i tak i tak, bo równina spokojnego słońca jest zbyt odległa, trudno osiągalna. Pracuj, Kazimiero. Człowiek się rodzi. Weselmy się naprzemianlegle, naprzemianpięknie. Syn mi się rodzi. Jeszcze różowy, światłem dnia oślepiony, ale już wmyślony w pełnię mojego życia. Już wmyślony. Będę go sadzał sobie na ramiona i chadzał z nim po polach podmiejskich. Bacz pilnie na zboże, będę mówił. To chleb nasz. Bacz na burak. To cukier nasz. Bacz na skiby. To chłop nasz. Ty jesteś dziecko szkła i betonu i muszę cię nauczyć podstawowego odbioru przyrody. Musisz wiedzieć, że choć ujarzmiona to ciągle jest potęgą. Przeznaczam cię do nauk humanistycznych, żebyś się uwrażliwił na sprawy wielkie i małe i mądrze kierował społeczeństwem. Nauczę cię żyć w prawdzie. Pokażę ci dzieła Trójcy, z których ostatni położył fundamenty pod wyzwolenie się człowieczeństwa. I choćbyś stracił wszystko, choćbyś odchodził w niepamięć, to masz mi wierzyć w potęgę tego człowieczeństwa. Nakazuję wierzyć. Bo tak się, mały, zastanów. Tak rozsądnie. Tyle było i jest kłamstwa, że każdą wartość przemienia w popiół. To przecie wiadome. Wartości tworzą ludzi, a ludzie to tylko twór uparcie niszczący złoty wiek. Więc ta, w której wyrośniesz, jest najbardziej oczyszczona i wzniosła, bo proletariuszy chce nauczyć żyć. A o to przecie chodzi, żeby ludzi nauczyć żyć pełnym wyrazem. Ty myślisz, że oni potrafią samoczynnie odnaleźć ten wyraz? To dzieci. Dzieci. Jakże się w tym przestrachu zatracają, mędrkują, mordują. Duże dzieci. Dlatego nauczę cię żyć w prawdzie. Pracuj, Kazimiero. Zaraz skończę. Jeszcze wmyślę go w muzykę big-beat. Bez niej nie odnajdziemy go w przyćmionym pokoju z panną blond, może w pozycji – kochana, noga do góry, albo kwiat lotosu, a może takiej bożej jak nasza, Kazimiero. Jak nasza podniesiona zbożnie w pojęk spazmatyczny i otulona sianem sianeczkiem, którą bierzemy za niepowszedniość. Nie odnajdziemy go, pamiętaj, bez natychmiastowego wymyślenia w muzykę big-beat. Może odsunąć pannę blond i wrzasnąć.

Zejdźcie z oka, starcy. Ja przeżywam nauki moralne. Ten śpiew podniebny jest zastrzeżony dla tych, którzy stracili złudzenia. Zejdźcie z oka! To sobie pamiętaj. Och, jak mi dobrze i kojąco. Jak dobrze.

Kana dopełniła się i skryła się całkowicie w mroku. Obudził mnie ranek, obmacałem siano sianeczko i córy osadnika nie namacałem. Szybko ubrałem się i na służbowym rowerze wjechałem w ożywczy świt wiosny. Rozumie się, iż wracałem w przekonaniu, że jestem

czymś więcej od wieży na Pacyfiku. Wpadłem w kołowrót roboty. Po pewnym czasie mundur w stopniu Porucznik musiałem zdać i stałem się prywatnym człowiekiem. Stałem się też uczniem i z przyjemnością siadałem w ławie. Kazimiera nie była w planach. Była gdzieś tam w pejzażu nocy, i nawet później, kiedy kopałem dla niej grób, ciągle była w pejzażu nocy. I nawet teraz, kiedy koszmar nocy minie i ona zbliża się ze sztyletem w prawicy, to jest to pejzaż, tylko pejzaż. A grób kopałem w wigilię Bożego Narodzenia w śnieżnej zadymce. Kopałem z młodym chłopakiem, który zawiadomił mnie o jej śmierci. Opowiadał, że ciężę zauważono w pełni lata i osadnik kazał zreferować z kim i kiedy. Kazał to sobie na podwórzu z ukonkretnieniem szczególnym miejsca. Następnie wziął ją pod but. Deptał i krzyczał, że plemie komuny w rodzinie nie zabłyśnie. Pół wsi na to patrzyło i nic. Zbita i sponiewierana poczołgała się na swe siano sianeczko. I tam już została. Osadnik codziennie badał pięścią brzuch i pędził do roboty. Karmił gorzej niż psa. Dzieci biegały za nią i wołały. Komuna, komuna, dać na ciebie Bohuna. Kazimiera zносиła to spokojnie i tylko czasem na środku drogi zaczynała się śmiać, głaskała brzuch i śpiewała serdeczna matko. Nasi ludzie, mówił chłopak, stwierdzili, że jest pomyłona, i nie zawracali sobie głowy. Tylko osadnik wziął się na sposób i ćwiczył ją batem. Czasem gdy sobie podpił, wkładał na nią wór pokutniczy, posypywał głowę popiołem i tak stworzoną pędził przez wieś. Biegła z rozłożonymi rękami, a on szedł z tyłu i podcinał nogi batogiem. Przed bramą kościoła kazał leżeć krzyżem i modlić się o przebaczenie. Dziw, że nie poroniła, że nie zdechła przed czasem, ale zła suka jest twarda i okrucieństwem jej szybko się nie wykończy. Nie wykończy.

Musimy kopać głęboko, powiedziałem mu na to. Bardzo głęboko. Chcę, żeby była zakopana na trzy metry. Zgadzasz się na trzy metry?

Zgadzam się. Ja jestem od nich i wiem, że trzy metry wystarczy. Oni przywieźli ze sobą ziemię i z niej będą sobie robili kopce. Ale Kazimiera tej ziemi nie dostanie, bo została wykluczona przez pana. Już w jesieni osadnik przestał ją bić i jakoś dziwnie zaczął gadać o komunie. Że wykluczyła mu dziecko ze świętej wiary, zaparła kołkiem widoki na przyszłość i on musi swoje nasienie spalić, żeby nic z niego nie wyrosło. Pewnego dnia rozpałił ognisko u bramy, przywołał Kazimierę i kazał jej wejść w ogień. Kazimiera padła na twarz i żebrała o litość dla brzucha, dla dziewczyny, którą poświęci medycynie i ona będzie ich leczyć jak Pan Bóg jaki, jak Chrystus jaki. To rozwścieczyło osadnika i jego synów. Chwycili ją za włos i pociągnęli w ogień. I wtedy stała się rzecz dziwna, bo ludzie nagle ruszyli ławą i nie dali spalić. Nie dali.

Musimy kopać głęboko, powiedziałem na to. Bardzo głęboko. Chcę, żeby była zakopana na trzy metry i pół. Zgadzasz się na trzy metry i pół.

Nie. Nie mogę się na to zgodzić. Kazimiera po tym wypadku całowała wszystkich po rękach. My tego nie chcieli, ale rozumieli. Dziękowała nam tak i mówiła. Już niedługo, ludzie, zejść wam z ocz. Już niedługo. Jakby czuła ją, proszę pana. Normalnie czuła, choć osadnik przestał nawet gadać. Komuna, komuna, dać na ciebie Bohuna. Komuna. I wyrodzić się dał nawet w chałupie, bo ludzki też trochu był, i śmiał się, że martwe będzie. Ale żywe było. Żywe.

Niech pan tak zajadle nie kopie, bo zbraknie ziemi. A ja nie chciałbym prosić naszych na kopiec. Kazimiera jak gasła, to mnie kazała przywołać i na niemowlę prosiła, żebym kopiec ulepił z gliny tutaj wykopanej. Nie słyszałem dobrze i musiałem ucho przybliżyć do splekanych warg. Jedź do niego, szeptała, i powiedz, że jest dziewczyna i ma ją poświęcić medycynie. Ma ją zabrać z tego piekła i nauczyć żyć w prawdzie. Ma jej zastąpić komunę i siano siameczko i cały złoty wiek. I powiedz jemu, żeby się nie mścił na prześladowcach, boby się zakuł w gniew i nigdy nie wyzwolił w człowieczeństwo. A bardzo tego pragnął dla dziecka pokoju. I niech pamięta, że będę przychodzić z rana, skoro świt zabłyśnie, i wysłuchiwać rachunku sumienia. Niech pamięta. A teraz podaj mnie ją i odejdz. Tak też zrobiłem. Podałem i odszedłem. Zgasła bez słowa.

Musimy kopać na cztery metry, powiedziałem mu na to i nagle osunąłem się w żółtawy piach na kolana, na pierś, wtuliłem rozpaloną twarz w miłą sypkość, na oczy spadła mgła, plama, niewyraźny kontur postaci Ojca mignął i znikł, ale ja już wiedziałem. Wiedziałem. Chłopak skoczył do jamy, chuchnął w ręce i wbił szpadel w dno. Nabierał dużo, wyrzucał na powierch i grudki uderzały mnie w głowę wszędzie, z wolna prostowałem się uważnie wpatrzony w harmonijne ruchy ramion, grudki uderzały i tam, i tu, i wszędzie, grudki żółcące, śnieżące, przejechałem palcem ostrze swej łopaty, lśniąca, ufna stal hart, o której tak marzyć, hart, ciuch, dobre nasze pracowanie, z serca nasze pracowanie i zobaczyłem ogień jej, spalanie jej, lśnienie stali rozkołysanej nad harmonią chłopca. Zobaczyłem się bardzo pracowity.

Co się stało, powiedział on. Co panu jest?

Nic, nic. Kop dalej.

I lśnienie bezwładnie zaryło się w piach. Opuściłem cmentarz i długim, piechociarskim krokiem ruszyłem do dziecka. Była wigilia, sypał śnieg, a ja jak cieśla pokornik. Do dziecka i dla dziecka. Niewiele wiedziałem, niewiele miałem, ale wierzyłem, że ta skończona jasność nie opuści mnie nigdy, że zawsze będę widział ją na horyzoncie wiosny czterdzieści sześć, otuloną pachnącym sianem sianeczkiem. Tak jest.

Oni palili papieros sport i było dobrze. Księgowy schował papiery i opuścił biuro. Widzieli go jeszcze na wąskiej ścieżce i szosie asfalt. Szedł pochylony i Franek powiedział, że garbaty ma los nasz rachmistrz. Nie do zazdroszczenia. Już nawet nie chodzi o samotność, ale tę obcość w jego błyszczącym oku. Absolutna obcość. Absurdalnie nieskończona obcość.

Nie picuj, powiedziałem. Znamy to.

Towarzysz Naczelnny wreszcie się obudził, poprawił okular, obejrzał nas rozszerzoną źrenicą i powstał. Zbliżył się do okna, wskazał samochód błękit i powiedział.

Wyciągam na nim sto czterdzieści. Jak wam się podoba?

Fest maszyna, rzekł Franek. Marzę o takiej rakiecie dniami i nocami.

A brat?

Brat chyba nie. Zapytam go. Alosiu, czy marzysz o samochodzie?

Przy obecnych środkach lokomocji, powiedziałem i zacząłem wymieniać. Samoloty, koleje, pekaesy, prywatne pojazdy taksówkowe, żegluga rzeczna. Nie, nie marzę, zakończyłem, o żadnym samochodzie nawet światowej marki.

Jest to duża wygoda przy pracy terenowej, powiedział Towarzysz Naczelnny. Bez samochodu moja obecność byłaby mało prawdopodobna. A tak jestem i słucham.

Jak to, mruknął Franek. Przecie to my słuchamy.

Wy słuchacie i nie słuchacie. Jak wam się podoba. Proszę mi dać podanie.

Wziąłem z biurka dokumenty i podałem. Towarzysz Naczelnny odrzucił świadectwa, opinie i życiorys, w którym po pochodzeniu i szkołach nie było co pisać, rozłożył na parapecie i pod kątem położył niebieską literkę. Franek aż się podniósł na czubkach palców i kilkakrotnie mrugnął okiem. Po chwili Towarzysz Naczelnny powiedział.

Zgadzam się, żebyście objęli wakujący etat kierownika technicznego. Nie jesteście specjalnie doświadczeni, ale to zrozumiałe. Nie było jak, nie było po co. Musicie wyrobić sobie własny autorytet. Własny, powtarzam Nie jest to łatwe, ale chęci, dużo chęci. Gdy już ten autorytet zdobędziecie, wtedy możecie sobie poluzować. Pracownik będzie miał wpojony szacunek i zasadę całości. A to najważniejsze. Tako wam rzecze człowiek prim. Czy mnie rozumiecie?

Tak jest, odparłem. Doskonale rozumiem. Tylko zasada całości...

To proste. Trzeba skupiać się na każdej przesłance i wkomponowywać ją w tło. Następnie analiza, uogólnienia, sprawność działania. Jak w rachunkach. W administracji państwowej są to ważne etapy, które porównałbym do sprzężonych dyszą kamieni milowych. Zasada całości jest wyrazem sprawności. Kotarbiński w masowym wydaniu. Rozumiecie mnie teraz.

Oczywiście. Bardzo dziękuję za wprowadzenie.

Drobiazg. Jeszcze sprawa wynagrodzenia. Jak panu wiadomo, stawki w rolnictwie są niskie. Pański poprzednik miał dwa trzysta plus premia regulaminowa. Czy wystarczy to panu?

W zupełności, powiedziałem. Pieniądze nie odgrywają znaczenia.

Jak to nie odgrywają, zdumiał się Franek. Czego nie odgrywają? Co ty mnie tu pleciesz trzy po trzy. Na ostatnim zebraniu była o forsie mowa i ludzie mało nie poszli na noże. A było tak. Wstaje Grzegorz Antoni, ten co już tej wiosny prac nie będzie, wstaje i gada. Towarzyszu magistrze inżynierze, będzie z temu dwa tygodni nazad, jak kabana zawożę na spęd wedle sprzedaży plan. Chłopy stoją przede mną, chłopcy stoją za mną, a ja pośrodku. Klasyfikatory przyjmują bez pośpiechu, bo so na funkcji i na niczym im nie zależy. Ruszam do przodu i słysza głosy. Oszukuje, jebana ich mać. Zaniżają. Chłopy blade jak przed atakiem na okop nieprzyjaciela. Cofam się na tył i tam słysza głosy. Trza dać w łapę, pieska by ich siuszką wzięła. Trza dać. A blade jak po zdobyciu okopa. To wracam ja, patrzę na swego kabana i myślę. No, ja mam dać w łapę, kiedy sztuka taka, że nie ma na placu, że prosto w Anglię, i ja mam dać? Niedoczekanie. Przychodzi moja kolejka, wypuszczam na wagę i stoję obok klasyfikatora. Patrzy na mnie, a ja nic. Patrzy na ryj i oznajmia: Trzecia. Aż mną zatrzęsło. Nie dam, mówię. W trzeciej klasie nie dam. Toż to moja krwawica. Nie marudzić, on na to. Jeden bok ma zależany i wyżej pójść nie może. Trzecia albo zabierać w dom. Za darmo oddałem, ludzie. Tfu!

I co dalej, powiedział Towarzysz Naczelny. Co było dalej?

Wielka burza krzyku i hałasu. Ludzie zerwali się z miejsc i zaczęli wzajem siebie przekrzykiwać. Jedni domagali się bezwzględnego ukarania urzędników ciężką pracą na roli. Drudzy utwierdzali się w przekonaniu, że chłop był, jest i będzie uciskany. Nie ma ubezpieczenia, krzyczeli, nie ma rent, nie ma dla nas mechanizacji. Istne piekło. Przedstawiciel wydziału rolnego przerażonym okiem toczył po sali, kierownik szkoły nadaremnie podzwaniał. Burza musiała się sama uspokoić. Wreszcie gdy się trochę uciszyło, wskoczyłem na ławę i zawołałem. A byk? Przecie mam w zagrodzie byka maści czerw, który może posłużyć do rozwoju rasy.

Tak jest, krzyknięto. Dość doręcznego zapładniania. Zezwolenie dajcie na zwierza. Na byka!

Franek gorejącym okiem spoglądał przed siebie. Towarzysz Naczelny jednym susem znalazł się przy nim i szybko zagadał.

Byk? Jaki byk maści czerw? Co wy mówicie?

A byk, rzekł twardo Franek. Mój kochany zwierz, który przyprowadziła stara Maćka. Rósł mi, rósł, aż wyrósł na pięknego zarodowca. Żeby pan widział jego oko fiolet, jego chrapy z kółkiem, które świadczy o niewoli. Albo kołyszący chód, który sobie wyrobił na powolnych spacerach, że się chce stanąć obok i wędrować noga-w-nogę. Cóż to za byk. Cudo, panie, cudo. Kiedy stoję w gnoju krów i myślę o egzystencji, kiedy sobie wyobrażam w zagrodzie kompletny dobrobyt, to jest tak, jakby wcale nie było. Właśnie tak.

Ale dlaczego on jest maści czerw?

A tego ja nie wiem, Stara Maćka przyprowadziła go z końcem lata i to może stąd. Był taki cherlawy, że strasznie się bałem przetrzymania. Ale przetrzymał i na takiego zarodowca wyrósł, że w całym powiecie szukać. Ja na niego chuchałem więcej niż na wszystko. W miesiąc po ślubie kobita chciała mnie przez niego zostawić i odejść w siną dal. Ale ja jej wyperswadowałem, dowodnie wykazałem. Jaśka, powiedziałem. Cóż ci to szkodzi mieć z niego pociechę i szacunek społeczny. Cóż ci to szkodzi. Oto sobie rośnie niby nie zaganiane ciele, niby roślina pod ochroną. Niech rośnie. Niech nam posłuży w przyszłości za czysty zarobek. Bo za jedno dopuszczenie sto złotych się bierze i jeszcze klient nisko się kłania, że bydlę nie będzie miał znarowione. Zrozum, Jaśka, Dobra chęć. Tak jej mówiłem. Dobra chęć.

Dobra chcesz, zaśmiał się Towarzysz Naczelny. Ciekawy to musi być byk, który aż dobro przynosi. Bardzo ciekawy Muszę go zobaczyć. Koniecznie. Ja o dobru słyszałem wiele dobrego. Och, przepraszam. Poplątało mi się. Chciałem powiedzieć, że o dobru można z kimś mądrym pogadać, posłuchać, sprzeczka nawet nie zaszkodzi, bo samo dobro. Tak. Muszę koniecznie obejrzeć tego zwierza. Koniecznie.

Nic prostszego, powiedziałem. Wystarczy podjechać do zagrody mego brata. To niedaleko.

Podjechać. Oczywiście. Chodźmy, panowie. Chodźmy.

Był dziwnie podniecony. Kręcił się po pokoju, ponaglał, chichotał, co rusz poprawiał okular i przyglądał skroń. Zdjąłem z gwoździa klucz i zamknąłem biuro. Wrzuciłem go niedbale do kieszeni i wybiegłem z budynku. Towarzysz Naczelny otwierał już drzwi wozu, szerokim gestem zapraszał. Siedliśmy i z kopyta ruszyliśmy do zagrody. W lusterku widziałem siwy czub. Jak pozłota, pomyślałem. Doskonała pozłota. Franek donośnie pogadywał.

Ja z nim lubię poborukatsia dla zabawy i dla pożytku. Biorę go lekko za kółko i wyprowadzam na podwórze. Najważniejsza rzecz, żeby się nie rozdrażnił, bo wtedy kaput. Zabawy nie ma. Dlatego trzeba poważnie. Zwierz kocha właściciela i słucha go potulnie, ale pod warunkiem, że i właściciel go kocha. Raz chciałem podejść do niego w gniewie i zaraz to wywęszył. Oszłamiający ma węch. Porównać by go można z wilczym. Ten węch, oczywiście. Więc w tym gniewie podchodzę, chwytam go za róg, a on jak nie majtnie łbem. Myślałem, że kiszy mi wypruje. Gdybym się nie salwował ucieczką, to kto wie, czyby dzisiaj ja siedział między wami. Za tym drugim domem, stańcie.

Salwował, powiedziałem. Salwował ucieczką. Aha. Wymknęło mnie się. Pardą.

Nieważne, rzucił znad kierownicy Towarzysz Naczelny Ale jak bez gniewu się podchodzi, to co?

O, bez gniewu to zupełnie inaczej. Potulność zwierza wzrasta w stopniu zadziwiającym. W oku fiolet można nawet zobaczyć łzy rozczulenia. Jesteś w nich cały odbity i pragnienie przyjaźni ogarnia ciebie od stóp do głów. Zwierz strzyga uchem, ale to nic. On tak ciebie wita. Chwytasz go śmiało za rogi i zaczynasz walczyć. Zaparty na czterech sobie pomrukuje. Przekręcasz, wyginasz, starasz się go powalić. Najważniejsze, żeby klęknął na przednie kończyny. Wtedy to już pestka. Wykręcasz mu łeb w pień i zwierz leży. Ja to nazywam chwytem klin.

Klin, powtórzyłem zdumiony. Ty to nazywasz chwytem klin? Niemożliwe. Przecie to jest... Możliwe, możliwe, dokończył Franek. Wylaż.

Byliśmy na miejscu. Towarzysz Naczelny pierwszy wkroczył na podwórze i szedł prosto do obory. Obejrzałem się na okna kuchenne i zobaczyłem wytrzeszczone oczy Jaśki. Masz ci los, pomyślałem. Zdumiewa się, jakby poborcę ujrzała. Zrobiłem gest ręką w górę i dobre sobie i lekko wskoczyłem w rytm marszu. Przed oborą Franek zatrzymał nas i twardo powiedział.

Tera zaczekajcie. Wyprowadzę.

Staliśmy przy gnojówce uważnie patrząc w jasny wylot. Towarzysz Naczelny skubał nerwowo policzek. Milczał. Wyobraziłem sobie, co to będzie. Ach, co to będzie na chłopskim podwórku w dzień wiosny siedemdziesiąt, w dzień mojej chwały i pełni, która mi wytryśnie w pejzażu słowem wiara, nadzieja i miłość. Tym przysłowiem zawiruje pejzaż, zawiruje egzystencjalną pozłotą i pomknie w niezmierzoną dal kładąc narody i państwa. Ach, co to będzie! Widzę łeb, powiedział Towarzysz Naczelny. Wychodzi on. Wychodzi.

Z wylotu wynurzył się czar maści czerwo. Szedł z balansem, z pyskiem u ziemi. Węszył, węszył. Franek pociągnął za kółko i oko fiolet odbiło nas podłużnie, po-różnie. Towarzysz Naczelny zdecydowanie podszedł i położył rękę na grzbiet. Gładził, gładził. Lekki poszum wiatru chłodził mi rozpaloną twarz. Stałem po nawietrznej. Kucnęliśmy obydwaj dotykając na glanc wyczyszczonej maści. On pierwszy wymienił pogład.

Patrz na dzwon, powiedział. Czy on ciebie nie zachwyca?

Nie. Nie zachwyca.

Ale jakże to? Taki dzwon, że lepszego nie znajdziesz, że wystarczy stuknąć palcem kciuk, a usłyszysz najczystszy dźwięk pod słońcem. On musi zachwycać, chłopcze. No powiedz, że ciebie zachwyca. Powiedz raz. Kiedy on mnie wcale nie zachwyca!

Obywatelu. Ja nie jestem profesor Pimko i proszę o całkowite ujawnienie się. Pogładź brzuch.

Pogładziłem.

Jeszcze raz pogładź. Dobrze. Teraz przyłóż ucho do maści i wsłuchaj się w krwiobieg. Słyszysz co? Czujesz co?

Nic nie słyszę. Nic nie czuję.

Obywatelu. Widzę, że jesteśmy po dwóch stronach barykady. Podnieśmy się więc na wysokość grzbietu i spójrzmy prawdzie w oczy. Ja nie widzę w waszym oku jej wyrazu. Co to znaczy?

Proszę bardzo. Już jest wyraz, Towarzyszu Naczelny.

To dobrze. Trzymać go przez całą mowę. Uwaga. Zaczynam mowę. Obywatelu. Jesteśmy po dwóch stronach barykady i was to nie zachwyca. Słusznie. Mnie też to nie zachwyca, choć powinno zachwycać, bo w walce rodzi się świat. Powiedziałem. Rodzi się świat w walce i wlatuje ku harmonii. O Grekach nie wspominam. Ty i ja mamy stanowić jedno. A nie stanowimy. Pytanie więc. W czym przyczyna? Odpowiedź moja. Przyczyna tkwi w zależnościach wieku i doświadczeń. Ty pokolenie i ja pokolenie. Dwa pokolenia pod jednym niebem. Zmierzam do. Uwaga z wyrazem. Zmierzam do stycznej okręgu brąz. Stop. Chwila wytchnienia. Język znajduje się w szczelinie międzyzębnej. Mówisz ty.

Mnie nic nie zachwyca. Z wyjątkiem okręgu siedem, który trochę łaskocze. Brat Franciszek może poświadczyć. Poświadcz.

Franek z ciekawością trzymał na nas niebieskie oko. Pociągnął za kółko i zwierzył majtnął ogonem.

Poświadczam zachwycenie brata Alosia, powiedział twardo. Na pamięć naszego orędownika i życiodajcy. Poświadczam.

Zatkało mnie. Towarzysz Naczelny klasnął w dłonie i zawołał.

A co. Zachwyca, zachwyca. Pokolenie wszystko zachwyca, kiedy ma niebo błękit nad sobą. Niech mnie diabli! Do ataku, do ataku!

Zatkanie osłepił o mnie. Rzuciłem się w stronę drewni, chwyciłem kółek i z wyciem runąłem na Franka. Uniosłem w górę i wymierzyłem między oczy.

Broń się, psi synu, wrzasnąłem. Broń się! Stał jak skamieniały. To wyciągnąłem się na palcach i miałem uderzyć. Lecz nagle poczułem, że się za mocno przeginam w tył, ręce mi drętwieją, kółek wylatuje, a ja padam na plecy. Nad sobą zobaczyłem niechlujny włos Zajca i zastrachaną twarz Jaśki. Z nimi stała Wiśka Syr i spoglądała na mnie po chabrowemu, po domowemu. Co wy? bełkotałem. Ja mu pokażę. W jakim celu? Po co ten chabr? Co to za dom?

Zajc chwycił mnie za kołnierz i postawił na nogi.

A później Franek poprosił o zachowanie powagi i ciszy i chwycił byka za rogi. Chwycił jak cham. Mocno i wściekle, że jęknęliśmy wszyscy raz, a ziemia zadrżała pod zaparciem zwierza. Rozległ się pomruk, błysło oko i człowiek zaczął toczyć głaz przeznaczenia. Toczył go w oniemienu, grozie i zachwycie. Żył nabrzmiały i dziki gniew kleszczami wbił się w czar maści czerwo.

Człowiek walczył. Myślałbyś, że dwa obozy starły się na chłopskim podwórzu na śmierć i życie. Pod namiotami każdego pojawiły się skry opiekuńczych bogów, laurowy płomień, który spala czas i czasy. Człowiek sparty na stopach, kamień i zwierz rozkraczony na czterech słupach, jakich nie widziałeś, nie dotykałeś. A jeśli już widziałeś, dotykałeś, to na pewno nie



tu i teraz, więc patrz. Przeżywaj i patrz. Oto nagle uskok Franka zmusił byka do obrotu w lewo. Obraca się powolnie i majestatycznie, żebyś odczuł powagę chwili. Żadna historia tak się nie obraca, żaden żywot wieczny i śmiertelny nie pozwoli sobie na obrót zwolnionego majestatu. A to dlatego, że zastukałby zachudzony diabełek (ten ostatni, który dogorywa u ruczaja) i wrzasnął.

Gdzie się obracasz, ty w piętę lizany. Bierz się w galop!

I zaraz by ci pokazał drogę zbawienia, czyli trakt niebieszczący w dal-sążności, i popędziłby cię złowrogo rechocząc. Dlatego powolne obracanie musisz wykluczyć i przeżywać siebie realistycznie, to jest dotykając razem z walczącym człowiekiem ziemi i wroga. Z pyska kapie mu ślina i w oku fioletem pojawiają się łzy. Rozczulił się pod naporem chamskiej mocy, łzę opuścił na ziemię odkupioną i zbawioną. Biedny. Kochany. Ty myślisz o synach znad Ebro i brodatym papie, który ich wyraża i znajduje w obliczu śmierci. A ja ci tylko na to powiem, że my znajdujemy się na chłopskim podwórku i nic wielkiego w tym nie znajdujemy. Ot, borukasie z bykiem Franek Rzepa, choć publika jęczy dwa. W tej chwili właśnie udało mu się zwierzem zachwiać. Twarz Franka na sekundę pojaśniała i znów gradowa chmurność opanowała ją w całości. Lecz ważne tu jest zachwianie, które uskrzydla naszą nadzieję ujrzenia chwytu klin. Zachwianie się w ogóle jest ważne i ty, mój przyjacielu, pomyśl o nim przez moment. Bo cóż to takiego to osławione zachwianie, że masz aż się nad nim zamyślić albo i wymyślić, kiedy tak tego nie lubisz, nie cierpisz. To, bratku, zapisana karta osobniczych pragnień skoku nad poziomy i jej nieprzewidziany bunt. Normalnie buntuje się w tobie dobre wychowanie, światła kultura, cegła zdrowego rozsądku, którą osmalileś wewnętrznym pożarem i zaczynasz drzeć w posadach, zaczynasz jak Macedończyk. Chwianie nad przepaścią własnej chwały. To straszne, myślisz, ale trzymam się tego kawałka pazurami, kolanami, zębami, całą heroiczną wielkością wrednej jednostki. Zachwiałem się. Lecz tylko zachwiałem się i wrócę do równowagi. Ostatecznie mogę być jedynie ofiarą wypadku ulicznego, ale nigdy historii. Historii ja nie uznaję i podnoszę rękę jak Nike. Do ciosu.

Cios może nastąpić w każdej chwili. Już przednie nogi byka dwa razy zadrżały i Franek łysnął uśmiechem. To spowodowało mój nagły odruch. Chwyciłem Towarzystwa Naczelnego za łokieć i powiedziałem.

To się może skończyć tragedią. Ja protestuję. Cicho, odparł. Co za siła. To więcej niż corrida, więcej niż kult. To kaprys serdeczny.

Franek szedł na całego. Wykręcił łeb i dusił do ziemi. Byk wierzgał, charczał i porykiwał. Jego lśniaca maść pokryła się błotem. Dzwon rozkołysał się i rytmicznie uderzał o nogi, które z wolna zaczynały się giąć, wyciągać. Wtedy Franek silnym podrzutem poderwał mu łeb i postawił w pion. Byk padł. Publika jęknęła trzy i zaległa cisza. Wyobraź sobie. Zaległa cisza na chłopskim podwórzu i nawet kurzy gdak nie rozerwał jej piękna. Bo była to nie taka zwyczajna cisza, ale wielka cisza. Największa z możliwych cisz, której nigdy nie widziałeś, nie dotknąłeś. W tej ciszy słyszałeś jedynie nasze oddechy, sapanie Franka i potulny mruk zwierza. Za to dużo mogłeś w niej zobaczyć. Z lotu ptaka zobaczyłbyś całą zagrodę od jej nowego powstania aż do teraz. W pierwszym rzędzie zobaczyłbyś rosochatą jabłoń, pod którą siadywał Błażej Rzepa i siwym okiem oglądał swe pokolenie. Bliżej obory komin pieca chleba powszedniego. A jeszcze bliżej obory wodę życia w studni szczęście. A już całkiem blisko obory powieszoną u szopy siekierę brzytw. No i teraz nas byś ujrzał i powalonego byka maści czerwo, który spokojnie przeżuwał swoją kłeskę. To jeszcze nie wszystko. Ujrzałbyś oczy Wiśki Syr patrzące po chabrowemu, po domowemu. Myślę, że jesteś zadowolony z naddatka. Dużo zobaczyłeś i wiele przeżyłeś. Teraz pozwól, że pociągnę to dalsze i dalsze bez twych pamiętnych kaprysów. O, byk się podnosi i wkracza w jasny wylot. Znika w nim. Biedny. Kochany. Znika.

Towarzysz Naczelny podszedł do Franka z wyciągniętą prawicą. Gratuluje, powiedział. Niezapomniane widowisko, powiedział. Można się w nim odrodzić i nowo narodzić. Niech to diabli, powiedział. Narodzić.

Franek odpowiedział można. Ja nie wstawiam reklamy, odpowiedział. Mnie reklama wisi, odpowiedział. Bo ja z roli i soli, dodał. A nie z tego, co boli, jeszcze dodał.

Brawo, zawołał Zajc. Trzeba to oblać.

Ja odjeżdżam, powiedział Towarzysz Naczelny. Może mnie pan kawałek odprowadzić? Skinąłem głową. Szybko podszedłem do Franka i powiedziałem, że pieniądze leżą w torbie turist. Niech je weźmie i kupi alkohol. Trzeba to oblać. Moje–twoje. Mus oblać. I w podskokach pobiegłem za Towarzyszem Naczelnym. Uśmiechali się szeroko, radośnie. Informacja nasza powszednia. Szeroko, radośnie.

Towarzysz Naczelny siadł do wozu i wskazał miejsce obok. Skwapliwie zająłem je i poprosiłem o wybaczenie mego niestosownego zachowania przy tym... przy tym... mnie naprawdę wszystko zachwyca. I kamienność, i niebieskość, i mowy weselne, i podniebne spacery chłopów polskich z jabłkami w prawicy. Wszystko. Dosłownie. I lata spokojnego słońca, i cała jaskrawość, i pierwsza wypłata, i światło zakłete, i dobro wykłete na krętych ścieżkach, i nowy taniec labada, i mój przyjaciel Staszek wdzięczny, miłosierny, i białe słowa miłości, i szklani bokserzy, i szklane byki...

Cicho. Niech się pan uspokoi. Mieliliśmy byka maści czerwo, jeśli dobrze widziałem.

Tak jest, zawołałem chrapliwie, i brata Franciszka przy nim żeśmy widzieli. Jak go zwał, położył chwytem klin, a następnie... następnie...

Co panu jest? powiedział Towarzysz Naczelny. Wstąpimy na chwilę do Pisarka i obejrzymy jego gust military. To działa kojąco.

Jestem zawieszony i powieszony, rzekłem zrezygnowany. To straszne.

Głowa do góry. Przejął się pan za bardzo walką brata. Najważniejsza jest bujność. Nieustająca bujność.

Nie wiem, o czym Towarzysz Naczelny gada. Nie wiem.

No, jest chałupa Furmanka. O czym mówię, chciał pan powiedzieć. Właśnie myślę. Myślę. Ale wysiadajmy i chodźmy do Pisarka. Nie mam za wiele czasu. Można powiedzieć, że już go wcale nie mam. Chacha. Oto schody nie myte od sześćdziesiątego piątego. Normalne. Chłop bez baby jak śmieć. Właśnie te drzwi w kolorze oranż, który zatrzymał mnie w czasie pierwszej wizyty. Prostacko zrobiony, ale jednak oranż. Oranżek. Oto próg, na którym stanąłem jak wryty. Witaj, Pisarek. Siedzisz u okna i czekasz. To świetnie. Niech pan się rozejrzy, popatrzy. Pisarek ma gust military bardzo tradycyjny. Wynika to z upodobania do walki wręcz. Żebro, kość, genitalia. To działko używane, załóżmy, kiedyś tam. Obrona Częstochowy, Zbaraż, et cetera. Stało sobie w deszcz i śnieg, bombardier załadował, biały obłoczek, pif–paf w podkopie wroga i wielki rwetes, wielkie oburzenie. Jakże to? Bez oznajmienia rozpoczęcia bitwy, w czas dwudniowego rozejmu. Ha, mości panowie! Poseł na koń i niech zawiezie ostry protest naszego generała. To barbaros, a nie europejska armia. Bombardier wędruje na stryczek, żołnierz z muru patrzy. Jutro bój. Jutro rzeź. Piękne to były czasy, kiedy hetman zawsze był obecny w wojsku propter meliorem ordinem et disciplinam solidam, jak powiada, nasz wiecznie żywy Jan wojak. Albo ten tatarski kindżał. Dzikie Pola stepowy wiatr, śmigłooki watażka na czele chorągwi, prosta dusza żołnierska, która złupi, ale pożałuje. Mgłą ci oko zaszło, Pisarek. Biały obłok rozbieliło. Ja ciebie znam, bracie. Znam tę tęsknotę do szabelki, do raketki. My, panowie, w Polskę idziemy, choć w oczy bije łuna Monte Cassino. Śmiało, panowie, wychylmy kielich. Dosięło w niepełnym wymiarze, a później rzuciło w koryto pokój. Bracia, my tu, na ten paznokieć tę pierwszą świetność. Ech, bracia. Cóż ci to, Pisarek, detyno moja. Bledniesz, do stołu nie zapraszasz. Cóż to? Ach, zapomniałem. Ja wozem błękit. Dobra maszyna. Gdy wyjdę na prostą, to leci jak strzała. Siedzisz z królewska rozparty, oglądasz krajobraz po bitwie i zdaje ci się, żeś go już posiadał

na wieki. Myśl masz lekką i dalekosięzną i ostre zakręty bierzesz na maksymalnej prędkości. Bo pędzisz tak do tego LUX IN TENEBRIS, że sięgnę do wyrażeń okazjonalnych ojców Kościoła i ponadziemskich złudzeń, że sięgnę do siebie. O, ten sztylet, przyjacielu, ten siostrzany brat szpady nasuwa mi miłe wspomnienie kobiety powój, kobiety sen, zamykającej rachunek dnia oświetlonym rześcicie obrazem dobrej wiary. Może powinienem powiedzieć socjalizm, komunizm, może tak wyrazić to moje półwieczne przekonanie, do którego zmierzałem dość długo i może nawet za długo jak na współczesny rytm życia, przekonanie, że słuszna sprawa jest wielką sprawą i zasłużyć tym na jadowity pośmiech latorośli, na jej banalną gniewność, bo sprawa i przekonania brzmią jak pała profesora Pimki. Dlatego ja... dlatego ty, Pisarek, ciągle siedzisz u okna i czekasz na pochwalne słowo. Dobrze więc. Chwałę twój gust militarny, chwałę pracowitość, ale nie mogę pochwalić bycia na wysokościach. A ty przebywasz na nich zawsze i wciąż i już cały się tam skryłeś, jakbyś pod sobą miał samą wodę, niewyczerpane tony wody cierpliwie oczekującej swej ofiary, że się wyrażę okazjonalnie wzorem ojców Kościoła. Zwracam ci jednak uwagę, że powinieneś usadzić nas u stoła i poczęstować choćby pryszczatą legendą. Tym bardziej że tworzyłeś ją na podobieństwo eposu i sił nie-mierzonych. Ja wnikam w szczegóły, mówisz? A wnikam, wnikam. Cóż mi po tle, kiedy nie znam pulsacji wnętrza, kiedy nie mogę wychwycić cieni i podcieni. Przed takim tłem nie doznasz żadnych wzruszeń, nawet je ominiesz nie przypuszczając, że warto by położyć rękę na puls i sprawdzić, czy bije. A ja myślę, że twój bije jak Big Ben mieszkańcom Albionu, i chylę czoło. Ale co to, Pisarek? Rumienisz się, ożywasz, twoje błyszczące oko ma lśnienie lampy jarzeń, zapraszasz do stoła. Wszystko furt, mówisz, wszystko precz, kiedy Towarzysz Naczelny chce usłyszeć legendę pryszcz. Pod łyk śliwowicy pójdzie gładko. Było–nie–było, uskrzydlimy się, ubawimy. Hola, bracie, hola. Ty tu naprawdę chcesz się grzebać w odległych czasach. A czy ty widzisz w nich jakiś punkt dojścia i zejścia, że tak swobodnie cofasz bieg historii. A któż nam zaręczy, że nie sięgniesz do mitów i beletrystyki, że nagle nie runiesz w przepaść ostatecznego dokonania, w klucz przepaści, że się wyrażę okazjonalnie wzorem ojców Kościoła. Kto to nam zaręczy? Chacha. Bledniesz i bledniesz, choć nie ma czego, bo ja tu jestem na prawie kierującego i wykluczam nie przemyślane wyskoki. Bądź tak dobry i nalej młodemu człowiekowi śliwowicy. Ja wozem błękit, więc rozumiesz. Taki wóz to naprawdę frajda, szczególnie w czas podróży uważnie śledzącej krajobraz po bitwie, podróży, zaznaczę, w słońcu wiosny i o południu, kiedy wszystko widać w potędze koloru, a tobie jest lekko, miło, cudownie wręcz za kierownicą rakiety–cacko, seria pierwsza, jak mawia syn inżynier. Oglądasz ten krajobraz z uczuciem sytości, choć czasami wśród dobrze obrobionych pól trafi się ugór, kawałek spalenizny, rachityczne drzewo, lecz to znika jeszcze szybciej i powidok tętni zielnością. Mój Boże, myślisz. I to ma być skazane na totalne zniszczenie, na śmierć, bo jakiś szaleniec w imię swojego obłędu zapragnie unicestwienia ziemiokwiatu? To straszne, to po stokroć straszne. Przepraszam, panowie, zagalopowałem się w ślepią uliczkę. Wracam, wracam. Jestem już z wami i kontynuuję wynurzenia wieku męski, wieku klęski, że podkreślę znaczenie poezji narodowej w życiu jednostek. Pisarek, jesteś chyba niepokieszony, że nad pryszczatą legendą przechodzę do porządku, że nie chcę słuchać miłości kochanej ojczyzny i tak dalej, i tak dalej. Ależ wypowiesz się, bądź spokojny. Wypowiesz się przez moje usta, bo rozumiem cię w stopniu najwyższym. Po co masz strześcić sobie język okrzykami: My, pokolenie. Wy, pokolenie. To powiedzenie pani Stein zrobiło zawrotną karierę, ale w naszej sytuacji cuchnie myszką. Co to wreszcie za pokolenie ty, ja, on? Właśnie ty, ja, on. Przecie mamy określone życie, określone sprawy i najjednoznaczniej pojęte cele. Gdyby między nami leżała wielka woda, niewyczerpana woda, to wtedy można by się zabawiać w przedział A–Be, w skoki nawet. Ale wody ja nie widzę. Raczej góry i doliny jak w refrenie pokoleń, ale to w refrenie powtarzającym się cyklicznie i z gracją. Pozwól więc, że twoją legendę pryszcz ujednoczę i położę na linii głównej tusząc – słusznie czy nie, ale nie nam sądzić – że stanie się prostą

serdeczną tego oto młodzieńca, zwanego Alkiem Rzepą lub chłopcem od pól zielonych. Dzięki takiemu zabiegowi będę mógł usunąć nieporozumienia narosłe wokół okrzyku: My, pokolenie. Wy, pokolenie. Pisarek. Moja pierwsza wizyta zaraz po twoim przybyciu do wioski Rewy miała cel poznawczy, a to wglębiecie się w twój horyzont myślowy i przyswojenie sobie owocu wiadomości. Zaznaczę, iż owoc ten był mi znany od dawna, jeszcze od czasu niespokojnych nocy powojnia, kiedy to postać Ojca za cholera nie chciała opuścić stanowiska wiecznego zbawienia. Jego niepospolity dar czytania i pisania był perłą rzuconą przed wieprze, że się wyrażę okazjonalnie wzorem ojców Kościoła. Uwrażliwił on mnie na twardo i wolałem przyjąć pozycję wyczekującą. Dlatego też twój gust militarny wytrącił mnie z równowagi i nie mogłem sobie szczerze pogadać. Bo jak to już kiedyś zostało powiedziane, z mądrym człowiekiem to i pogadać warto. A ciebie, bracie, do mądrych zaliczam. Nawet do bardzo mądrych. Nie będę ukrywał, że z trudem przychodzi mi ta demaskacja. Bo mądrych ludzi mamy na lekarstwo, a i oni skrywają się pod płaszczem niewidka i pokazują tylko swą pospolitą resztę. Bierzesz takiego za sziworot, a ten piszczy, rzyga, zielenieje ze strachu bijąc się w pierś na wiem, że nic nie wiem. I wielce się z tego cieszy, że przypomina trutnia Sokratesa albo rzekę powtórnie ruszoną. Dlatego chcę ciebie ujawnić nie mimochodem, ale z całą wiadomością tego, co nazywasz legendą pryszcz. Pisarek. Jak to się dzieje, że nikt ciebie nie uważa za wyjątkowego drania. Nie mogę tego sobie wytłumaczyć. Taki typ, taka małoważność, że brać i piłować. A co żeś myślał. Piłować bym cię kazał, bo jesteś nie powołany do tego miejsca, do tej chałupy ze schodami nie mytymi od sześćdziesiątego piątego i gderającym starcem, który rozpamiętuje szlak–nie–szlak. Wojowanie. No i jesteśmy wreszcie przy wojowaniu, które spędza ci sen z powiek, które starasz się zaprogramować w tonie bór, bo węższąc za świerkiem wroga mogłeś być w każdej chwili zabity, mogłeś zostać wrzосу wspomnieniem. Wojowanie. Pięknie brzmi. Piękny znajduje się w nim czas, ale ja go odsuwam na odległość większą niż sam jestem, niż byłbym sam. Ty mnie jednak nie rozumiesz, bracie. Nie rozumiesz, choć mówię tak prosto i klarownie, że wystarczy łykać zdanie po zdaniu, a światłość wiekuista spłynie na ciebie z góry. Wojowanie. Wstań i podejdź do gilotyny. Stań po stronie ofiary. Ja będę katem i spuszczę ostrze. Nie bój się. Przecie to miniatura i nic złego tobie nic zrobi. Sam mówiłeś, że lubisz sobie pociągać za sznurek, że widzisz w ostrym świetle lampy, jak kadłub leci do trumny, a głowa do jamy, że nawet rechoczesz złowieszczo, kiedy ostrze wydaje głuchy dźwięk. Nie bój się. Robespierre wchodził na szafot z odkrytym czołem, tłum wył, Komitet Bezpieczeństwa upajał się wybawczym Thermidor, koniec tyranii, koniec bezwzględnej chwały ludzi Terroru. Nie bój się. Będę stał obok z ręką w pogotowiu. Ty naprawdę jesteś przerażony, choć pogardliwie wzruszasz ramionami. Byłem przekonany, że ten twój gust militarny nie sprawdzi ciebie w najmniejszym calu. I ty chciałeś ubaśnić obręb wojowania? Ech, bracie. Na to byś musiał otrzymać błogosławieństwo miecza ognistego, że się wyrażę okazjonalnie wzorem ojców Kościoła. Brak ten uwidacznia się w legendzie pryszcz zastraszająco. Muszę już jechać. Niech pan kończy śliwovicę. Muszę. Czołem, Pisarek. I nie zapomnij wspomóc tego chłopca w sferze działania na niwie wsi rodzinnej. Nie zapomnij, bracie. Serwus.

I znów jesteśmy w swoim własnym domu jak pisał poeta, i znów jesteśmy na piszczących schodach. Czy panu ten cienki skrzyp nie przypomina jęku dobijanej kobiety. Mnie przypomina i rwie... nieważne zresztą. Oto drzwi do kuchni Furmanka. Zajrzyjmy na moment. Ciii. On zasnął przy stole z głową na łokciu. Jest to pozycja niewygodna, ale starość miejsc nie wybiera. Pustka go tak zmorzyła. W barze Relaks wypił dwa piwa i wracał do niej butny, nieustraszony. Gwiżdże te nasze wierzby, bo mu się może śni warkocz połowicy u lustra posąg. Rozplatywany, przewiązywany, ciężki warkocz myty w occie. Lecz kiedy wkracza na podwórze i widzi chylące się ku ziemi zabudowania, ten ostateczny ślizg w popiół wszystkiego zwanego i nienazwanego, ten cały poszum wierzb, który zawsze uskrzydlał i nie

uskrzydłał, może tylko mościł drogę dla dobrej wiary, może to i owo. Pustka jednak była nieodmienna, wysokopienna i on zaglądał jej w oczy z mściwą pokorą. Zresztą kto go tam wie, kto tam zna takich wysuszonych starców, którzy nie tęsknią za burakiem i mają na wszystko ludowe przysłowie. Gdy tak śpi z głową na łokciu, to jest chyba szczęśliwy i wewnętrznie skupiony, jest cały obleczony snem, żeby to skupienie przeżywać najjaskrawiej na drodze żywot. Jeszcze może na niej spotkać syna inżyniera, córkę siłaczkę, wnuków, którzy wspomną, i przydrożny, biały kamień. Najpewniej spotka kamień, im dalej, tym ilość ich będzie rosła, rosła, rosła. Wreszcie stanie przed kamienną górą i powie sobie. Za nią będzie równina spokojnego słońca. Tam odpocznę, tam złożę ofiarę Bogu jedynemu, który mnie stworzył i pokochał. I z uśmiechem pocznę wchodzić, dążyć, idzie skacząc po górze, stopy mu krwawią, ale nic to, ważne, że idzie skacząc po górze, kamień na kamieniu, jeszcze jeden kamień, a za tym kamieniem ten szczyt i równina. Idzie. I oto staje na szczycie, przeciera ze zdumienia oczy, bo ma przed sobą następną kamienną, następną dalszość, którą musi pokonać, aby znaleźć się w centrum kwitnących łąk i złożyć ofiarę, dobrze, mówi mściwie, ruszajmy dalej. I z uśmiechem pocznę wchodzić na kolejny stos całopalenia, w kolejną kamienną, która się nigdy nie kończy. Niech śpi, niech przeżywa wewnętrzne skupienie. My wyjdziemy z tego domu, miniemy bramę i siądziemy do wozu błękit. Jakaż to świetna maszyna. Złożę na kierownicy ręce, żeby się ochłodziły. O, jak dobrze. Normalnie ogarnia mnie rzeźkość i odczuwam przyjemny stan zawieszenia. Mówiłeś, że ty również. Zawieszony i powieszony. Dziwny z ciebie chłopak. Z tą swoją okrągłą twarzą, drobnym uzębieniem przypominasz dzieci Muminków. Nie cenisz na pewno złota i bryłkami ozdobiłbyś rabatki w ogrodzie, nie cenisz chyba wielkich tego świata i wyśpiewujesz protest-songi w teatrze EUROPA, nie cenisz bojowców o wolność i demokrację, bo swym zgrzybiałym wyglądem wzbudzają w tobie litość, i traktujesz ich na prawach dziadka do orzechów, nie cenisz wartości bezwzględnych, gdyż takie nie istnieją. Czego jeszcze nie cenisz? Chleba naszego powszedniego, słów frazesem podszytych, bogacenia się na krzywdzie ludzkiej i tak dalej, i tak dalej. To się mnie widzi, że jesteś jako kryształ i bohater typu Jim. Słyszałeś, co? Ach, nawet czytałeś. No, zadziwiasz mnie. I ja ciebie też? Patrzcie, patrzcie. Tyś myślał, że partyjny chadza z granatem w kieszeni i potrząsa czerwienią sztandarów? Źle myślałeś, niezgodnie z prawami rozwijającego się społeczeństwa, które wyklucza takie myślenie. Bądź pewien, że mnie interesuje bardziej twoja gówność niż moja. Twój ojciec traktował tę sprawę w dobrej wierze samopostanowienia. O, on cały był wielkim postanowieniem bieżącej chwili. Znałem go dobrze. Nawet go mogę przywołać w cyklu człowiek w obiektywie. Na przykład. Błażej Rzepa partyzant. Błażej Rzepa na szlaku. Błażej Rzepa u bramy z małżonką swą i dzieckiem swym. Błażej Rzepa na weselu. Błażej Rzepa pod jabłonią. Błażej Rzepa przy poświęceniu sztandara świętego. Błażej Rzepa z gromadą. I tak bym mógł cały okres powojnia, cały wiek męski, bo fotografować się lubi i z przyjemnością do zdjęcia stawał. Lecz gdyby tak zedrzyć z niego aureolę męczeństwa i błyszcz medalu, gdyby mu oznajmić, że jest nagi i wystawiony na działanie niszczącej atmosfery odbrazowania, tobyś zobaczył jego dziecienny przestach, byś zobaczył rozpaczliwą ucieczkę za krzak gorejący. O, dobrze go znałem. Niby pięknie, niby tego, rozumiecie, człowiek samo przez się, śmiechu warte to dochodzenie prawdy, że ja, niby tego, Towarzyszu Naczelnym, kręcę i swoje wiem. No, niech mnie diabli całego, kiedy tu słyszę, że niby tego, nie jestem całkowity, a to bzdura, panie, ubliżająca bzdura, bo tak między nami Polakami mowę trzymać sensu wiara to jest ha, to jest ba, a co dalej, to nie ja. Hehehe. Rymik wyszedł, Częstochowa, jeich Bohu, że nic kręcę. Co mnie gadać po próżnicy. Człowiek tego niby w dym i w ogniu. No, niech mnie diabli, jeśli bluff, jeśli krew!

To byś usłyszał i jeszcze coś. Że on chowany w gnoju i znoju i obca mu jest sprawa miłości niepojętej. To bardzo ciekawy przyczynek do finału na pierzynie, gdzie miłość niepojęta uzyskała wreszcie swój wymiar niebagatelny. Błażej Rzepa choć miał potrzeby w

gospodarstwie i w imię ich wykańczał swoje żebro, a twoją matkę, to jednak był to gość silnej wiary w znaczenie własne. Pod tym pojęciem masz rozumieć ideał harmonijnej starości przy boku zażywej niewiasty i syna gospodarza, któremu by zalecał prace wieńczące dzieło. Syn ten byłby posłusznym niewolnikiem pług i kiesy wspaniałego starca, której zawartość dostrzegaliby w porze wyjątkowej łaski. W takim to marzeniu niemarzeniu, bo w permanentnej prawdzie, żył Błażej Rzepa i stąd się bierze twoje wygnanie w świat boży, że się wyrażę okazjonalnie wzorem ojców Kościoła. Gdyż oto dzieje się rzecz dziwna, jeśli nie straszna. To chluba i nadzieja, ta osławiona pierworodność buntuje się i w dzień powszedni na siwych oczach życiodajcy połyka dziarskie karty książek w twardej oprawie. No, wszystko wszystkim. Przemiany w dziedzinie obyczaju, nowa inteligencja rdzennie chłopska, rewolucja techniczno-przemysłowa, no, wszystko wszystkim, lecz książek w twardej oprawie Błażej Rzepa się nie spodziewał. No, motor, telewizor, garnitury szyte na obrazę boską, niechby i gitara, no, pojmujesz ty mnie, sobacze nasienie, wszystko wszystkim. Ty piętnastoletni mnie kontrujesz, dajesz do zrozumienia, że głupi i nie obznajmiony ze światem baśń. Kapitanem chcesz być, chachacha, kapitanem żeglugi wielkiej lub choćby bosmanmatem, no, odżywiłem niby, podkarmiłem, wyrósł sobie jak dąb, jak ptaszyna nadpolna i proszę. Nie ma co. Dobre dziecko, kochające dziecko, śpiewające mnie tu uleceniem w świat daleki, nie ma co, no, w diabły z tobą. Chcesz – ulatuj. Nie dam nawet pięciu groszy. A coś myślał. Ja – wojenka, ja – robota, ja – budowa, gniazdo, wiara, a ty sobie fiku–miku, kapitany, bosmanmaty sobie zmyśla, może nawet admirały. Ty sobacze nasienie, z cherlawicy wyszedłeś, z nędzy takiej, że kopniaka nikt by nie dał, no, ten drugi, lepszy, prawy, niech mnie diabli, jeśli on nie Rzepa całkowity, tak pomyśleć. Gówniarz, gówniarz. Mnie poucza. W Biblii stoi. Ślad ojcowy zrosisz łzami. Ten tu tego prorok, światłość, widział wszystko i zapisał. No, nieważne. Jedź, wykazuj, ja poczekam, aż powrócisz, no, poczekam. Co tam, niby tego, inne czasy. Lecz ja ojciec, ja zwołany w tamto miejsce, wierzej mnie, nadejdzie pora i zakrwawisz, i zapłacisz. Co tam, diabli z tobą, rób, uważaj, mnie ten drugi ułagodzi, rozpogodzi, no, przynajmniej zwieńczać zacznie nasze ziemiopowracanie. Ciebie to nie zabolalo, że on zacznie, on położy łapę, wieniec, twoja matka by się wściekła, gdyby zobaczyła jego. Ciebie to nie zabolalo? Jesteś wredny, bić nie będę, ale jesteś gówniarz głupi i świat myślisz zawojować. Nie dam ani pięciu groszy i poczekam. Cierpliwości mam dość dużo. O, poczekam na ten twój powrót pod drzewkiem jabłoń. Poczekam. Nie było jeszcze takiego, który by zlekceważył swoje źródło, nie było jeszcze takiej siły. Będę pod drzeweczkiem siedział, na drogę spoglądał i przechodzących zapytywał. Hej, ludzie! Nie widzieliście to gdzie mego Alosia? Bo to, wiecie, w świat wyruszył po jakąś bajkę inną, lepszą, wyruszył jeszcze w piętnastolecie swoim. Idę, tato, powiada, po należną mi dolę i z nią tu wrócę. A ty nie przejmuj się, powiada, nie zamartwiaj. Żyj wesoło i z uśmiechem, bo jakby co, to ja jestem na zawołanie. Na kiwnięcie też, ale lepiej na zawołanie, które usłyszę na każdym oceanie i wnet przybieżę. Trochu mnie bolą, powiada, twoje słowa, nawet bardzo bolą, że to niby ja jestem całą winą. Lecz gdzież bym jakąś winą mógł być w takim chłopactwie, gdzie bym sobie o takiej wredności zamyślił. Krzywdzisz mnie, tato. Mocno krzywdzisz. Alosiu synu, powiadam mu na to, ja nie to miałem na myśli w diabły ciebie posyłając, a tylko twoje nieopierzone zaperzenie, którym się tak chlubisz. Bo już nawet to, że gadam z tobą jak równy z równym, niech tobie da do myślenia, dużo do myślenia niech da moja szczerość. Ty jesteś z cherlawej matki, powiadam mu dalej, i nie znasz siły ludzi mocnych, którzy twardo stoją na planecie. Nie wiesz, że mogą ciebie wziąć pod but i rozdusić jak pluskwę. A twój kark, Alosiu, nie jest mocny, nie jest do jarzma. Słuchaj ty mnie, powiadam dalej. Ja zęby zjadłem na szukaniu własnej ścieżki i tak nie znalazłem, bo zabrakło mi dobrych lat. Ale za to trafiłem na drogę prawdy i wędruję ku obopólnej radości swojej i gromady i ciebie na nią zapraszam. To jest świetna droga, jedyna droga, gdzie możesz być przydatny sobie i państwu, mój synu Alosiu. Przecież ja nie chcę twojej krzywdy, nie chcę łez rozpacz i gniewu, ale wejścia w tę prawdę. Tego tylko chcę,

tego ja pragnę od dawien dawna. Zrozum mnie ty. I ty mnie też, on powiada, zrozum. Ty też. Zrozum swego Alosia, który wyrusza po inną bajkę, bo taka jest jego powinność. Znaleźć inną, lepszą bajkę i przymierzyć ją do świata. A kiedy już się z nią przymierzę, kiedy będę wiedział, że ona mnie spełni jak jakiś mit, jak jakiś najoczywistszy pozór prawdy, wtedy wrócę. Nic się nie bój. Już ja wrócę i dam tobie tyle radości, że aż oniemiejesz. Nie, nie masz mnie za co dziękować, bo dawanie radości uważam za swój obowiązek. Ty, powiada jeszcze z drogi, czekaj pod jabłonką, a ja się zjawię. Na pewno zjawię. To widzicie, ludzie, tak was pytam o mego Alosia, bo już mnie się za nim cholernie cni, cholernie marzy ta przyniesiona radość. Nie widzieliście to go gdzie tam? Nie widzieliście, kochani moi? Jak go zobaczycie, to powiedzcie, że go wołam. Wołam z całej duszy i pamięci. Niech przybieża pod jabłoń, niech przybieża w te progi!

Poniewczasie mu jednak przyniosłeś obiecaną radość. Był u mnie przed tym ostatecznym ślizgiem w popiół, zmizerowany, dychawiczny. Trząsał siwą głową i nokał to swoje wyznanie. Wy, Towarzyszu Naczelny, nokał, tego niby, porządny człowiek, a ja tu z takim, no nieważne, tego tu, przebywam z posłaniem takim, no, wiecie, życie nie pieściło, wygnałem, lojalnie przyznaję, piętnaście lat. Gówniarz, gówniarz, no, był, jest nim, choć daleko, niby on, mówię, syn, sobacze nasienie, ale krew, krew. Cóż mnie było robić, poszedł, przepadł no, gdyby ze mną orał, siał, zbierał, no wiadomo, dom. Dom. Poszukajcie wy go, przyślijcie, pasy zedrę, a później popieszczę, jego niby, no, wiadomo, najstarszy. Poszukajcie. Tego niby, swoją drogą chodzi każdy, ja tam nie wiem, ja za pługiem, już tam niby on przypomni, no, wiadomo, krew i krew, młode lata, durny wiek, rozumiecie mnie, kochany, była miłość, jest nadzieja, no, nie mówię, że ja dobroć, że ja czekam hołdu, szczęścia, ja nie mówię tego w złości. Bóg tak dał. Poszukajcie.

Długo tak nokał o słuszności i miłości. Obiecałem, że poszukam. Lecz nie miałem ku temu ani chęci, ani czasu i na wieść o ślizgu trochę się uradowałem. Bo cóż by to było, gdybym ciebie sprowadził, gdybym kazał ci wskoczyć w skibę bez należącego przygotowania. Nic. Kompletnie. A finał nastąpił na pierzynie. Kto by się to spodziewał, że pierzyna zamota całość do takiego stopnia, że oddzieli wielkość i pospolitość, że zrobi taki kawał w czas polskiej jesieni żołnierskiej duszy. Kto by? I dlatego już tak mówię do ciebie z pozycji wozu błękit, już tak próbuję tę całość tobie dosłować i na przykładach zaczerpniętych z życia przeprowadzić dowód, że słuszna sprawa jest wielką sprawą. Idea bym to nazwał. Czystą ideą, którą powinienes sobie przyswoić. I nie dlatego, że mówi partyjny, lecz ze względu na swoje psychiczne zdrowie. Bo jesteś chory na bunt, ale chory nie tak, jak to kędyś bywało nie tak, jak to bywa w walce. Ty jesteś chory na politurę buntu, na jego prymitywną odmianę szargania świętości, której wyniki są naprawdę opłakane. Cóż to do diabła za bunt, który mi nie daje odpowiedzi o tobie samym, a jedynie banał, że młodości jest z nim do twarzy. To żaden bunt, żadna przeciwstawność. Wolę już widzieć was w muzyce big-beat i z konopiastą fryz, wolę już to. A zawieszenie?...

Muszą jechać. Czeka mnie jeszcze moja prywatność, na którą mam wyliczone godziny. Często myślę, że w moim przypadku prywatność i publiczność są nierozdzielnie związane biurkiem połysk, wiążące dalsze z bliższym. Bo każdy sobie myśli. Biurko połysk to życie. Hohoho. Piękne życie. Siedzisz sobie w fotelu i mówisz, że tak i tak, że to a to powinniście, powinniśmy, że jakby co, to ja już was zapamiętam, odnajdę, więc słuchać tu. Tak sobie każdy myśli. A przecie to wierzch, normalny wierzch, pod którym kryje się człowiek, życie. Taka moja prywatność o piątej nad ranem, kiedy ożywa świt i niebo blade jaśnieje, kiedy koszmar nocy bezpowrotnie wyfruwa z pokoju, a ja po raz kolejny odczuwam swój zwyczajny strach na jej widok, na jej błysk sztyletu w prawicy, i próbuję gestem pokazać dzień, że to on, nie ja, on mnie zżera, ten dzień pokoju. On. On. On. I jęcząc składam o nim raport, melduję przemiany, odmiany, konsekwencje miłości niepojętej. A ona słucha czujnie, lekko się czasem zaślini, ale to nic, to jeszcze bardziej ją urealnia i mam ciągle wrażenie, że

wcale nie śnię, że nigdy nie śniłem żadnej bajki i trwam rzeczywiście w jednej wiosnie, w jednym pejzażu i głos mój rzeczywiście brzmi jak nieustanna bujność. Bo mówię. Ty, kochana moja. Ty, prawdziwa moja, bądź pozdrowiona i schowaj gniew. Skryj go pod białą koszuliną, żebym go nie widział, bo czeka mnie ciężki dzień. Przed wyjściem do biura muszę dać odpowiedź naszej latorośli odnośnie wypłacalności ideała. Cóż ja nowego powiem, czym przekonam to krnąbrne dziecię atom, które żyje na kredyt ze słowem gównolotność, ze słowem szczęście. Dziewczyno, powiem. Nie drażnij mnie, nie denerwuj. Zechciej uprzejmie swego ojca zrozumieć, który kształcił się tak i tak, doświadczył tego, a tego, zdobył to i to. Zechciej zrozumieć. Mnie po prostu trudno sobie wyobrazić strefę wątpienia, kiedy ja nigdy nie wątpiłem w siebie i czas, nigdy nie pomyślałem, że mógłbym chybić. I nawet kiedy rzucano mnie w błoto, to ja na kolanach, z męczeńska nieomal ponawiałem prawdę i dobrą wiarę, ponawiałem czas. A mój Ojciec, który był posiadł niepospolity dar pisania i czytania, który twardo trzymał się stanowiska wiecznego zbawienia, wychłostałby cię swoim biczem i zamknął w ciemni. Już widzę jego straszliwy gniew i ciarki mnie przechodzą. Bo ty jak Antyгона znikałabyś w mroku jaskini z ufnym uśmiechem, coraz dalsza, coraz mniejsza, nikańca bez odwrotu głowy, by nie oszaleć na widok światła, które zostało za plecami i w którym tańczy zwiewna Atropos. I znikałabyś serio, choć ja zaraz pojedę do biura i będę wcielał ten twój ideał w tak zwane życie, będę go wymierzał, pasował, brał pod lupę, żeby się czasem, broń Boże, nie zadarł, nie przerysował, żeby nikt nie zakwestionował jego mocy, kiedy on jest przyszłością narodu, nadzieją miast i wsi, upiękzeniem dziecka atom, żeby nikt, kochana moja, nie gadał, prawdziwa moja, mu bezpośrednio Ty. A teraz wracaj na siano sianeczko w spokoju i zadowoleniu. Wracaj. Jestem śmieszny, prawda? Skroń mi posiwiiała, kark się trzęsie, a ja babrzę się w rozpirzonym czasie i nudzę cię zwidami i duchami. Ale to tak samoczynnie włączył mi się wsteczny bieg. Wybacz. Od jutra zaczniesz własną realizację i definitywnie wykluczysz to zawieszenie. Dziwne słowo. Ma w sobie coś bardzo nieważkiego, jakąś bezwładną lotność, którą przerywa przypadkowa strzała z przypadkowej ręki. Nieważne. Chęć dobrej roboty, takiej, wiesz, pełnowymiarowej roboty, w której bym wreszcie zobaczył zasadę całości. Bo nie widzę jej, choć jest najprostsza ze wszystkich zasad nauki życia. I jaka łatwa w obsłudze, jaka przyjemna w rozumowaniu. Nie ma tej oboczności części zamiennych, które tak sobie chwali nasza brać. Nie ma. Zapamiętaj ją sobie. Może ty wreszcie objawisz ją dla ludzi w sposób ciekawy i ważny. Może będziesz dobrym wykonawcą zamyśleń człowieka prim i zwrócisz kapitał włożony w owoc poznania. Kto tam wie, ile się w tobie kryje możliwości, ile wykazania. Mało to który z ludzi powraca do punktu wyjścia duszą i ciałem. Myślą to bez przerw, bez końca, ale tak wziąć i rzucić w diabły doniosłą egzystencję, odczepić się od tłumu, rozumiesz mnie, nie od wspólnoty, ale od tego bezmyślnego tworu, który hasa na płatkach róż, no, bracie, rzadki to wypadek, wyjątkowa chwila. A ty wróciłeś, jesteś i zielonkawym okiem gapisz się w zapadający dzień, jakbyś go chciał przytrzymać bez względu na porę, bez względu na klimat. Dobrze robisz, słusznie robisz. Wyobraź sobie, że to Ty siedzisz za kierownicą wozu błękit, że to Ty trzymasz na kolanach blok, w którym wyryłeś wiecznym piórem LUX IN TENEBRIS, choć łacinnik z ciebie żaden i długo myślisz, czy nie napisać tego po polsku, czy w ogóle coś takiego można wyrazić martwym językiem, i nagle zapuszczasz motor, cały gaz i rwiesz już, pędzisz jak szalenciec po drogach wybój. Do czego, do kogo on tak pędzi, że kłękajcie narody, że nie powiem... ach, nic. Niech pędzi, niech gna do tej skończonej światłości, kiedy ma na to ochotę i specjalny wóz błękit. Niech gna. Ja już sobie tylko popatrzę, tylko się uśmiechnę i to mi w zupełności wystarczy. A ty pędź, wal, tratuj starolistne drzewa, które z suchym trzaskiem rozlatują się w drzazgi, bo nadszedł ich kres, nadpłynęła przekłęta łódź rzeki Styks. Ja popatrzę. Widzę twoją zajadłość i z szacunkiem chylę przed nią siwy łeb, z szacunkiem otoczyłbym ją ramieniem, żeby się nacieszyć obopólnym pędem, żeby tego gnania nie utracić na zawsze. Bo się trzeba nam ciągle uzupełniać, ciągle wypatrywać w powietrzu stycznej do



okręgu, choć moje oczy odmawiają posłuszeństwa, zasypuje je piasek, góry piasku, w którym pełzam jak kret szukający kiedyś wykopanego korytarza. Otoczyłem ciebie ramieniem i jest mi wyjątkowo dobrze, czuję wyjątkowo silne uderzenie serca i krajobraz po bitwie znika ostatecznie za horyzontem, zniknęły nawet jego cienie i spokojnie mogę powiedzieć czołem. Z wozu wyjdź. Naprzód marsz. A ty wykonujesz to bez szemrania, z przytupem odchodzisz szosą asfalt, znikasz mi z oka, chłopięcy i dalekosiężny. Znikasz.

To wyciągam rękę w osławionym geście i fachowo zapuszczam motor.

## IV

Powiedziano prawdę z prawd.

Wioska Rewy leży między dziś a cokolwiek dalej. To duża wioska i pełno w niej dobrych ludzi. Gdy wyjdiesz z Czarnego Lasu, to masz na widoku jej wzniosły punkt. Lśniącą wieżę kościoła. Wpatruj się w nią uważnie, bo jest to punkt królujący nad ziemią odkupioną i zbawioną, jest to owa ważność jeszcze nie ruszana cegłą zdrowego rozsądku, o której tak pięknie śpiewa gałązka jabłoni w porze wieczoru. Dobrzy ludzie kołyszą się w tym śpiewie i padają sobie w objęcia z uczuciem większym niż wiara, a mniejszym niż prawda.

Dobrzy ludzie!

Na ostatnim zebraniu mówiono dużo o dobroci. Szczególnie Franek Rzepa, który słynie z rozsądku i zaradności, objawił się w tej kwestii całkowicie. Nie chodziło już nawet o byka maści czerwo, którego gremialnie zatwierdzono do służby rozwoju rasy. Nawet nie o to, że zgodny okrzyk gromady wywołał ostry protest kierownika szkoły, w którym, między innymi, powiedziane zostały rzeczy niepotrzebne, mało ważne, wręcz niesmaczne. Bo ten przedwojenny inteligent wychowany na piśmie Kamena przykładami z własnego życia udowadniał, że sprawa uzupełniana jest historyczną koniecznością. Potok jego mowy jest niemożliwy do odtworzenia z perspektywy miesiąca, zresztą nie w tym tkwi jej finalne solo, ale w zadziwiającym osłupieniu dobrych ludzi. Było to coś więcej niż zaczadzenie, a coś mniej niż wieczne zdziwienie. Było to szeroko pojęte dziś – tu i teraz.

Franek Rzepa mógł o dobroci nieskończenie, lecz zaczął od konkretnego i powiedział, że marzenia jak dymy falują na wietrze. Ludzie, powiedział. Wsłuchajcie się w to zdanie. Marzenia jak dymy falują na wietrze. Wsłuchajcie się i pomyślcie, że jest to zdanie wymyślone przeze mnie na okoliczność naszego zebrania. A nie jest ono wymyślone tak sobie, o nie. Tak sobie można żyć, lecz nigdy przemawiać do zdrowych i żywych. Ludzie, mówił dalej. Ja jestem młody gospodarz i swoje wiem. Nie skusiło mnie miasto i nie skusi. Upatrzyłem sobie rycie na roli i ryję w imię boże. Wystarczy, że mój brat opuścił zagrodę dla celów wyższych, które on nazywa punktami bytowymi. Bo kiedy rok temu chowaliśmy naszego ojca i orędownika, to on mnie wtedy tak zapytał.

Franciszku. Powiedz no, czy Błażej Rzepa wypatrywał mnie czasami?

I to jeszcze jak, odpowiedziałem mu na to. Tak wypatrywał, że aż mnie to dziwiło. Stawał przeważnie u bramy i po szosie asfalt puszczał spojrzenie. A ono biegło, biegło i końca tego biegu nie było widać. Franciszku, spytał mnie jeszcze. A czy Błażej Rzepa był dobrym człowiekiem?

O, rzekłem mu na to. Był dobry pół na pół. Ale za to ludzie w Rewach to mają charaktery najlepsze w okolicy. Niektórym to trochę wojna pokrzywiła, lecz ich garsteczka. Dlatego do tej garsteczki nie przemawiam i nie chcę przemawiać. Mówię do tych najlepszych zdanie przeze mnie wymyślone.

Marzenia jak dymy falują na wietrze.

Do was mówię. Bóg jest jeden, ale w trzech osobach i nam to nie przeszkadza. Wierzymy w niego jawnie, choć jest to na obecne czasy niewystarczające. Mało tego. Obecne czasy pokazują, że dobroć Boża nie ma pokrycia w rzeczywistości i stąd jej wielkie ograniczenie. Mnie ona już wcale nie wystarcza i cieszę się z faktu, że tak sobie faluje na wietrze jako te dymy fabryczne. Cieszę się. I dlatego apeluję do waszych gorących serc. Żyjmy dobrze, a nie tak sobie. Bo każdy, kto żyje z hektara, o zysk się stara. Więc żyjmy. Wychodzę teraz na powietrze.

I Franek Rzepa opuścił zebranie. I ty też opuść ten początek i wejdź pod rękę w wybitnie zdrowe powietrze wioski Rewy z krnąbrnym chłopcem od pól zielonych. Jest on teraz bardzo samotny, bardzo milczący. Wolno zmierza do zagrody brata Franciszka. Z uwagą wpatruje się w nawierzchnię asfaltu, jakby chciał w nim dojrzeć ślad wozu błękit. Czy jednak na pewno ślad

wozu błękit? Byłoby to prawdopodobne, ale w gęstniejącym mroku niemożliwe. Mija zasobne gospodarstwa, zasobnych w dobro ludzi, którzy statecznym krokiem idą do baru Relaks. Tam sobie przyswoją uśmiech losu i będą się kołysać na obłoku optymistycznej tragedii, będą się radować refrenem pokoleń, żeby się całkowicie nie zapomnieć, nie oddalić. Alek wchodzi z nimi, staje u wodopoju i cierpliwie czeka swojej kolejki. Syr nieodmiennie podaje i wrzeszczy z kapralska na Klocię, żeby pospieszała z uprzążaniem kufli. A nad nim jak chwost diabelski menu czarną literą położone:

### KOTLET SCHABOWY NA ZIMNO I GORĄCO PODAJEMY

Bierze piwo i słyszy donośny głos Syra.

Straciłeś dzień, Aloś, czy nie straciłeś? Gadaj.

Widzi, jak na progu kuchni staje Klocia, poprawia fryz i kołysząc biodrami rusza między stoły. Patrzy na jej czerwone ręce, które sprawnie chwytają opróżnioną pełnię. W monotonnym poszumie klepnięcie w pośladek strzela jak bicz. Trzymając oburącz kufle wraca do źródła i opuszcza pod zlewomyjący strumień. Przelyka ślinę, chwytą dziewczynę za ramię i szybko mówi.

Co robi wielki Mendoza?

A odczep się!

No powiedz, prosi, co robi wielki Mendoza i mała siniorita? Wczoraj stali na pięterku i rozkoszowali się sobą. A dzisiaj. Co dzisiaj? Dziewczyna wzrusza ramieniem i cedzi przez zęby.

Dzisiaj słucham opowieści o sercach na wieki złączonych. Ale to już insza inszość i tobie gówno do tego. Kapewu?

Syr śmieje się szeroko, radośnie. Wbija wodniste źrenice w jego twarz i dobitnie mówi. Klocia posłuchała mojej rady i przestała czytać. Ty, panna, mnie posłuchaj, powiadam jej dzisiaj z samego rana. Posłuchaj starego, który perspektywicznie patrzy i minionym słowa podbudowuje. To mało, że książka jeść tobie nie da. Mało. Ona ciebie wpędzi do grobu swoimi radami i mądrościami. Notariusz sądu powiatowego jest na to jaskrawym przykładem. Czego ten człowiek już nie wiedział, powiadam dalej. Nie było rzeczy, na którą by nie znalazł odpowiedniego słowa popartego tytułem. I co? Kipnął w domu wariatów. Tak samo i ty, Klocia, miej się na baczności. Jeśli już nie możesz wytrzymać bez opowieści, to ja ci mogę sprzedać historię o sercach na wieki złączonych.

Co to za historia, pyta Alek. Chyba zmyślił ją pan na użytek wewnętrzny?

Niech mnie donna-konna rozszarpie, jak bajki wstawiam, bije się w pierś Syr. To jest historia życia ludzi, którym nie w głowie było tragiczne nastawienie. Sam im kopałem dół i wiem.

Jak już cmentarz, to błaga, mówi Alek. Wszystkie cmentarze to błaga.

Ty jesteś cały błaga i nikt o to nie ma pretensji, odzywa się Klocia znad zlewu. To nie obrażaj porządnych ludzi. Wypij piwo i wracaj do zagrody.

Wróciłem nie tylko do zagrody, moja droga. Na razie bądź pozdrowiona. Odchodzę.

Alek jeszcze raz ogląda twarze chłopów polskich z kuflami w prawicy. Otuleni dymem szarzejają, kurczą się, wcale nie przypominają tych, co żywią i bronią. Nie jest to dzień niedzielny i może dlatego. Bo w dzień niedzielny to mają w sobie jakieś niepowtarzalne piękno, jakiś czar ulotny, który magnetyzuje dobrą wolą. Idą w modlitwę krokiem zdecydowanym i w marszu tym możesz zobaczyć znak pojednania. A jest to pojednanie nie z Panem, ale z krajem lat dziecinnych. Nie babrzą się z nim, nie mistyfikują. Jednoczą się serdecznie i dalekosiężnie. Modlitwa ich uskrzydla i wtedy płyną, przepływają. On to widział i poznał. Płyną, przepływają w refrenie pokoleń.

Powiedziano prawdę z prawd.

Wioska Rewy leży między dziś a cokolwiek dalej. Alek Rzepa posuwający się środkiem szosy asfalt może sobą poświadczyć, choć jest teraz taki samotny, taki milczący. Wszechświat nad nim roztacza plafon chmur, harmonię sfer. Przytłacza go ta potęga ledwie muśnięta krokiem homo. I cóż ja, myśli on, cóż my, którym marzy się nieśmiertelność lub wół nieśmiertelność, marzy się los. Uśmiech los, oczywiście. Oto sobie stoję pod niebem ojczystym i wyobrażam, że jestem wysokością własnego imienia. Wyobrażam sobie mój bieg bez ptaka jastrzębia, bez palmy, bieg, który miał zakosić historię żywca cedzoną przez gazę i świętą krytykę elementu brąz, i żywoty apostołów, i dalszość wszechbijającą, wszechświecącą kwiatem paproć, i dom złoty z rabatkami obwieszonymi cennym kruszcem, i jedność pragnień. Wyobrażam też sobie, że jestem pod niebem ojczystym jako lord Jim i gasnę po krótkim rozbłysku, gniewam się na but, który depcze wieczny liryzm, resztę romantyki i szpicem wykopuje mnie na jakąś prostą serdeczną. Gniewam się gniewem duszy, czyli umysłu, choć wiem, że nie mam tu nic do szukania. Ale gniewam się i pragnę jednocześnie się nie gniewać, pragnę widzieć jasno w zachwyceniu, chcę oddalić ten gniew w krajobraz po bitwie, żeby się spalił ostatecznie. Przecie stoję pod niebem ojczystym przed zagrodą brata Franciszka oświetloną lampami pokój, w których się kąpie jego oblicze i Jaśki żony, i Wiśki Syr, i Zajca mechanika, i Tymka nauczyciela, który jest zawsze tam, gdzie może wystąpić szczęście ludzkie, zwane patrzeniem sobie w oczy, zawsze mówiący z doskonałym akcentem o wszystkim i niczym. Więc słusznie robię myśląc o plafonie chmur, że mnie przytłacza, że oddala w nieskończoność harmonię sfer, choć ja żywy, ja realny i wystarczy świadomość tego muśnięcia krokiem homo, żebym się znalazł znów na wysokościach. A kiedy dalej zacznę płynąć, przepływać, kiedy powtórnie ujrzę boską galopadę wielkiego pisarza na obłoku, to zobaczycie, jak się zakręcę, jak pójdę w niebo. Zobaczycie. Nawet Towarzysz Naczelny mnie nie powstrzyma, nawet jego wielka sprawa poparta półwiecznym przekonaniem, którą głęboko szanuje i dalej pociągnę, ale wpierv muszę sięgnąć za ten obłok i załapać plafon chmur, wpierv tam, bo inaczej nie byłbym Alkiem Rzepą dziecinnie rozkwilonym, nie byłbym tym, czym jestem. Chłopcem od pól zielonych. A gdyby ktoś chciał, żebym poświadczył sobą tę prawdę z prawd, gdyby się taki Tomasz znalazł i brudnym paluchem obmacał mój garb, to ja bym wtedy się naprawdę pogniewał i zamknął w sobie. Normalnie zamknął rację dnia, który nie został stracony. Tak mi dopomóż plafonie chmur! Stół był pięknie uszykowany, kiedy stanąłem w drzwiach pokoju i głęboko weń spojrzałem. Powitano mnie okrzykiem: bywaj Paladynie. Ach, bywaj nam. Odpowiedziałem serdecznym uśmiechem. Franek podbiegł i biorąc mnie za przegub oprowadził dokoła stołu. Idąc słuchałem uważnie oracji Tymka, który z nadzieją na widelec kielbasą rytmicznie skandował:

To jest kielbasa  
To jest moja matka jadalna  
Teraz ja jestem głodny  
a moja matka wisi  
Więc wpatruję się w wystawę  
i czuję  
jak mi cieknie ślina i sperma  
To jest kielbasa  
To jest moja matka jadalna  
A to jest mój głód dziecinny.

Tak obchodziłem w rytmie dwa matkę jadalną, która rzucona pod but zatuliła się podłogą jak plastrem miodu. Posadzono mnie między Wiśka i Zajcem i nalano karniaka. Wychyliłem.

Następnie poszukałem wzrokiem Jaśki. Siedziała w rogu bardzo rozradowana i czujna. Sprawnie dokładała mięsa i chleba. Za to Tymek z nonszalancją sobie właściwą ciągnął dalej.

Został złowiony dzięki sprzyjającym warunkom atmosferycznym. Wiadomo wam chyba, że pogoda od wieków wpływa na ludzkie poczynania. Taka zniewaga Harpaga, która pozbawiła Astiagesa korony, odbyła się przy gradowych ciemnościach, których nawet nie rozproszył jęk zabijanego chłopca. Okrucieństwo załaziło serca, nienawiść umysły. Albo poranki Kleopatry w ramionach Antoniusza. Żar bijący z nieba, łożo muślin i zawsze dobrotliwy bóg Re. To wszystko wpływa na ludzkie poczynania, mocno wpływa.

O czym ty mówisz, spytałem.

O tobie. Zajc nam opowiedział zajście z chłopakami w bazie i ja konkluduję, że przesłanką ku temu była chlapa.

To bzdura, powiedziałem. Dlaczego, stary, cudujesz w moim imieniu?

Zajc miarowo przeżuwał. Patrzyłem na brodę trzciny cierpliwie i spokojnie. Jaśka stanęła obok i nałożyła na talerz kawałek mięsa. Podziękowałem. Zaśmiała się cicho, cichutko. Czekałem. Wreszcie Zajc skończył i powiedział.

Opowiadałem ze względu na twój sukces. Bo teraz coraz trudniej być mężczyzną, coraz gorzej.

Właśnie, rzekł Tymek. Życie kreuje historię.

Przymkniesz ty się. Burzysz mnie tym i burzysz.

Bo jesteś jak osioł z bajki. Wiergasz w najbardziej nieodpowiednim miejscu. Franek może poświadczyć, że życie kreuje historię. Ale brat Franciszek miał zupełnie co innego na myśli. Wstał, z kieliszkiem w prawicy i począł zbierać się w sobie. Niebieskie oko ogarnęło nas całych, calutkich. Ogarnęło też dobro uszykowane na stole do życia i radości. Zapadła cisza przerywana mlaskaniem Zajca. Po chwili i to zanikło. Brat Franciszek wtedy powiedział.

Gościmy oto naszego przyjaciela, który przed dziesięciu laty opuścił progi rodzinnego domu i ruszył w świat daleki. Gościmy jego powrót, bo jest to powrót niezwykle ważny dla naszej wioski. Zaklucza on w sobie to dalsze i dalsze, które nazywam życiem. Ja jestem prosty chłop i mówię to, co czuję. Nie będę owijał w bawełnę, że wykształcone jednostki przy zwrocie: gnojarku z lekka kaszlają i oczy spuszcniają. Nie będę też udawał, że jestem znawcą międzynarodowym i siła nabywczą dolara bardziej mnie interesuje od mechanizacji zagrody. Nie jestem ani pierwszym, ani drugim. Dlaczego więc mówię, że powrót brata Alosia jest tak niezwykle ważny? Postaram się prostym rozumem wam to objaśnić.

Rozumiem privato, przerwał Tymek. Tak czy nie?

Nie twoja rzecz privato czy nie privato. Grunt, że rozum nie odstępuje mnie w koniecznych chwilach. Ludkowie moi!

Tak powiedział.

Ludkowie moi! Na wstępie muszę zadać pytanie typu. Czy wczorajsze może być dzisiejsze? Ciągnie się to za mną już od miesiąca, kiedy na ostatnim zebraniu przedstawiciel wydziału rolnego kategorycznie zaprzeczył, aby wczorajsze mogło być dzisiejszym. Ale mnie to zastanawia z dwóch powodów. Pierwszy to taki. Wczoraj my żyli i pili i było dobrze. Dzisiaj my żyjemy i pijemy i też jest dobrze. Więc to się równa, prawda? Lecz z drugiej strony wczoraj był dzień niedzielny, a dzisiaj codzienny i za cholerę nie pasują do siebie. A jeszcze z innej strony. Kiedy nasz życiodajca i orędownik zjeżdżał w popiół, to wielki ból kleszczami rwał nam pierś. A za to następnego dnia było słońce i morze wódki w knajpach powiatu, w których żeśmy z bratem Alosiem zapomnienia szukali. No więc tak sobie myślę. Wczorajsze i dzisiejsze, dalsze i bliższe, insze i bardzo insze, to się musi gdzieś tam stykać, musi wezbrane mieć znaczenie.

Z dotychczasowego wstępu nie wynika żadne znaczenie, powiedział Tymek. Przejdź do drugiego powodu bo inaczej mówione nie będzie wcale znaczone. Raz.

Drugi powód mnie się wydaje następujący. Brat mój Ałoś przez lata oddalenia wyrobił sobie poczucie obowiązku. Lata oddalenia należą do wczorajszego, natomiast obowiązek do dzisiejszego. Powstaje pytanie typu. Cóż to takiego ten obowiązek i czemu akurat dotyczy jego? Bo rozumiem obowiązkowe podatki, obowiązkowe dostawy, obowiązkowe zmiany klimatu. Ale obowiązkowości w poczuciu obowiązku nie pojmuję. Zabijcie mnie. Nie pojmuję.

Zaczęliśmy się śmiać i parskać. Franek niebieskim okiem ogarnął nas całych, calutkich. Pokiwał głową i wychylił. A nam aż talerze podskakiwały od tego śmiechu, od tej radości niepojętej i czaru lotnego, który się tak skrzydłato objawił. Wiśka Syr zmrużyła swoje chabrowe oczęta i drżała, chichotała, śliczne usta koral zębami pokrywała. I było nam tak jak nigdy, tak jak zawsze. Niewyraźalnie. I było nam jeszcze lepiej, kiedy Zajc otoczył potężnym ramieniem szyję Wiśki i pocałował w usta koral, a ona wyrznęła go pięścią między oczy, z nagłą chwyciła moją rękę i położyła sobie na sercu. To już było wręcz fantastyczne. Wychyliłem dwie sety z rzędu i powiedziałem.

Tęskniłem do was, myślałem o was. Często chodziłem po dworcu Głównym z niewysłowioną nadzieją, że spotkam kogoś od krowy, od łąki zielonej, od tego naszego kraju lat dziecinnych. I tak mi było czasami jak w piekle, jak w raju.

I ja chodziłem, i ja tęskniłem, mówił Tymek. I mnie czasami brała ochota ruszyć w dym ognisk pastuszych, wskoczyć w chłopactwo górnotne. I nawet wypisałem dla niego kałamarz, karteczki.

I ja myślałem, i ja czekałem, mówił Zajc. I wszystko mnie z rąk wylatywało, robota znojem była, zabawa kością stała, bo tylko tym się żyło.

A ja gwizdę, nie uznaje, mówiła Wiśka. Mam już dosyć ojca Syra, sadu grusz. Mnie się tak chce w świat jarzeni, w klamrę szczęścia, że pojedę, niech mnie diabli, zaraz jadę.

A my na dorobku i chcemy robotę przerobić, mówili złoci kochankowie. Chcemy powalić ją sobie pod nogi i na niej hasać, choć wiemy, że roboty się nigdy nie przerobi. Ale chcemy na niej hasać, bo my na dorobku.

I tak się nam stało dobrze, że zaczęliśmy przekrzykiwać jeden drugiego i domagać się wódki, chleba, mięsa. To złoci kochankowie w mig to przynieśli i już razem wszyscy jednako krzyczeliśmy. Dobrze nam. Pięknie nam!

Wszyscy razem!

Tylko mnie nagle odbiła pamięć i opuściłem smętnie głowę, żeby ukryć rosnące zmieszanie, rosnącą postać tej cherlawicy, która w nic nie wierzyła i cieszyła się z opowieści o kwiatach paproć. I tak mi rosła, rosła, aż stanęła w czystym oku, bladeżółta i skopana, stanęła ledwo dysząca i nieśmiało pogładziła mi włos. A mnie już dużo nie trzeba było do płaczu, do spojenia i resztą zdrowia wstrzymałem chłopięce łzy. Bo cóż to było, jak to by było, gdybym ten okrzyk podlał czułością.

Dobrze nam! Pięknie nam!

Czułością. To pochyliłem się do Wiśki i cicho powiedziałem.

Jesteś mi wszystkim i niczym. Jesteś.

Lecz ona miarowo skandowała i szept nie doniósł mnie do niej, nie przybliżył, choć przecie nie grzmiał tu refren pokoleń, nie było tu gór i dolin, a zwyczajne zawirowanie miłością bliźniego. Gdzieś się podziąła ta dzika żarłoczność ócz miłowanych, ta Kasieńka–Wisieńka, ta mleczość człowieka z przeraźliwie moknącego pejzażu. Gdzieś się podziąła. Byłem wyzwolony i zadowolony, byłem Pan. Mogłem bez strachu odrzucić zmysł, który reaktywuje stracone złudzenia. Mogłem. Tymek rozlewał alkohol. Tymek gadał.

Niech nas cieszy ta woda ognista, niech cieszy rząd kiełbas z wieprzaka, który daje oszczędność temu domowi. Albowiem będą liczone kości ich w czas wielkich srogości i ptak Kulig będzie szukany u stołów pańskich. A kto nie słyszy, niech słucha, a kto nie widzi, niech ujrzy, bo zaprawdę powiadam wam, ten się tymi pętami ogarnie, kogo ja ogarnę, a nie

ogarnie, kogo ja nie ogarnę. Gdyż wielkość po niskościach chodzi i klucze raję rozdaje. To cieszcie się i radujcie, bo jako niebo nad górami, jak niziny pod wodami, tak to pęto w gardła nasze wniść powinno. Tako wam rzecze biesiadnik i domu tego przyjaciel, bo słowa szczęścia przemina, lecz pęta jadalności nie przemina. Hołk!

Hep, czknał Zajc i pięknie skłonił się w stronę Wiški powiadając – Pardą madam, pardą mesje. Odbiło mnie wczorajszym.

A nie mówiłem, wałnął pięścią w stół Franek, że wczorajsze może być dzisiejszym. Mówiłem. Wiedziałem. Ja kiedy już się w czymś zaczuję to na wszystko, na ostatnie. Wasze zdrowie, ludkowie mili!

Po toaście włączono muzykę radia Luksemburg i para za parą. Zostałem z bratem Franciszkiem, który z roztkliwieniem w oku monologował.

Zawsze gadałem, że ty to ja, zawsze tak myślałem. I wszystko może iść w diabły, ale nasze bractwo będzie na wysokościach. Bo weź sobie przypadek tego obłoku, który skrywał mnie daleki świat, skrywał twoją osobę, że aż na płkanie zbierało, aż na unędnienie doli, którą Bóg mnie upatrzył na roli. Ile ja cierpień musiałem przez ciebie przejść, ile zdrowia stracić, żebyś się wreszcie objawił wolny i nie przymuszony. Bo tak sobie mówiłem w noc i dzień, w radość i gniew. Brata mam starszego, do którego mogę się udać z nie rozwiązana kwestią lub bezradnością. Mogę się udać dzięki związkowi krwi i będę wysłuchany, polubiony. Ugości on mnie jak nikogo, bo jesteśmy sobie potrzebni w stopniu najwyższym. Ale wpierv go poproszę na wesele, weselisko. Niech pogada z dobrym człowiekiem, który chce mu nieba przychylić, chce go całego dobrą mową ozłocić. I jeszcze na godzinę przed ślubem wyszedłem przed dom weselny i oczy wbiłem, w drogę. Dziwowali się wszyscy, że tak stoję w garniturze elana na polnej drodze i w głos mi przygadawali. Co tak, Franek, gadali, oczy wbijasz w drogę. Cóż to? Chcesz ją może odpolic, odwrócić i zobaczyć bitą kostkę do proga kościoła. Wtedy byś nas ustawił w rząd i poprowadził krokiem statecznym do ołtarza z krwi i ciała. Ale jej nie odpolisz, nie odwrócisz i autobus san powiezie nas weselnie wesolych. Jesteś pan młody i za wszystko płacisz. Bardzo chcemy jechać autobusem san, bardzo tego pragniemy. On nas przecie odrywa od chodu i rzuca w lot. A lecieć nam trza, lecieć! Nic im na to nie rzekłem, a tylko jeszcze dalej odszedłem od domu weselnego z okiem wbitym w przestrzeń. Serce wypełnił rwący żal, bo ani ojca, ani matki, ani brata. Nikogo. I wtedy chciałem zobaczyć wszędzie kamienna pustynię i ciebie w niej z listkiem babka w prawicy. Poszlibyśmy sobie naprzeciw i ja bym wykrzyczał rwący żal. Ty jednostko wredna od małego, krzyczałbym, przybyłeś jednak, znalazłeś swego brata, który chciał ciebie ozłocić dobrą mową, ale już mu się nie chce, gwizdże na nią, ma ją głęboko w de. Nie zasłużyłeś na nią, i rację miał orędownik, że cię pognał w piętnastolecie życia, bo tylko zaśmierdzasz atmosferę rodzinną i wstyd chłopstwu mojemu przynosisz. A ty myślisz, że jak? Że co? Chłopstwo moje w garniturze elana jeszcze się bardziej odznacza, jeszcze większego mnie przydaje poloru, że aż się sama panna młoda dziwuje i pyta, czy czasem nie zamieniłem wieków, bo tyła masz tej chłopskosci, tyła rolnego szlifu, aż mnie to przeraża. Ty mnie zamiast kochaniem, mówi jeszcze, to burakiem obłożysz, krowie ogony sprezentujesz i w pysk lać będziesz. Boję się twojej chłopskosci, nienawidzę jej. No i co ty na to? Jak ty na tę chłopskość się zapatrujesz, ha? Ej, Aloś, Aloś. Nie taki diabeł straszny, jak go malują. Nie tknąłem jej nawet paluszkim, choć od ślubu minął kwartał. I nie tknę. Żeby tak wieczności nie doczekał, jak pic tu wstawiam i siebie wywyższam. Nie tknę. Bo ona mnie wyjątkowo kocha, w dostatku u boku mego chce żyć i byłbym ostatnia swołocz, gdybym to podeptał, zniszczył. Ty nas teraz jakąś radą wspomozesz, parę groszy dasz za wikt i opierunek, zawsze to dom, rodzina.

Zawsze.

Franek coś tam jeszcze pod nosem mrucał, ale muzyka radia Luksemburg rwała na strzępy i rzucała pod but. Tymek z Jaśka szedł pewnie murzyńskim drygiem, fruwał biodrami

jak chmura i kołował, wirował. Środkiem posuwał Zajc z Wisieńką–Kasieńką i niedźwiedziowatą nogą tupał, stukał, przez ząb w pokój sobie hukał.

Dobrze nam! Pięknie nam!

Tak on hukał. To napełniłem kieliszek i uniosłem w górę. Zapatrzyłem się w ten fruujący sen ud, który oblekło chybotliwe światło lampy, zapatrzyłem się jak żebrak bielmooki i twardo powiedziałem.

Franciszku. Ja wszystko dla wszystkich, rozumiesz? Chcę budować świat bez mitów i religii. Muszę. Dlatego kocham was miłością gołębia.

Wychył.

Pod nasze. Będziemy ciebie wspomagać równym sercem.

Chlup!

Hola, braty, hola, powiedział Zajc i zwałił się na krzesło. Za co pijecie?

Pijemy za miłość gołębia, rzekł Franek. Jak chcesz się przyłączyć, to raz.

A pewno. Dawaj.

I zachrypiał z radiem Lux.

Gołąbeczek z gołąbeczką stoją u dachówki,

A ja sobie, a ja sobie nabijam śrutówki!

A ja sobie, a ja sobie nabijam śrutówki!

Radio Lux zachrobotało i trzasnął gorący rytm. To był super gorący rytm. Tymek z Jaśką znieruchomieli w objęciach i chłonęli całym ciałem. A rytm łkał i znosił łady, światy, morza. Znosił serca w kupę wiara, w kupę znój i było tak jak nigdy, tak jak zawsze. Niewyraźalnie. To padłem opodal stoła na mebel kanapa, rozcapierzyłem palce i całkowicie się objawiłem. A objawiając się słowo po słowie budowałem złoty dom, złoty wiek, własny czas. I budowałem też milczenie moich słuchaczy wysoko, najwyżej. Mówiłem.

Moja droga wróżka powiedziała mi w śnie, że będę zdrowym cierpiętnikiem. Ale to nieprawda. Nie mogę być cierpiętnikiem, bo wierzę w gwiazdę miłości, wierzę w jej skrzydło, które muszę podnieść z błota i pięknie oczyścić. Bo już to wygnanie w Rajgród było zadośćuczynnym odkupieniem pierworodności. Jakże mógłbym dalej podążać, gdybym się nie oczyścił z win i przewin, gdybym nie wyświadczył dobrej przysługi pewnym ludziom o pewnym czasie. Los mnie tak dziwnie ustawił do egzystencji bliźnich, że widzę teraz jego ironię, jego kpę z doczesnych pragnień i wzlotów. Przypominam sobie to mgliste zawieszenie w domu wielkiego pisarza i jest mi wstyd, po prostu wstyd, że posłużono się mną jak tarczą. Ale wybaczam, bo pragnę dobra wszystkim ludzi i tej ożywczej pełni, zwanej życiopięśnią. Wybaczam. To nie dziwcie się moim deklaracjom na początku drogi, że będzie tak a tak, zrobię to i to. Każdy początek wymaga zapewnień i frazesów. Lecz ja przekroczyłem już próg dopuszczalnych możliwości, pokonałem dole–niedole. Jeśli będę się z wami cieszył i płakał, to nie znaczy, że całkowicie i bez reszty. O, do tego nie dojdzie. Zachowam sobie to jaskrawe wspomnienie tamtego czasu, w którym miałem być kluczem niewinności, a byłem... byłem... czymże to wreszcie byłem? Kim jestem? Może wygnańcem ptaków albo cherlawą częścią pieśni przeznaczenia? A może chłopcem klęczącym na grochu i dobrożabiącym gestem chwytającym Pana Boga za nogi? Czy też zdobywcą kosmosu et cetera, et cetera.

Jesteś technik prawdziwy i nadzieja tego domu, powiedział Franek. Twoje zdrowie.

Jeju, zawołała Jaśka. Jakiś ty niemądry, Aloś. Gadasz i gadasz, choć wiesz, co w trawie piszczy. Toż my też możemy pytać o jest i nie jest, ale nie zwracamy sobie głowy. Przy całej sympatii, jaką czuję do ciebie, wkradł się w moje serce cierń wątpienia. Czy aby on jest nasz człowiek, sobie myślę. Czy aby nie odpadł za daleko?

Moje dziecko, powiedziałem. Twoje myśli są tu najmniej ważne. Ja nie ignoruję wiedzy nabytej na kursach, szkołach i tym podobnych zakładach męki bożej. Nie ignoruję. Lecz tu



chodzi o sprawy o wiele ważniejsze niż rachunki i kalectwo homo humanus. Bo oto – mówiąc z poetycką – zjawiam się tu sam, pół miliona w torbie mam i myślę, jak się pozbyć ich. Myślę również o sobie samym pod plafonem chmur, że chcę się nimi ogarnąć i przeprowadzić miążdzący atak na pozycje wiecznego zdziwienia.

Co to takiego, spytał Franek.

To dziedzina twórczego odradzania się z popiołów. Tyle co feniks, a więcej niż ptactwo. Jeju. Więcej niż ptactwo.

Jak to mamy rozmieć, Aלו?

Tego to nie wiem. Może powinniście udziwnić siebie samych. Naprawdę nie wiem.

Bzdura, powiedział Tymek. Właśnie jako kaleki homo humanus znam granicę twórczych możliwości. Nie nabierzesz mnie na to. Zatańcujmy, Jasiu!

Tak powiedział. Zatańcujmy. Skłoniłem się przed Wiśką i ruszyliśmy w gorący rytm. Oczy chabr miałem u twarzy i ciarki mnie przeszły. Ciało dziewczyny łozinnie okręcało się wokół mnie, biczowało stroną sadu grusz. Ciało. I tak lecieliśmy w stronę sadu piękni oboje kwiatem paproć, zakochani aż do odprzytomnienia, zachłanni aż do ochłonięcia. Lecieliśmy w kraj zmyślony i nie zmyślony, bo ustawicznie ponawiany wołą życia i moją dziwną chorobą, z której powoli się wyzwalałem, nabierałem rumieńców, jednym słowem, trwałem. Jednym słowem, Wiśka ślicznie tańczyła. To przygarnąłem ją w ramiona cherlawe i szaleńczo powtarzałem. Jesteś mi wszystkim i niczym. Jesteś.

A głos jej jak wizg mew nad bałwanem wód.

Pytał i pytał.

Czy chcesz mnie brać i brać?

Brać i brać...

Czy chcesz mnie taką na wieki wieków?

Wieki wieków...

Czy chcesz mnie widzieć w balu bal?

W balu bal...

Czy chcesz mnie mową bzu osłodzić i zasłodzić?

Ośłodzić i zasłodzić...

Czy chcesz ty ze mną noga w nogę tupać i przetupać?

Tupać i przetupać...

Czy chcesz ty mój lament precz odlamentować?

Precz odlamentować...

Dobry brat. Miły brat. I lekko się odchyliła umykając w ramiona Zajca. Stałem w rytmie radia Lux i patrzyłem na to kołowanie przewiewne, odwiewne, na stół uszykowany ucztowo, bojowo, na brata Franciszka, który nad nami królował jak żaden władca na tej ziemi i gestem zapraszał, dzielił, miłował. Siadłem przy nim i zasłuchałem się w jego dobrozabiącą gadkę.

Powiadam ci, bracie Alosiu, że ty to ja. Powiadam ci to od samego przybycia i będę powiadał zawsze i wszędzie. Ty to ja. Ale brzmi, ale ma wydźwięk, co? A jeszcze niech dojdzie do tego jakieś trzecie, to już całkowicie będziemy pokryci i nic nam nie zabraknie. Będziemy sobie wymieniać poglądy i zbawiać się wzajemnie. Będziemy udawać małych, choć po ojcu przynależy nam wielkość na wieki wieków. A kiedy niestanie jej, to się oddamy czemu innemu. Ech, bracie Alosiu. Czym my to nie będziemy? Czym się nie wykażemy? Ech, bracie. Policzone so kroki nasze, jak mawia bufetowy Syr. Policzone jest chłopstwo nasze. I ubywa ich coraz więcej, coraz lepszych, że przyjdzie niedługo z latarnią szukać wioski z ludźmi młodość. Przyjdzie, powiadam.

Co przyjdzie, krzyknął nad mą głową Tymek. Na co przyjdzie? Ale odpowiedzi nie było. To Tymek nalał sobie wychylił. Następnie poprosił roztańczoną Wisio-Kasię Zajca mechanika, żeby wyłączyli radio Lux. Mam coś dla was coś o wiele lepszego niż przebój Europy, niż hit świata.

Co takiego, spytał Zajc. Bo jak picujesz, to zęby porachuję.

Gdzie bym śmiał waszą potężną dostojność oszukiwać, zaśmiał się Tymek. Albo rodzinę Rzep, której jestem dozgonym przyjacielem i biesiadnikiem. Nie, taki cham to ja już nie jestem. Szkodnikiem towarzyskim byłbym prędzej, niewdzięcznikiem stołu tego. O, superus, daj mi umiar!

Tymek, powiedziałem. Dlaczego używasz łaciny, choć wiesz, że język to martwy?

Właśnie dlatego, że martwy. Ja, braciszku, mam się do was jako ta pałeczka Prospera. Jak już stuknę, to stuknę, a jak nie stuknę, to nie stuknę.

Tymek wstał, zakołysał się nad stołem i lewą rękę wsadził za pazuchę. Szarpnął i na światło wyleciał plik zmiętoszonych kart. Dzierżył je w dłoni jak pochodnię.

Znowu jakieś mecyje natury umysłowej, powiedział Zajc. Czy ty naprawdę chcesz, żebym ja tobie zęby porachował raz na zawsze?

Wasza potężna dostojność będzie łaskawa stulić pysk, rzekł Tymek. I słuchać będzie łaskawa tego, co odczytam ku pamięci życia i na cześć przyjaciela Alosia. Karty te pokryte są pismem mak, żeby się nie znarowiły możliwości tematu. Postawiłem w nim kwestie zasadnicze dwa lata temu, kiedy byłem jeszcze studentem i charakter mój był w stanie cieczy. Sądzę, że stoją nadal i cierpliwie czekają na odsłonięcie. Czy ktoś z was jest przeciw odsłonięciu kwestii zasadniczych?

Popatrzyłem na twarze użytkowników biesiadnego stoła. Niewiele z nich mogłem wyczytać ponad to swoiste ośpienie i wszechbijającą nudę. Jedynie złoci kochankowie jakby się gorejącym okiem uzupełnili, dotrwali u wysokości zadania i przyzwalająco kiwali głowami. Zresztą Tymek nie zwracał uwagi, rzucił karty w resztę mięsa, wygładził i powiedział.

Nalejcie mi wódki.

Uczyliem. Wychylił i monotonnym głosem rozpoczął odsłonę pisma mak.

## ZAGADNIENIE EPOKI

Muszę od razu na wstępie powiedzieć, że zagadnienie wcale nie umarło i stoi. Bo zdarza się, że zagadnienia kończą zwyczajną śmiercią uliczną i przechodzeń mijając to miejsce bije się z uciechy po łydkach. Jest to charakterystyczne dla ludzi, których tu będę nazywał wiarą dobroduszną. Pragnę również zaznaczyć, że moje wyznanie należy rozpatrywać w kontekście marszu wiary dobroduszej, gdyż on pozwala im spłynąć po strumieniu świadomości w beczkę przeżyć typu miraż. A są to przeżycia zapętlone epoką w stopniu najwyższym. Bo jak Kandyd, czyli optymizm XX wieku, wędrował za rzeczą swą, tak on, którego nazywam Boanerges, wędrował do nikąd bez wychnienia i zapłaty. Ale taki już los dziecięcia atomu i darmo się nad nim wzruszać. Nie uzna tego.

Boanerges należał do tych, którzy uważają, że przed snem dobrze jest zjeść jabłko i zmówić pacierz. Z tym pacierzem to było różnie. Zdarzały się dni, kiedy słowa jak biedronki leciały do nieba i Boanerges był pełen cnoty. Ale też bywało (i to coraz częściej), że modlitwa wędła mu w gardle i z wydzieloną pogardą leciała do kubła. Wtedy to wolno, acz stopniowo, Boanerges tracił wiarę i odrzucał jabłko przedwczesne. Godzi się też nadmienić, że był synem chłopskim i zdobywał wiedzę uniwersytecką z tak zwanym uporem, ale nie pasją. Prawdopodobnie jego dziadek, błogosławiąc go na pierwszą w historii rodu wycieczkę w biblioteczne mszały, miał się wyrazić: Synu, nie opuszczaj nas! Byłoby to jako-takim wytłumaczeniem dalszej doli dziecięcia atomu. Dzień, w którym Boanerges dostał fisia, był wyjątkowo nagrany i pokój akademika Id tonął w słonecznym świetle. Pamiętam, że szykowałem się do wybiegu i czyściłem buty, kiedy on zerwał się z łóżka i uderzeniem pięści rozwalił tylną ścianę szafy ubraniowej. Następnie skoczył do okna i rozkrzyżowałszy ramiona zawył ni to w jęk, ni to w śmiech. Stał tak wstrząsany spazmatycznym drganiem do

chwili, kiedy jeden ze współmieszkańców nie rozpoczął sprośnej oracji i pod adresem chłopstwa i jego psich synów. Wtedy Boanerges wlaź pod łożę i pozostał tam do późnych godzin nocnych. Noc go urodziła, noc go wyzwoliła, jakby powiedział któryś z wielkich pisarzy, zakopując głaz przeznaczenia pod krzakiem jaśmin.

Było jasne. Boanerges zwariował. Wychodziliśmy na zajęcia wszelkiego rodzaju i znoju, a on w tym czasie pracował nad wolną wolą, wykreślał kręgi, pisał do wielkich tego świata. Pracował ciężko, ale wydajnie. Listy do osób znanych i nieznanymi wypełniły brulion w ciągu dwóch dni. Petycje, odezwy, przemówienia, naszpikowane miłością bliźniego, powstawały od strzepnięcia pióra. Jednym słowem, Boanerges poczuł się odpowiedzialny za losy świata. W liście do Przewodniczącego Rady Państwa pisał, że nie jest mącicielem umysłów, ale poważnym człowiekiem, którego niepokoi masowe wymieranie ryb wód słodkich. Drogi Panie Przewodniczący – pisał – jako obywatel, student i syn chłopski, domagam się natychmiastowego przeciwdziałania wandalstwu naszego wieku. Widzę w niszczeniu naturalnego środowiska własnych ideałów, którymi byłem karmiony od kołyski. Już pierwszy upadek w ściernie pszeniczną związał mnie nierozdzielnie z Naturą, a to, jak Panu Przewodniczącemu wiadomo z nauk społecznych, jest więcej niż zew krwi. Wszyscy pochodzimy od Niej i jej unicestwienie to nasz ostateczny koniec. W tej sytuacji dalsza fabrykacja piorunujących mieszanek chemo jest niedopuszczalna. W Pańskich rękach jest rzeźba mojego pokolenia, którego cherlawość stała się przysłowiowa i piękno Homo może być poważnie naruszone. Z wyrazami szacunku i oddania Boanerges D.

Student

W innych listach metafizyka zagrożenia była osnuta dymem stosu całopalenia. Na przykład list do profesora Instytutu Filozofii UW zaczynał się następująco.

Nazywaj mnie Boanerges!

Wielce Łaskawy Profesorze, z wielkim zdziwieniem przeczytałem artykuł Pański w dwutygodniku Fakty i Myśli na temat humanizmu bez granic. Nie jestem obywatel Herzog i obco czuję się w rekwizytorniach współczesnego świata. Jednakże Pańskie autorytatywne stwierdzenie, że humanizm bez granic jest społecznie pożądany i oczekiwany, napawa mnie określonym niepokojem. Mianowicie. Osobiście nie odczuwam braku humanizmu i to już świadczy o niespójności Pańskiej tezy. Jako jednostka pełna i skończona, wątpię w skuteczność hasła, którym szermuje Pan z pewnością akademika. Ponieważ, i tu Wielce Łaskawy Profesorze odślonię swą myśl, każde hasło skazane jest na obojętność wiary dobroduszej. Mało – na obojętność. Na odarcie z sensów, którymi wykształcony człowiek okrywa swój goły kadłub. Postulaty tego rodzaju są dla milionów pobożnym życzeniem bycia w niebycie. Profesorze, myśl nowoczesna wymaga programu nie w głąb duszy, ale w granicach zdrowego rozsądku. Jeśli nie uporamy się ze swoimi nędznymi mitami, to zaleje nas strach przed technicznymi monstrami rodem z science fiction. Kondycja ludzka ma to do siebie, że w rozwój pion ciągnie resztę strony poziom i wcale jej to nie przeszkadza. Gdybyśmy sobie uprzytamniiali na każdym kroku istnienie lęku, to owe wspaniałości ziemi nie zostałyby nigdy zrealizowane. Zniżanie się do tak banalnej prawdy nie jest ujmą, lecz przynosi konkretne rozeznanie dalszych poczynąń. Pan, Profesorze, buja na kaflu abstrakcji, choć ukwieca Pan swoje wywody przykładami z życia i historii. Ależ Wielce Łaskawy Profesorze! Nie można się aż tak zapominać adresując swe przekonania do czytelników o mniejszej i większej chłonności intelektualnej. Dojdzie niedługo do tego, że pierwszy lepszy ulicznik, zwany laikiem, będzie zbijał z pantafelki uznanych ministrów monarchini i łyzy mogą się polać za czasem pierwszych świetności. Nie mówmy więc, że humanizm bez granic to lepsza, bardziej udana forma humanizmu socjalistycznego. Humanizm znaczy kultura i roztrząsanie przy świetle księżyca możliwego kroku Wspólnoty, kiedy został on już postawiony, cuchnie niemowlakiem. Zauważam to na marginesie mego pisma, ponieważ jestem wewnętrznie przekonany, że Pan nie czuje się odpowiedzialny za słowo. A to już

wystarczy do obalenia generalnej tezy Pańskiego artykułu i statecznego udania się na ryby wód słodkich, których ilość w zastraszający sposób ulega zmniejszeniu. Jednak nie zrobię tego i z szacunkiem schylam głowę nad Pańska serdeczna droga.

Vita nostra brevis est, Wielce Łaskawy Profesorze, i o tym sprawiedliwy pamięta zawsze i wszędzie. Ja na przykład nie odczuwam przepływu czasu, ale to wynika z lat, których dwadzieścia dwa sobie liczę. Lecz i tak muszę nurzać stopy w potoku terażniejszości, a co mówić o tych, którzy pławią się w nim bez względu na to, czy biała tkanka pękła u wody, czy została na brzegu. Biała tkanka, Profesorze. To oczywiście zastanawia, dlaczego biała tkanka jest wyrazem życia. Piszmy dalej. Jak powiedział jeden z wielkich, że każdy z nas jest pasterzem bytu i oczekuje odpowiedzi na posłanie, tak i ja oczekuję odpowiedzi na pytania, które ośmielam się załączyć w niniejszym piśmie. Oto one.

Dlaczego współczesna filozofia nie jest kagańcem światła w labiryncie jednostka–instytucja?

Dlaczego mętniactwo, które graniczy z niewiedzą, jest chlebem codziennym ministrów królowej nauk?

Dlaczego pisarstwo bieżące (mam na myśli beletrystykę, dramat i poezję kaprysu) mędrkuje nad myślą dla siebie i bytem dla innych = piekło?

Dlaczego muszę się trapić rzeczami ostatecznymi w dwudziestej drugiej wiosnie życia? I dlaczego wojny na dalekim i bliskim wschodzie wywołują we mnie już tylko znużenie, choć w interesie pokoju protestuję i protestuję? To są pytania, na które Pan powinien dać odpowiedź. Jednak obawiam się, że skwituje to Pan wzruszeniem ramion i powróci do historii filozofii widzianej z lotu ptaka. A przecież każdy lot jest skierowany ku niebu i pasterz bytu z rozkoszą wyfruwa ze swego posiania, żeby podbić obłok Magellana. Słucham więc Pańskiego słowa. Z twórczym pozdrowieniem kreśli się Boanerges D.

Student

Wszystkie petycje, odezwy i listy zostały zniszczone. Boanerges palił nad stołem i rechotał w otoku płomieni. Kupki popiołu wyrzucał na wiatr, który porywał i niósł przed siebie. Udało mi się skraść jeden z listów do Nieznanej, w którym Boanerges zdumiał mnie swoją wrażliwością i refleksją. Wtedy sobie pomyślałem, że w tym jest coś więcej niż wariactwo, niż zatracenie. Pozwolę go sobie przytoczyć w całości, żebyście mogli odczuć potęgę słowa tworzonego.

Nazywaj mnie Boanerges!

Pięknotyła. Od dwóch dni jestem w stanie dziwnego zawieszenia, który popularnie nazywają lekkokopnięciem. Jednak zaręczam moją prawdziwość tym oto pismem i wszelkie hipotezy natury porządkującej upadają. Sprawą moją jest dać rzeczy odpowiednie słowo, jak pisał poeta, i spróbuję to zrobić możliwie dobitnie. Pięknotyła. Tęsknota nasza do niewinności okazała się fikcją, że nie powiem groźną w skutkach zasadą walki o byt. Oddaje to znakomicie myśl nieuczesa przy porannej toalecie, której człon podstawowy brzmi: Życie to wina – rzekł ptasznik do jastrzębia sięc zarzucając. Rozwijając to na nowoczesne społeczeństwa naszej epoki stwierdzamy: Pięknie jest, że drugie nie jest. Stąd moje zaniepokojenie w pokoju akademika Id własną kondycją i zdrowiem bliźnich. Dlatego będę się starał objawić, nim trzeci kur zapieje.

Pięknotyła. Ostatnie dwa dni spędziłem na silnym przeżywaniu świata widzianego. Z okna oglądam ścianę bloku świeżo otynkowanego oraz uliczną rzekę pojazdów mechanicznych. Jako syn chłopski, rosnący w cieniu chłopskich ogonów i ciszy nadpolnej, nie mogę za cholere przyswoić sobie tej rzeki, a to powoduje nie spotykana u mnie chandrę, która zbiera się w kącie pokoju i w każdej chwili może wybuchnąć. Spieszno mi więc do Ciebie choćby przez papier, którym okleję twoje święte pośladki dla przysłowiewnego dobrze. Pomyśl tylko, że byłbym pierwszym, który przez papier wszedłby w twoje boskie łono. Ale ad rem, czyli do rzeczy. Wczoraj z czwartego piętra wyskoczył facet i rozbił się na bruku. Było to wspaniałe

widowisko. Pojazdy kołowe stanęły na całej długości ulicy. Po szybach iskało słońce i blask bił jak karnawałowy fajerwerk. Sylwety sprawiedliwych zmalowały nad trupem i było jasne, że gdzieś zagubiły swoją urodę, choć i żywa gestykulacja uspokajała mój nerw. Bo ja byłem roztrzęsiony samym lotem, który objawił mi się w potęgze lat dziecińczych. Gdyż facet lecąc grzbietem wyraźnie przypominał koszące runięcie latawca. A ja już od tak dawna śniłem o swoim latawcu, że w sekundach, w których on sięgał raju, stanąłem sumiennie w obliczu źródła i zanurzyłem w nim stopy. To była rozkosz nie spotykana i nie–liczona stać w nim i prawicą łapać horyzont. Znasz to przecie, bo często na swe ofiary spuszczałaś horyzont i tak oślepyłych rzucałaś w świat daleki. Ale ze mną było inaczej, jaśniej. Ze mną był tylko dziecińczy przestach, że mogę nie zdążyć na miejsce wezwania. To popędzałem to wytęsknienie, jak mogłem, i równo z upadkiem faceta runąłem twarzą w ożywczy strumień. I zapomniałem się jak u rzeczy dowiedzionej, zanikłem. I stało się wszystko lekkowazące, nierealne, fantazją na wiatr i ptaki, udaremniwym zdziwieniem. Stało się choć wszędzie tętniło życie, sprawiedliwi wracali do pojazdów kołowych i słońce bujało po domach, ulicach. Na miejsce wypadku przybyła służba zdrowia. Padały nieartykułowane dźwięki, trzaskaty drzwi. Odjechali środkiem kamiennej rzeki. Kurz i trucizna kładły siny pas, choć stało się... fantazja... ptaki.

Że nic, tak tylko sobie frunąłem w potęgę lat dziecińczych i Ty wybac, przebac, miej na uwadze to udaremnione zdziwienie u źródła rzeczy dowiedzionej, znaj tak, jak ja poznałem. Wygadaj, wygadaj, ach. Boanerges, wygadaj to znane i nieznanne, żeby już nigdy nie oglądać miejsca wezwań, nie oglądać tego wyrazu, który mógłby się wryć w pamięć jak żadna miłość, jak każda dobroć. Ach, Boanerges. Wygadaj za poetą to przerażone nie–oddanie. Wygadaj.

dla ciebie piszę miłość  
ja bez nazwiska  
zwierzę bezsenne  
piszę przerażony  
sam wobec Ciebie  
której na imię Być  
ja mięso modlitwy  
której Ty jesteś ptakiem  
z warg spływa  
kropla alkoholu  
w niej wszystkie słońca i gwiazdy  
jedynie słońce tej pory  
z warg spływa  
kropla krwi  
i gdzie twój język  
który by koił ból  
wynikły z przegryzionego  
słowa kocham

Tak. Tak! Ból wynikły z przegryzionego słowa kocham, który tobie zanoszę. Pięknotyła, tobie składam i napowietrznie całuję sen ud. Bo jutro będę nie ten sam, jutro będę daleko od źródeł, źróderek, od płam, plameczek. Jutro będę na jasnej jawie. Sam. To sfruń w potęgę mych lat i tradycją wiecznego liryzmu opleć nasze lędźwie. Sfruń.

Pięknotyła. Nie ma już źródła, nie ma marzeń, pozostał tylko ten ból, który nieodmiennie porywa nas ku przyszłości i otula spazmem przerwanej harmonii. Nie chcę odchodzić w niepamięć traw chcę pozostać w linii twego wzroku, żebyś mógł wolną wolą dojść zagadnienia epoki. A jest nim tożsamość świata i siebie, jest nim wiecznie budzony wieszczek

Epi, który oznajmia konchą przybycie dobrego bóstwa i robi mu miejsce wśród ludzi. A kiedy Matka Ziemia zajmie swój tron i skinie na akrobatki zwieszane u rogów byka i rozpocznie się święty taniec, podniebny płas, ja, ty, my wszyscy odnajdziemy wreszcie skarb labiryntu i Epi zaśnie wtedy na zawsze, choć nie mam pojęcia, co to oznacza. Dlatego piszę do ciebie, że

Ciemność ciemniej znow za oknem  
powiek  
Bo, gdy przejrzeć miłością zasłużył  
Pękła kość wzroku patrzącego w płomień  
Żywego ciała prawdziwej róży.

Dlaczego chcę ciebie ucałować splekaną wargą i się oddalić. Wybacz. Oddalę się na długość światła lampy pokoju.

Twój mały książę Boanerges D.

Student

Tak zakończony został list do Nieznanej, który zachowuję jak najdroższą relikwię. On jest rękojmią, że Boanerges nie był wariatem i obłądna odpowiedzialność za losy świata wzięła się z prawa wynikania. Wprowadziłem ten termin po to, abyśmy wspólnie się zastanowili, czy zdania empirii wynikają logicznie z koniunkcji zadań teoretycznych i aksjologicznych. Oczywiście, nie chcę tu dochodzić zagadnienia epoki, czyli tożsamości świata i siebie, a jedynie zwrócić uwagę na ostre widzenie treści, które Boanerges dostrzegł w szarej codzienności. Bo że dostrzegał i był nimi przejęty, to nie podlega zdaniom teoretycznym. Jednakże musimy mieć pewność, że to było czymś więcej od szukania ze świeczką w biały dzień Dobrego Człowieka, a czymś mniej od pieśni przeznaczenia. Dlatego nie od rzeczy będzie tu pokazanie jednej z chwil tego podwójnego życia, w którym Boanerges z nie spotykanym przedziwnieniem kontynuował fantastyczny sen pieśniarza Epi.

W akademiku Id piło się dużo i dobrze. Szczególnie początek każdego semestru był skąpany oczarowaniem Bachusa. Właśnie historia naszego przyjaciela przypada na semestr wiosenny, w którym słońce, dziewczyna i wino jednoczą szeregi braci żakowskiej. Jeśli w kraju Nigdzie małe chłanie kończyło się wielkim mordobiciem, to odwrotnością tego twierdzenia jest średnie picie w środku Europy, kraj Polska, dom studencki Id w porze wieczoru pełnego swoistego wizgu i gorączki. Tak jak mówię, piło się dużo i dobrze. Boanerges był zachwycony baterią butelek i klęcząc na łożu dziękował Ojcu Panu za jego dary. Niektórzy z lekka pokpiwali z euforycznego zatracenia, ale w granicach przyzwoitego koleżeństwa, bo nikt nie traktował poważnie bazgraniny natychmiast palonej i rozsiewanej na wietrze. Mówiło się o wszystkim i niczym, choć każdy poczuwał się do roli homo humanus i mógł nieskończenie rozprawiać o właściwościach czasu i przestrzeni. Któż jednak w moment upragnionej nieważkości chciałby rozpląnąć się w bezimiennym krzyku? A jednak Boanerges dokonał tego w pozycji horyzontalnej, otulony tęczą koca i fantazjotwórczym głosem dyszkant. Dokonał rzeczy, którą ja, niemy świadek, mogę tautologią stopnia dwa zobrazować tusząc, że będziecie mi wdzięczni za skrawek ostrza wbitego w drzewo Syna Gromu. Gdyż on sam, który mienił się odpowiedzialnością za losy świata w bolesnym rozbłysku wyjawiał mi to tak nagle, że omal nierealnym wydał się milczeniem. A przecież mówił, śmiał się, cierpiał z wolna znikając w dymie tanich papierosów, aż wreszcie stał się tym, którego nazywam Boanerges.

Więc byłem na filmie, tytułu nie pamiętam, ale muzykę. O, muzykę rozbudzonych kwiatów, która mnie unieważniła, starła z powierzchni, szedłem w nią z wyciągniętymi rękoma jak straceniec, dziecię atom, szedłem bez czucia i wzniosłości, dziecię atom widzi bieg elektronów, rozumie się przecież, że szedłem, a nie płynąłem, i jak nie trzaśnie, nie-rozbudzi dziejowy płas, a ja w naturze, w myśli, zupełnie nie przygotowany na ten trzask, na mur-beton rozpalony, jak nie trzaśnie kwiat, nie obejmie mych skrwawionych rąk, ty gdzie,

beton rozpalony, jak nie trzaśnie kwiat, nie obejmie mych skrwawionych rąk, ty gdzie, ty precz, ty mnie nie uwznioślaj miłością niepodzielną, bo mnie tego nie trzeba, mnie sperma odczaruje, zaczaruje. Ty Gdzie?! A on mi dalej gra unieważnienie, już na całego, już na amen gra i gra, że nie wiem co, że sam nie sam, bo jeśli tak gra, to w coś, dość, mówię, idź z tym w diabły, mnie nie trzeba żadnych wzruszeń, ja jak zechcę zamuzyczyć, to na pasji i, jak mówię, kosmos wcale nie przestraszy. Dość. Dość! Jestem tu. Jestem w byłem. A ten gra. A ten gra. To ja w ten dziejów płas turlam, depczę, kombinuję, no bo jakże kiedy gra, kiedy unieważniam się, dobra nasza, skokiem–bokiem, kwiat na rękę unieważniam ja. Hohoho. Dziejów płas. I tak w głód mój dziecinny skoczył promienniście, no jak, krzyczy, ty z bicza trzaśnięty, hołotko niedouczone, krzyczy, wyjdziemy jej na spotkanie bez lelum–polelum, złapiemy za pysk i dawaj w gnój. Nie, mówię, białokostna ona jest i mam ją u serca, będę miał i w sercu, ale muzyka. O, muzyka kwiatu tego! O, radości z dotykania cudownej bryły chryzolitów nie zastąpi żaden ton. Precz, wyklęty synu! Albo stój. Na kolana, w proch i żarliwy szept miłości rzuć na ścianę fiolet. Pospiesz się, capiobrody, bo odchodzę na ogrody. Wygarnij. Czeka, krzyczy, chłopku dostojny. Stańże na wprost jak przed resztą ołtarzy. Chachacha. Zbrodni na Bogu dokonano już tak dawno, że zapomniałem sensu wiary. Ty się ze mną jednaj głupcze, mnie ocałuj, ja cię w tej metafizyczności skąpię, zmydlę, zrobię z ciebie czyste szczęście, mnie to nic, maleńkie piwo i już będziesz ubóstwiony. Czeka, durniu, radę dam. Najpierw sobie pomyśl ogół, społeczeństwo, w którym każda ztoto–pszczoła wszechdoskonałością dziejów spięta nie chce wcale twojej krzywdy, ale na ogrodach będziesz sam, będziesz skromnym falowaniem, kiedy tu Doskonałe–wypełnienie w ton po ósm – po pięć leci, gra, czyż to, pytam, jest to zło, że Waszecią trzęsie już? Może Waszec nie pojmujesz, co pod gruszą szemrze, lka? Ale dureń, jak nędza, stój, poczekaj, dam ci soki ziemi, wiary, będziesz w tym pragnienia gasił, no poczekaj, no pogadaj. Krzyknał. Te ogrody niebieszczące piosnką bohaterów. Jestem z wami, jestem ciągle. Może byłem na początku i was tylko przemieniłem w cudowną bryłę chryzolitów? Może przemieniony sam zapomniałem was wymyślić? Ale co tam, już wróciłem i na harfie brzdąknę hymn księżęcia. Wy, ogrody, mnie słuchajcie w hymnie wyciszonym słońcem. Byłem ja daleko, tak daleko, skąd już ból nie dochodzi i pastusza fujarka ginie w czasie, ginie w rosie. Wędrowałem po górach i dolinach za piosenką bohaterów, wędrowałem jak to boże dziecię uskrzydłone łaską Ojca. Tylko mi gdzieś łaska znikła, spłynęła potokiem i musiałem gałązką jaśminu leczyć rany. Spotykanych ludzi pozdrawiałem okrzykiem.

Niech żyje pieśń!

Okrzykiem. A oni całowali mój ślad i mówili między sobą. Powiedział. Niech żyje pieśń. Czy nie jest on wysłannikiem przyszłych bogów? Może przychodzi od nich z dobrymi wieściami, których jesteśmy tak spragnieni? A może niesie w rękę ideał większy od ziaren morskiego piasku? Dobry byłby to wysłannik, warty miejsca u ogniska. Mógłby u nas pozostać i przepowiadać wypełnienie, mógłby ogarnąć się naszą winą, kiedy już nie poczuwamy się do niej od tego kroku w noc księżycową i sprzedamy ją choćby za namiastkę wypełnienia. Więc biegnijmy za nim, niech powraca, zasiada i głosi, głosi, przegłasza nasz zbiorowy okrzyk.

Niech żyje pieśń!

Tak mówili. Ale ja byłem zawsze daleko, zawsze przy tej piosnce bohaterów, której nigdzie nie mogłem spotkać. Wreszcie zacząłem się niepokoić, moja łagodność przeobraziła się w gniew, bo ileż to można wędrować po górach i dolinach, ileż kurzu miałem połykać, żeby się spełnił normalny dzień mojego szczęścia. Nie, nie pójdę dalej. Odnajdę moje niebieszczące ogrody i zatracę się w nich do rozblysku.

Wy, ogrody, posłuchajcie mój hymn. wyciszony słońcem, bo jest on ponad dziecinny przestachem, ponad moją łagodnością i pieśnią. Posłuchajcie tego żarliwego szeptu, którym otulę wasze niebieszczanie, udaremnię napór burzy. Oto przychodzę do was ja, księżę

rozbłysku, przychodzę z białokostną postacią w oku i chcę ją tutaj utracić, chcę bez litości wziąć pod but, żebym mógł oglądać moją gwiazdę w wiecznej okazałości i nie uronił najmniejszej promieniowoci jej światła. Wyrzucę białokostną mękę w sieć traw, a wy, trawy moich ogrodów, zabijecie ją uderzeniem fali. Wtedy nic już nie przeszkodzi w szukaniu piosnki bohaterów, nikt nie oznajmi, że księżę rozbłysku zaślepi w milczeniu. Wy, ogrody, falujące piosnką bohaterów, której szukałem długo i niepotrzebnie. Falujecie moim realnym światem i czynicie mnie jego wolnością. W poszumie drzew słyszę wasz dobrotliwy zew świętego miejsca, czuję życie symbolu, widzę prochy strażników. Rzucacie mi sznur gwiazd, którym okręcam szyję, unoszę się ponad wiatr i niknę w rozbłysku własnego imienia. Ja. Kończę.

A było to wypowiedziane fantazjotwórczym głosem dyszkant, więc rozumie się, że byliśmy jak porażeni i czekaliśmy na dalsze. Niestety. Boanerges popadł w odrętwienie, na kredowej gębie pojawiły się krople potu, ciężko oddychał, w ogóle robił wrażenie straszliwie zmęczonego. No to daliśmy spokój, ja nawet powiedziałem coś o głazie przeznaczenia, że on go niby przyciska, nie pamiętam oczywiście, no i piliśmy dalej, wódkę już, bo wina zabrakło, wódka w Delikatesach była na kubiki czy coś koło tej miary. No i później Boanerges wstał, ale najpierw to żeśmy odśpiewali Boże coś Polskę, my niby, studenci bez kielbie we łbie, a śpiewane było na stojąco jak w kościele, bo to jest taka modlitwa wszystkich pokoleń to Boże coś Polskę, no i zabawnie to brzmiało, bo w tym śpiewie jakiś historyk darł na sobie odzież, a my śpiewali przez tak liczne wieki, choć nikt z nas tych wieków nie oglądał, ale śpiewali i już. Zaraz wstał Boanerges i pyta, co jest, czy jak jest, no tak pyta, bo noc nadeszła i pięknie świecił jarzeń. Id, powiadam, w Id jesteśmy wszyscy i chodź w koło, no niezupełnie to było koło, ale coś z tego miało nasze towarzyszo. bo dwóch psychologów mieliśmy w pokoju, którzy o kole jako wyrazie duszy, i cytowali tych różnych wybitnych, a my nic, niech będzie i koło, nie pierwszy raz, no i zaraz Boanerges kazał sobie szklankę tej wódki, wypił ją i nic, powiada, nic nie będzie z niebieskich ogrodów i huknął nad nami orzeł biały. I ruszył. My za nim na korytarz, na ulicę wychodzimy, światło jarzeń nad nami dynda, drzemy się w tej obcoplemiennej balladzie, że aż wiara dobrodusznna zaczyna sarkać, no tacy tam różni, którym spieszo do wątrobianej bliźniego, a szedł przy mnie kumpel filolog i Różewiczem im zaczął bluzgać, no takimi wierszami, ale żadnego echa, i kastetem by w nich, jak śpiewał zwalisty Wołodia w pewnym wielkim czasie, to może by się uniewinnili, a on wierszami jak kością niemożnością, ten kumpel filolog, oczywiście. Zaraz też było Wzgórze Partyzantów, taki kopiec betonowy, w którym hodują pieczarki tacy tam prywaciarze, inaczej odpad klasowy, wchodzimy tam sobie, za nami procesja różnobarwna i krzyczą zewsząd, że królowę uśmiechu trzeba wybrać, no taką jedną z dołączkami i ciałem balsam i już na schodach rząd ich, Boanerges patrzy i patrzy, to, powiada, niewolnice Pięknotylej, a nie królowe, protestuję, nie pozwalam, tak powiada on do nas, ale na schodach, takiej imitacji z filmu Potiomkina, wybierają królowę uśmiechu po kolei, no w taki sposób defiladowy, w oklaskach tłumu, i która najwięcej zbierze, to ma tron i resztę, dużo bardzo tych ciał balsam chce na nim siedzieć, pochodnie płoną, bo to... to... Ach, powiada on, czyli Boanerges, jak tu śmierdzi skóra żywca. Idźmy precz. Lecz koła już nie ma, rozerwane, strzęp, jedno ogniwo to on i ja, taka dwójka zgonna nie zgonna. On i Ja. Trzask pochodni, wrywam jakiejś cherlawej jednostce ognisty pręg, jest, powiadam, już ogień jest, a Boanerges aż przysiada, no tak się cieszy z tego ognia i z nim biegiem po tych schodach, tu ta defilada balsamowsza w rozklaskaniu, a my gnamy, uciekamy w bulwar Pokój, no w tym stylu goniących się ślepców. Do siebie. Od siebie. Już tylko czuję swąd głowni. Boanerges, krzyczę, Boanerges, czekaj. Ja tam. Gdzie tam? Ty gdzie tam?! No tak krzyczę, bo znikł, przepadł, co za przekłeta noc. Homo przepadł. I tak biegam po tym bulwarze Pokój jak szczur okrętowy, Boże jęczę, homo przepadł, tam gdzieś zawisł, Boże ty mój, a z tych schodów balsamowszych krzyki, śmiechy, sensu tron. A ja biegam i biegam mroczny cały. Wreszcie powracam pod schody i widzę, że



królowa jest, taka z dołeczkami, ale królowa, i hołd wszyscy oddają z rękami w niebo, to ja też rękę w niebo i oddaję, a wszędzie krzyczą Hybla, Hybla, to ja też Hybla, Hybla i wszyscy w tysiąc gardeł pięknie galopują w tym Hybla, Hybla. A moja ręka najdłuższa, krzyk najgłośniejszy, bo prosto w serce tego, którego nazywam Boanerges, no tak po prostu nacelowana ani drgnie, że mnie samego to nie dziwi i krzyczę najgłośniejszym jak mogę. Hybla! Hybla!

Do ostatka.

A później na tych schodach nie było nikogo, to znaczy ja byłem sam i więcej nikogo, i noc taka, że nie wiem, siedzę i na tych pozłotkach, tam tego była masa, no tych różnych nierzeczywistości, a ja siedzę, siedzę i medytuję, no takie myśli mam z przemijania, trwania, że niby wszystko po kolei idzie, ot zatracenie zwyczajne, niech to diabli, myślę, czy ja już nie mam wyrazu, czy ja już jestem swołocz towarowa, no i zaraz on się pojawił, ten wyraz oczywiście, na dole tych schodów stoi i błyska latarnią z pozycji de profundis i gada, gada, mnie serce bije jak młotem, a on gada.

Wielkie gada.

Ty szczerze, miłopierdziu, kruczyjaju, hołoto–niecnoto. Wszo. Ja robię i robię u gryzba pieczarka, żeby jeść mieli. To. Przychodzą i niszczą ten spokój, jebana ich tfu! Spieprzaj stąd, wynoś się. Bo. Zarznię, zarzniemy i będziesz jak w raj. Ty!

Tak gada.

To ja po tych schodach łubudu, ten jeszcze za mną przytupał, o tak Tup Tup Tup, no i zaraz był bulwar Pokoju, oświetlenie, w ogóle porządek odpowiedni, już było po wyrazie i szło lekko jakoś, fajnie, nawet dusza nie piszczała ab ovo, no, o tych tam początkach naszej chwały. Się szło do swego ogrodu.

Cisza stała. Taka dziwnie strojona na wysoki ton. Bo nawet Wiśka Syr przez to czytanie trzymała się odpowiednio. I Zajc mechanik. A złoci kochankowie to już nie mówię. Oniemienie. Więc co było robić. Tymek złożył te karty i za okno. Poleciały. Trochu zbladły był, ale wychylił setę i wrócił do normy. Zaśmiał się i powiedział. Po łacinie. Ver ba pro verbis.

Tak powiedział. To ja już chciałem mu zwrócić uwagę o tej martwicy, ale Jaśka mnie ubiegła. Ona spytała.

A z Boanergesem to jak. Naprawdę przepadł?

Naprawdę, powiedział Tymek. Od tej nocy nikt go nie oglądał. Zresztą ja zaraz wyjechałem i zabrakło podstawowego ogniwa. Bo on ze mną się kolegował.

Różnymi drogami życie człowieka chodzi, rzekł na to Franek. My tu się weselimy, radujemy, a gdzieś tam spada bomba, ktoś wariuje, umiera! Oj, różnie to jest. Różnie. Jak na ostatnim zebraniu obywatel Gniadoch powiedział o tej wyspie na Pacyfiku, to ludność zbaraniała. Dosłownie. Wszystkim było ni w pięć, ni w dziesięć, bo Gniadoch człek bywały i mógł świadomie każdego wystrychnąć na dudka. Więc wstał prezes Furmanek i mówi tak. Towarzysze i obywatele. Nie nam zajmować się wyspami Pacyfika, bo i wiedzy w tym kierunku brakuje, i los nie taki. Patrzmy, z czego żyjemy. Ja człowiek na funkcji i ostro widzę braki życia społecznego. Skupmy się i pomyślmy nad przyszłością wioski do roku dwutysięcznego. To wam z całej duszy radzę. Skupmy się.

Wkurzacie mnie tym gadaniem, powiedział Zajc. Chyba przyszedłem oblać Alosiowe zwycięstwo, nie? To w jakąś mać mam słuchać czytania i gadania. W jaką?

Słusznie gadasz, krzyknęła Wiśka. Dobrze gadasz.

No to mówię dalej. Na ostatnim zebraniu nie byłem i nie wiem, o czym tam stała mowa. Ale tu jestem i uszy moje słyszą wszystko. Tymek sobie myślał, że drapnął wolnych słuchaczy. Niech będzie. Ale ja i tak mu zęby porachuję. Muszę porachować, bo mnie wnerwia od początku. Choćby to używanie łaciny. Kto ciebie uprawnił wtykać martwe języki do naszego? Na jakiej prawnej podstawie opiera się twoje twierdzenie, że życie kreuje

historię? Za to też zęby porachuję. Za to i za krakanie o wszystkim i niczym. Pies cię jebał, inteligencje gnojem podszyty. Porachuję!

Ty, spokoj, powiedział groźnie Franek. Takimi wyrazami w swojej chałupie rzucąj. No, pamiętaj.

Przepraszam, mruknął on. Poniosło mnie.

Za często ciebie ponosi, powiedziałem. I w ogóle nie jesteś ten kaliber, o jakim myślałem. Bo ja, wyobraźcie sobie, uważałem go za nieskalaną wartość, no coś w rodzaju takiego faceta, o którym nam czytał Tymek. Ale zawiodłem się. Drobiazg.

Było drętwo. Tak jakoś nie tak. Franek rozlał, podszedł do radia i poszukał muzyki. Buchnął gorący rytm radia Luksemburg. Wiśka skoczyła na środek i przytupała. I zaczęła kołować z bratem Franciszkiem. Taniec udo w udo. Szli jak burza. Widziałem. Takie wyuzdane tuli-tuli. Aż Jaśka przybladła. A mnie warga podskoczyła. I tak przez cały ten rytm warga mi skacze i skacze. Mój Boże, sobie myślę, no co z nią, no jak tak będzie skakać, to oszaleję. Bądźmy realistami. Zęby jeszcze mam. Grabie. To się jakoś musi włączyć. Ale wyraźnie. Jak burza idą i naciskają, naciskają. Zewsząd słyhać śpiew i rzenie koni. A warga skacze. Bo gdyby nad Kapuletich i Montekich domem. Lecz w tej zagrodzie. Oszaleję chyba. To a tamto. Jakby czytane wczoraj. Przeżyte nawet tak z kopytami. Czy na wierzchu pytając powiedział, że wszyscy odnajdziemy cegłę zdrowego rozsądku. On powiedział. Bądźmy realistami. Dobro stoi i moknie. To skandal, że ta warga skacze i skacze. Marność nad marnościami i wszystko marność. Królu nie-wypełniony. I jeszcze zobaczyć tego chłopca z wiatru i palmy. Pod obłokiem tym. Nad optymizmem tym.

Jeszcze raz!

Tymek gryzł kielbasę i obłędnie gadał.

To jest kielbasa, to jest moja matka jadalna. Ona mnie unieważnia i przeklina. Ale ja jestem głodny i bierzmuję ją szubienicą, i czuję, jak mi cieknie ślina i sperma. Mam tego wiele. Zaatakuję te góry wyśnione. Nie płaczcie nade mną, ale nad deszczem grad. Który spada. Ujrzycie mnie w rozbitym zwierciadle. Ujrzycie mój głód dziecinny. Papu-papu. Babu-babu. W gardła nasze niech wnijdzie to pęto. Amen.

I zaczął gryźć mocno, bezwzględnie. Zaczął być głodem błędu i obłędu. To podniosłem się i w światło lampy pokój rzuciłem pytanie nie pytanie. Wagę.

Co się tu dzieje, ludzie. Co się tu dzieje? Taką pustą wagę. Lecz oni gryźli. Prócz tych tańczących, którzy szli jak burza. Nieważne zresztą. Nawet ta Jaśka była głodem błędu i obłędu. Żarła, mlaskała, składała w brzuch rodności i nieskończoności. Ta Jaśka. Widziałem. Aż trzeszczało. I do mnie wykurwiła uśmiech. Bo ja patrzyłem i patrzyłem. Wymęczyłem to patrzeć. Aż wreszcie powiedziałem.

Jaśka. Dlaczego nie tangujesz? Dlaczego nie bawisz się w dzień codzienny jak arystokracja święta? Przecie byłaś na balu ptasząt barwnie upierzona. Co z tobą, Jaśka?

Ale nic. Żadnego eciu-peciu. Taka dziejba w gorącym rytmie. Zajca z Tymkiem nagle poderwało i rzucili się sobie w ramiona. Dygotali w nich, kochali się w nich. I hukali tubalnie. Wysoko.

Dobrze nam! Pięknie nam!

Oni. Ten kwiat tego czasu. Zatuleni w bunt przeciw wiecznemu zdziwieniu. W kółko graniaste patataj-patataj. I tupali do Się. Babu-babu. Papu-papu. Serce biło młotem. Mnie. I tylko mnie. To wstałem i wyszedłem bez oczu chabr, bez płonnej rozkoszy posiadania.

Ja wyszedłem.

Powitał mnie przeraźliwie jasny duch podwórza. Lampa pokoju oświetlała go w każdej części i można było jednym ruchem dłoni postawić go w igielny blask. Wtoczyłem się w tę jasność ciężko, żołniersko. Szedłem na drzwi obory i było mi tak jak w piekle, tak jak w raj. Niewyraźalnie. Ale szedłem, zbliżyłem się, byłem cały w duchu podwórza. Byłem nawet czymś więcej. Stałem na progu i spojrzałem w punkt. On żuł. On statecznie majtał ogonem.

Odwrocił łeb i oko fiolet odbiło mnie w potężde światła. Cofnąłem się przerażony. Siadłem u drewnutni i uciszałem drzenie, nędzny strach, jakąś miłość.

Ach miłość!

Jej nie mogłem uciszyć. Była ponad mną i duchem podwórza. Jakby zleciała z tych chmur deszczowych i skrzydłem dziabnęła błoto. I czekała, aż ją podniosę, ochucham, dam rozmach twórczy. Ja. Więc zacząłem monolog o niemożności takiego czynu. Ale nie wychodził, rwał się, był normalnym strzępem nie udanego wzlotu. I sam się zdziwiłem, że nie potrafię tej miłości wcielić w pióro słów, że już nie jestem jej panem jak kiedyś w domu wielkiego pisarza, kiedy żeśmy obydwaj nadsluchiwali szczękę zimowej zawiei w palarni słynnej z przestróg moralnych, choć samą moralność już dawno spalił ogień zapomnienia. Lecz wielki pisarz przepadł w tym ogniu razem z moją fikcją i oto siedzę w cieniu lampy pokoju odarty ze wszystkiego, przerażony niewiadomym skończeniem, niezdolny do tego ostatniego kroku, który by mnie wreszcie spełnił ostatecznie. A duch podwórza przycajony w muzyce radia Luksemburg, buchającej z okien naszej rodowej zagrody, szczyrzył do mnie swój nadkruszony kieł i dopraszał się łaski wbicia w świeży ran, dopraszał się z taką fantazyjną ufnością, że się podniosłem i po raz drugi skierowałem swoje kroki do obory. I znów jakieś dławienie zatrzymało mnie w progu, bydlęce ciepło zniewoliło, gnój zaparował potęgą nocy i cofnąłem się w nienawistną strunę światła.

Godności ludzka, powiedziałem. O ile jesteś i widzisz moją niedolę, ratuj, bo oszaleję.

Byłem z powrotem przy drewnutni. Dreszcze trzęsły mną i kataryniarsko szczękały zęby. W coś musiałem się wmyślić, żeby odpędzić to kwilenie chłopackie, coś musiałem zrobić na gwałt, bo zaczynałem wysiadać nerwowo i bojowo, traciłem siły, byłem zagrożony kompletnym znużeniem i każdą sekundę prawdy wbijał na kieł duch podwórza, więc musiałem coś zrobić samo przez się, w rzeczy samej pomyśleć o wszechogarniającym uczuciu braterstwa sprawiedliwych, pamiętliwych i błędnie zaczadzonych żywicą dobra, które im podrzucałem bez targu, niech mają, niech się nacieszą spragnioną oazą szczęśliwości, bo ja się nią nakarmiłem na długie lata, za wszystkich przyszłych i zaprzyszłych, nakarmiłem się jak Wielki Wąż i odpoczywam w cieniu, a komu to nie w smak, to morda w kubeł, bo my jesteśmy pokulenie, a kto tego nie widzi – pod but. Zaraz. Zaraz. Towarzysz Naczelnny ujednolicił i wyprowadził mnie na prostą serdeczną, on tak pięknie mówił o kobiecie sen, że jest bardziej rzeczywista niż sama rzeczywistość, niż sama opowieść o ogniu wiecznym, on mówił ważne, wielkie, kiedy ja obnoszę kadłub niedocieczonych żalów, umarłych zagadnień, kiedy ja jak Boanerges pędzę i szukam piosnki bohaterów. Boże, Boże, gdyby w jakiś strumień świadomości te żale wcisnąć, odrodzić, zanegować, zapomnieć byt i nie czekać na jego posłanie, gdyby tak nagle pójść świecą na dno i wiedzieć, że nikt w nie nie zapuka, wiedzieć co lub to, ale to trzeba działać, coś trzeba robić. Wielki Wąż w cieniu odpoczywa.

Uspokojony już trochę byłem i rozszerzonym okiem spoglądałem w wylot obory. Miałem zamiar dokończyć skończone i zrobiłem krok. Wtem trzasnęły drzwi na ganku i w duch podwórza wleciała Wiśka z Zajcem. Cofnąłem się w cień. W twarz bił drażniący chichot Wiśki. Widziałem ją en face, widziałem jej małe zęby łyskające perłą, dorodną pierś, obmacywaną żarliwie przez Zajca, i nogi księżniczki gór. Widziałem, jak stanęli w strunie światła lampy pokoju i szczepili się w ponętym śnie. Trwali w nim długo, jego masywność i jej filigranowość spięły się w smukłość szczytu, z którego palec zagrożenia miał zepchnąć głaz przeznaczenia do mych stóp, żebym na nim siadł i pofrunął w mit arkadyjski, żeby nie powtórzył się więcej kwiat róży. Pocałunek wydłużał się w nieskończoność, był krwią i dymem gaju cedr, był siłą wyzwolonej rodności pisanej od lewej ręki, która chroni od niewiary, która jest rękojmią ich pragnienia i złudzeń nietraconych. Przerwali tak gwałtownie, że aż się zachwiałem. Potoczyli się na ścianę obory. Męski-żeński. Potoczyło się jedno rumtarara. Tam ona stanęła plecami przy ścianie i te nogi księżniczki gór rozsunała jak gwiazd wiszące sznury i zaryła się nimi w świętą ziemię. A on jak Syn Niedźwiedzicy, który

ujrzał przed sobą górę Hybla i zna jej tajemne wnętrze, zaczął w biegu i z furją zaczął dobierać się do jej pysznego miodu. Było w tym coś niesamowitego, jakaś nadpospolitość krzyku miłość, że stałem jak skamieniały i nie mogłem oderwać ócz. Wiśka pięła się po ścianie, opadała, jęczała, gryzła kark, lecz Zajc nieruchomy walił w głęb i tylko jego ręce trzymające ją wpół pracowicie podrygiwały. Jechał już z tym koksem od paru minut, a ja nie mogłem się otrząsnąć z czaru niemego świadka. Wreszcie coś we mnie nagle pękło, wyzwoliło, coś zwanego i nienazwanego, ale coś własnego, bo odetchnąłem pełną pierś i z politowaniem się uśmiechnąłem. Wydali mi się teraz tacy wyblakli i bez polotu, tacy z szewskiego kopyta, że ta ich pasja przypominała zwyczajne rżnięcie drzewa w jęklwym zawodzeniu kradzionej piły. I pomyślałem sobie o niebie Aleksandryjskim, o wielkich namiętnościach absolutnej miłości, o brzegu morskim, po którym się będę przechadzał z prawdą pod rękę w przeraźliwie jasnym kolorze rozkoszy. Pomyślałem sobie.

Alku Rzepo, przezywany Alosiem i chłopcem od pól zielonych, nie załamuj się. Jesteś czysty jak łąka i nie splamił cię gniew pieśni przeznaczenia. Jeszcze się objawisz tak jak nigdy, tak jak zawsze. Przecie zdobyłeś zaufanie świata i dasz je ludziom. Boś prawie Prometeusz, choć wpół jesteś śmiertelny. Bogowie widzą twą skruchę i zapamiętają, żeś chciał, a nie wyszło. Boś prawie Prometeusz, choć wpół jesteś śmiertelny.

Tak pomyślałem. Zajc jechał z tym koksem wolno, coraz wolniej, aż wreszcie padł na piersi rodne. dorodne i zastygł z rozpostartymi rękoma na ścianie. Przypominał mego ptaka jastrzębia o zmiażdżonych szponach. Też tak ciężko cofał się od zakłutej ofiary i uchodził z lękiem. Wiśka zgięła nogi księżniczki gór, opuściła spódnicę i upiornie blada zanurzyła się w światło lampy pokoju. Dopędziła Zajca i chwyciła za ramię. Odwrócił potężny łeb i popatrzył ponad jej ciałem, ponad sobą. W jego oczach zobaczyłem bezgraniczne, piekielne zmęczenie.

To co było robić dla mnie. Co było robić?!

Ruszyłem do obory.

Byk powitał ranie miarowym żuciem. Poglądziłem mu grzbiet, odwiązałem łańc i wyprowadziłem na podwórze. Spoglądał na mnie ufnie i ciekawie. Kolnęło mnie to spojrzenie i z czułością powiedziałem.

Nie bój się. Jestem przy tobie i nie zrobię ci krzywdy. Nikt ci nie zrobi krzywdy, bo jesteś wielkim pożytkiem. Zdejmę ci kółko z nosa, żebyś był wolny i ruszył w tan. Zatańczymy się jak u jałowic pierwszych. Na wszystkie dole i niedole. Lecz kółko było dobrze osadzone. To podrażniłem mu chrapy palcem kciuk, żeby się obudził. Bo był jakiś zaspany. Taki nie taki. On. I zaraz osaczył zupełnie. Obiegłem go wkoło raz i dwa. Zaczynał się ruszać. Oko fiolet pchało mnie do tego biegu jak nigdy. Było wyjątkowo fantastycznie i jasno. Chwyciłem go za rogi i wykręciłem łeb w pion. Ryk spłoszył światło, zamigotał punkt i padłem mu na grzbiet z uczuciem ulgi. Chwilę przeżył się i nagle fiknął, zawirował i skoczył w duch podwórza. Złapałem go za rogi. i jak akrobata święty całym sobą chłonałem wysokość.

Lecieliśmy coraz wyżej, coraz bliżej tego koloru jasny, który nas rozjaśniał więcej niż dzień, więcej niż jakiegokolwiek światło. Aż wreszcie staliśmy się jego centrum osobniczym i osobowym i był to już tylko jeden ruch w przestrzeni. Wyrwałem z kieszeni klucz, niedbale tam położony w godzinę nienasycenia, i uderzyłem w kark zwierza. Ryknął i pomknął jak strzała. A ja zaśmiałem się głośno, radośnie. Uniosłem prawicę z kluczem nad szaleństwo świata i czekałem jak Niobe. Ciosu. Lecz wszędzie było jasno i pięknie. Wszędzie było domowo. To myślałem, że oszaleję od tego szczęścia, i jeszcze mocniej przycisnąłem się do tej maści ostatecznie. I tak pędziliśmy w duchu podwórza dokoła, do-koła, lżejsi od powietrza i słów daremnych. W pędzie ujrzałem twarze biesiadnego stoła w grymasie ochoty. Bili brawo i gardłowo wrzeszczeli.

Dobrze nam! Pięknie nam!

I zaraz oślepił mnie kolor fantastycznie jasny i zmiotł z powierzchni własnej. Cios dosięgnął mnie w chwili, gdy z uniesioną prawicą, sercem wypełnionym ogromem dalszości i

czasem odnalezionym poleciałem głową w klucz mojej prawdy. W rozbłysku lampy pokoju  
zobaczyłem swój chłopacki obłok wbity na róg. Spływał ku ziemi po jasnej pochyłej  
optymistycznej tragedii, obcy i bezimienny. Prosto w klucz mojej wielkiej prawdy.